

JAROSŁAW FLIS: NOKAUTU
W WYBORACH NIE BYŁO

JAK NIE SFALSZOWAŁAM
WYBORÓW

JAK WYMAZAĆ PIŚ Z BIOGRAFII
– RADEK, LUDWIK I CZAREK

WIDACKI I KURKIEWICZ:
ŻARÓWKA A SPRAWA POLSKA



Anna i Jacek
Borowikowie

PRZEWODNICY OSTATNIEJ DROGI



Sylwester 2018/19 z Gwiazdami TEATRU CAPITOL



TEATR CAPITOL

Duża Scena

Cud

START 18:00



W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

Bilety od 139zł

TEATR CAPITOL

Scena Mniejsza

Kiedy kota nie ma...

START 17:30



W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:30

Witamy Nowy Rok z Aktorami!



Po spektaklu dancing - HITY DISCO '70 '80 '90
DJ, zimne przekąski, dania gorące,
open bar do godziny 3:00.

Bilety od 129zł

KINO Elektronik

ul. Gen. Zajączka 7

ALBI
od ZARAZ

START 17:30



W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:30

Witamy Nowy Rok z Aktorami!

Po spektaklu poczęstunek i kieliszek wina.

Bilety od 139zł

Multikino

MULTIKINO Ursynów
Al. Komisji Edukacji Narodowej 60

Dwie PARY de PARY
Dwie Lubiśienki

START 17:30



W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:30

Witamy Nowy Rok z Aktorami!

Po spektaklu poczęstunek i kieliszek wina.

Bilety od 139zł



Zarezerwuj bilety już teraz w kasie TEATRU CAPITOL: tel. (+48) 22 620 21 42

CYTATY

BP TADEUSZ PIERONEK

Wskazywanie, kto jest wrogiem ojczyzny, wrogiem Kościoła, to jakaś forma faszyzmu. „Rzeczpospolita”

BOGDAN RYMANOWSKI, B. DZIENNIKARZ TVN, OBECNIE POLSATU

Świat nie wygląda ani tak, jak pokazuje go TVN, ani tak, jakim go widać w TVP.

„Dziennik Gazeta Prawna”

JANUSZ GAJOS, AKTOR

Kiedy schodzę ze sceny, to stworzone życie przestaje istnieć. Odradza się w czasie następnego przedstawienia. „Twój Styl”

ANDRZEJ KRZYWY, LIDER ZESPOŁU DE MONO

Moja żona to z jednej strony najlepszy człowiek, jakiego spotkałem w życiu, a z drugiej – najgorszy. Jest cholerykiem. „Gala”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Jaki przebił Ogórek

Przed nami wprowadzie II tura, ale już wiadomo, że w samorządach będziemy mieli jeszcze więcej PO-PiS, choć oczywiście nie w tej wersji, którą w 2005 r. rozwalili Tusk z Kaczyńskim. Dziś obie partie są w stanie wojny totalnej. A że ta sytuacja tak dobrze im służy, z pewnością z niej nie zrezygnują. Będziemy więc mieli dwuletnią, aż do wyborów prezydenckich, wojnę tych dwóch bloków. I parcie do tego, by każde wybory były plebiscytem. Bo to najbardziej im się opłaca.

Mobilizacja elektoratu warszawskiego przeciwko Jakiemu wypchnęła przecięź z gry wszystkich spoza PO. Często bardzo sensownych kandydatów. Do Rady m.st. Warszawy przebiła się tylko, i to z dobrym wynikiem, Monika Jaruzelska, której serdecznie gratuluję tak udanego debiutu w polityce. Choć może, patrząc na niektórych wybrańców z PiS, należałoby powiedzieć, że lekko w tej radzie mieć nie będzie.

Dla mnie symboliczna dla tych wyborów była kampania Patryka Jakiego. Prawie wszystkie media wychwalały kolejne pomysły jego sztabu. Także te, które już na pierwszy rzut oka wyglądały jak głupawka. Dlaczego potok kłamstw, manipulacji i bezczelności brano za godną pochwały dynamikę i nowoczesność w komunikacji z wyborcami? Na ekranie widzieliśmy cynika, tak napalonego na władzę, że gotowego do zmiany poglądów w każdej sprawie. Kłamcę, który zaprzeczał oczywistym faktom. A na dodatek robił to tak topornie, tak bełkotliwie i tak na bakier z językiem Mickiewicza i Słowackiego, że aż chciało się go odestać do książek profesorów Bralczyka i Miodka.

Jeśli poważna partia polityczna, jaką jest jednak PiS, na bardzo ważne stanowisko wystawia kogoś takiego jak Patryk Jaki, przebija tym ruchem nawet Magdalenę Ogórek, kandydatkę SLD na prezydenta RP. Są konsekwencje tak absurdalnych wyborów. Za Jakiego też trzeba będzie zapłacić. Miało być wejście smoka – była żenada w wykonaniu niedouczonego ambicjonera. Zastanawiam się, czy choć jeden z tych, którzy postawili na Jakiego, chciałby leczyć się u lekarza z tak marnymi umiejętnościami. A może zleciłby mu budowę domu? Albo uczenie swoich dzieci?

Jeśli chcemy żyć w normalnym kraju, musimy wybierać polityków mających profesjonalne kwalifikacje, a nie takich, co mają tylko parcie na szkło i przemożną chęć zrobienia kariery. Jedyną zasługą Jakiego jest to, że zmobilizował pół miliona wyborców przerażonych wizją miasta w jego rękach. Nie sądzę jednak, by ta klęska go zniechęciła. I czegoś nauczyła.

FAUL

Czarna zmiana zamiast dobrej

Wykonują bardzo ciężką pracę. Są tam, gdzie brakuje chętnych. Ale nie dlatego nazywa się ich szarą strefą. W czasach tzw. dobrej zmiany aż 880 tys. Polek i Polaków pracuje na czarno. Bez etatów czy umów-zleceń. Bez ubezpieczenia i bez pewności otrzymania wynagrodzenia. Najwięcej jest ich przy pracach rolnych i ogrodowych, remontowych i budowlano-instalacyjnych. Ale są też sprzątaczkami, opiekunkami do dzieci i osób starszych. Kto na tym zarabia? Wielu. Bo skalę szarej strefy szacuje się na 17,4% PKB. Wygrywają brak zasad, spryt i bezwzględność.

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 To nie nokaut, walka jest wyrównana**
– rozmowa z dr. hab. Jarosławem Flisem
- 11 Wyborczy fitness**
Jak się liczy głosy w komisji
- 16 Dlaczego Kraków wybiera Jacka Majchrowskiego?**
Rządy konserwatywne, ale z wyczuciem
- 18 Hajnowka przeciw sobie**
Wyborcze paradoksy na Podlasiu
- 20 Chaos na skrzydłach**
Strajk w Locie premiera nie obchodzi?
- 30 Pożegnać człowieka po ludzku**
Rośnie popularność pochówków bez księdza
- 31 Pogrzeby szyte na miarę**
– rozmowa z Anną i Jackiem Borowikami

OPINIE

- 24 Adam Leszczyński**
Poradnik Wallenroda
- 40 Lech Mażewski**
Najazdu Mongołów nie będzie

ZAGRANICA

- 26 Longin Pastusiak**
Sinusoida polityki Trumpa wobec Chin
- 28 Blokada zabija Kubę**
57 lat izolacji gospodarczej
- 54 Grzech w wielkim mieście**
Irańskie społeczeństwo się zmienia

SYLWETKI

- 36 Odeszli, ale są**
Niezapomniani ludzie symbole

HISTORIA

- 44 Salonka dwóch kapitulacji**
Tu zakończono I wojnę światową

KULTURA

- 46 Kino bez comingoutu**
– rozmowa z Olgą Chajdas
- 50 Kulturalia**
- 66 Boris Lurie. Pop-art po Holokauście**

ZDROWIE

- 52 Będziemy mogli zwalczać raka**
Nobel za immunoterapię nowotworową

TECHNOLOGIE

- 58 Wirus przychodzi z sieci**
Od 30 lat tracimy miliardy

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Jaki przebił Ogórek
- 19 Jan Widacki**
Żarówka a sprawa polska
- 39 Roman Kurkiewicz**
Między żarówką a triumfem lewicy
- 49 Tomasz Jastrun**
Krajobraz po bitwie
- 53 Edward Mikołajczyk**
Posłanka wygasza na czczo
- 57 Agnieszka Wolny-Hamkała**
Dziwne losy sióstr Brontë



8
KRAJ

TO NIE NOKAUT, WALKA JEST WYRÓWNANA

– rozmowa z dr. hab. Jarosławem Flisem

46
KULTURA

KINO BEZ
COMING OUTU
– rozmowa
z Olgą Chajdas



54
ZAGRANICA

GRZECH
W WIELKIM MIEŚCIE
Irańskie
społeczeństwo
się zmienia

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



PROF. LUDWIK STOMMA

Gdyby nie lewica...

– refleksje na 100-lecie niepodległości

Naczelnik Lubomirski, premier Głębiński
– alternatywy II RP

NIEBIESKIE CHACHARY

– 10 lat z kibicami Ruchu Chorzów

Demontaż pamięci

„Zdjęcie tygodnia” w PRZEGŁADZIE nr 43 pokazuje nie tylko niszczenie pomnika Wdzięczności Żołnierzom Armii Radzieckiej w parku Skaryszewskim w Warszawie, ale także demontaż naszej pamięci i znajomości historii. Pokolenie naszych ojców i dziadków postawiło ten pomnik jako dowód wdzięczności za uratowanie Polski przed niemiecką zagładą.

Tymczasem polityka historyczna PO-PiS zastępuje pokazywanie zdarzeń z czasów wojny narracją historyczną, opowiadaniem w wersji IPN. Pokolenie, które przyswoiło sobie te nowe „prawdy historyczne”, wdzięczność zastąpiło paranoiczną nienawiścią do wszystkiego, co jest związane z Rosją czy Polską Ludową. A trzeba pamiętać, że istnienie Polski w dzisiejszych granicach zawdzięczamy głównie temu „odwiecznemu wrogowi”. To upór Stalina sprawił, że Polsce przyznano ziemie zachodnie, bo Churchill wyrażał opinię, że polska gęś zadławi się takim kęsem. Granice Polski, które zostały po „komunie”, są najkorzystniejsze w 1000-letniej historii. Nie podważają tego nawet dekomunizatorzy z IPN.

zupełnie inne podejście do historii, do oceny minionego czasu mają współcześni Niemcy. Pomniki Armii Czerwonej we wschodnich landach traktowane są z szacunkiem i czcią.

Wiesław Krukowski, Włocławek

O „Klerze” inaczej

Z obejrzenia filmu „Kler” odniosłem całkiem inne wrażenie niż prof. Bronisław Łagowski. O tym, że księża piją, przeklinają, chędożą, mają kochanki i dzieci, wiedziałem – jak każdy myślący obserwator. Mnie w tym filmie poraziła nie tyle pedofilia, ile kompletny brak poszanowania prawa i kontroli nad poczynaniami kleru i jego „księży”. I, o dziwo, nikt tego tematu nie porusza.

Roman Gagjew

Wróg się zmienia, strach zostaje

Prof. Daniel Bar-Tal (PRZEGŁAD nr 43) mówi o znaczeniu wielkich fal imigracji. Jeśli komuś marzyło się takie wzmocnienie nacjonalistów i faszystów, to decyzja Angeli Merkel o otwarciu granic dla uchodźców była gwiazdką z nieba. Podejmując ją, Merkel albo pominęła zastrzeżenia doradców, albo działała spontanicznie. Tylko czy polityk jest spontaniczny?

Maria Łakomy

A czy ta decyzja nie została podjęta pod wpływem opinii przedsiębiorców zaniepokojonych brakiem miliona rąk do pracy w Niemczech?

Zdzisław Nowak

ZDJĘCIE TYGODNIA

Kreacje przygotowane na tradycyjny marsz na cześć La Catriny symbolizującej w Meksyku śmierć.





PYTANIE TYGODNIA | Co wiemy o Polakach, którzy zwykle nie chodzą na wybory?

DR HAB. MIKOŁAJ CZEŚNIK,
socjolog i politolog, Uniwersytet SWPS

Po pierwsze, jest to bardzo duża grupa, po drugie, nieco gorzej wykształcona. Po trzecie, są w niej nadreprezentowane osoby najmłodsze i najstarsze. Po czwarte, należy do niej troszkę więcej kobiet niż mężczyzn. Jest to w końcu grupa trochę bardziej wielkomiejska i nieco zamożniejsza niż przeciętna reprezentacja społeczeństwa. Co ciekawe, pod względem preferencji politycznych nie różni się zasadniczo od tych Polaków, którzy głosują. Symulacje tego, jak wyglądałyby wyniki wyborów, gdyby wszyscy obywatele wzięli w nich udział, wskazują, że nie zmieniłyby się one istotnie, choć oczywiście tego rodzaju analizy są niedoskonałe i nie mamy pewności, czy przy stuprocentowej frekwencji rozkład głosów byłby naprawdę taki sam. Jedno jest pewne: niegłosujący to licząca kilkanaście milionów osób bardzo zróżnicowana grupa, w której znajdziemy zarówno profesorów, jak i ludzi zupełnie niewykształconych.

JOANNA ZAŁUSKA,
Fundacja im. Stefana Batorego

Przed wyborami samorządowymi zleciliśmy CBOS badanie, w którym

pytaliśmy o to, dlaczego ktoś chce lub nie chce głosować. Najwięcej, bo 45% osób, które zadeklarowały, że nie będą głosować, stwierdziło, że w ogóle nie interesuje się polityką. 28% respondentów narzekało, że nie zna kandydatów i kandydatek ani ich programu – i trudno się dziwić, bo powszechnie dostępne informacje o nich często ograniczają się do zdjęć, wieku i wykształcenia. Spora grupa (18%) narzekała, że „ciągle są jakieś wybory, a niczego to nie zmienia”. Równie dużo było niezdecydowanych, na kogo głosować. Pozostałe osoby wskazywały chorobę, niepełnosprawność lub inne powody. Można jeszcze zwrócić uwagę na 9% opinii osób niegłosujących, że kampania samorządowa jest za bardzo zdominowana przez ogólnopolską politykę i charakterystyczne dla niej spory, a za mało się w niej mówi o sprawach lokalnych.

czytelnicy PRZEGLĄDU

MARIA LAACH

Znam takich, którzy nie głosują przez niechęć do państwa jako organizacji politycznej, marzy im się anarchia. I takich, którzy są tak wyalienowani, że nie mają

pojęcia, na kogo głosować, albo po prostu wymagają od siebie większej wiedzy na temat kandydatów, żeby mogli z pełną odpowiedzialnością oddać na nich głos. Nie zdobyli tej wiedzy w porę – nie głosują. Inni natomiast nie są w stanie wybrać między dumą a cholera.

GRZEGORZ TORYŃSKI

Kiedyś rozmawiałem z kolegą, który stwierdził, że nie głosuje. Gdy zapytałem dlaczego, odpowiedział: „Co za różnica, kto będzie rządził, skoro i tak muszę sobie radzić sam?”. W tym przypadku nie chodzi o pomoc w ramach programów socjalnych, on po prostu nie wierzy, że jakaś opcja polityczna może usprawnić funkcjonowanie państwa, przyspieszyć załatwianie spraw w urzędach czy choćby skrócić kolejki do lekarza. Oczywiście jest to opinia jednej osoby i trudno przekładać to na większą populację, ale jak się nad tym zastanowić, może faktycznie wielu obywateli wychodzi z założenia, że politycy i tak dbają o swoje interesy, zamiast pracować dla społeczeństwa. Po co zatem w ogóle oddawać na nich głos?

Not. Michał Sobczyk

Rozmawia Robert Walenciak

Co nam mówią te wyniki wyborów? Że Polska jest jeszcze bardziej podzielona, niż była do tej pory?

– Nie, bez przesady. Nie mam takiego wrażenia. Wręcz przeciwnie. Spójrzmy na sejmiki. Łączny wynik dwóch największych partii, PiS i PO, nie sięga 60%. I to czymś zdaniem jest polaryzacja? Problem w tym, że pozostali są rozdrobnieni, dlatego daje to większą dominację w mandatach. Rzucając się w oczy. Ale, generalnie rzecz biorąc, jeśli coś ma niepokoić, to niebezpieczne ruchy.

O!

– Dlatego że jedni się umacniają tam, gdzie są silniejsi, a trochę słabną tam, gdzie byli słabsi. Taka sytuacja może na samorząd ściągać różne kłopoty.

Bo brak alternatywy...

– Takie przechyły nie sprzyjają rozliczaniu lokalnej władzy. Poza tym generalnie do tej pory polskie podziały, na wieś-miasto i wschód-zachód, w większym stopniu wynikały ze stereotypów niż z wiedzy o faktach. Niestety, czasami fakty zaczynają podążać za stereotypami i wtedy jest trochę gorzej. Na szczęście nie podążają jakoś szczególnie daleko, to tylko mały krok.

Ryccerze, giemkowie i TUP-y

Świetna frekwencja, prawie 55%. Cztery lata temu wynosiła 47%. Wyborcy tym razem się zmobilizowali.

– Pojawiło się 3,3 mln nowych głosów. 1,8 mln to głosy zupełnie nowe, 1,5 mln – głosy odzyskane, tych, którzy cztery lata temu oddali głos nieważny, a teraz oddali głosy ważne. Pytanie, jak to zmieniło notowania. Sejmowo-sejmikowa czwórka, PO, PiS, PSL i SLD, razem dostały 2 mln głosów więcej. Natomiast 1,3 mln padło na inne listy, na Bezpartyjnych Samorządowców, Kukiza, Razem, Korwin... To pokazuje nasz system partyjny – jest dwóch ryccerzy, dwóch giemków. Do tego chodzą partie typu TUP, czyli tymczasowe ugrupowania protestu. W różnej postaci – bo to i Samoobrona, i Ruch Palikota, i Kukiz... I TUP-y, jak to tupnięcia, długo nie trwają. Wyborcy tupnęli, lecz nic się nie zmieniło, więc szukają, na jaką inną melodię tupnąć. Bo różne się

To nie nokaut, walka jest wyrównana

PiS wyszło z dołka. Do tej pory przy 28% uzyskanych głosów miało 5% władzy w sejmikach. Teraz ma 34% głosów i 33% władzy

pojawiają... Zobaczymy, co będzie dalej, ale te partie wciąż zgarniają sporo, mają swoją rolę. A w województwie dolnośląskim, jako Bezpartyjni Samorządowcy są języczkiem u wagi. I podbijają licytację.

Z czym porównywać wynik obecnych wyborów? Z wyborami z roku 2014, których wynik wypaczyła słynna „książeczka”? Z wyborami parlamentarnymi 2015 r.? Czy może z sondażami z ostatnich tygodni?

– Proste porównania nie ma, bo rzeczywistość się zmieniła. Nastąpiło unarodowienie wyborów samorządowych. W efekcie skutecznie oddały głos miliony nowych wyborców. I te zyski rozłożyły się różnie. Na przykład procentowe osłabienie SLD bierze się stąd, że Sojusz dostał prawie tyle samo głosów co ostatnio, tyle że teraz to mniejszy kawałek całości.

Przy dodatkowych milionach głosów te same 100 tys. jest mniejszym ułamkiem.

– PSL w porównaniu z rokiem 2014 straciło prawie 1 mln głosów, ale wiemy, że wtedy jakieś 700 tys. głosów z tego to był bonus na „książeczkę”. Generalnie więc straciło 200-300 tys. To też nie jest coś strasznego. Bolesna jest strata mandatów i władzy, lecz cóż – łatwo przyszło, łatwo poszło. Ryccerze zyskali – PiS dostało 2 mln nowych głosów względem 2014 r., natomiast Koalicja Obywatelska – prawie 1 mln. Przewaga jest dwukrotna, chociaż to nie jest 5:1, ale i nie 1:1. I nie wiadomo, jak będzie się przekładało na kolejne wybory. Może to być apogeum mobilizacji przeciw PiS i za chwilę ta fala opadnie, ale równie dobrze może to stanowić zapowiedź takiej mobilizacji jak w roku 2007. Prawdę mówiąc, potrafię dziś wymyślić przesłanki zarówno w jedną, jak i w drugą stronę.

Tsunami nie było

Dobrá dla PiS i złą?

– Pesymistyczny przeciwnik tej partii opisze to zupełnie inaczej niż optymistyczny. W zależności od tego, co mu w sercu gra. Za mało jest twardych punktów. To pierwsza sytuacja, że wybory samorządowe unarodowiły się w aż takim stopniu. I teraz nie wiemy, czy to ewenement, czy już zawsze tak będzie.

Czy można powiedzieć, że PiS zostało zatrzymane? Dostało 34%. W wyborach parlamentarnych miało prawie 38%.

– Zatrzymane? Wszystko zależy do tego, jakie to miał oczekiwania! Jeśli ktoś się spodziewał tsunami, można powiedzieć, że nie ma niczego takiego. A jeśli ktoś się spodziewał tylko przyptywu – to przyptyw jest. PiS posunęło się do przodu, choć z bardzo słabego punktu. Jego 34% to najlepszy wynik, nikt tyle nie miał od 20 lat. Z drugiej strony jest najbardziej osamotnioną partią, nikt nie miał tak kiepsko z koalicjantami, jak ma PiS. Gdy w 2002 r. SLD miało 24%, PSL i Samoobrona stały w kolejce do koalicji i wspólnego rządzenia. A tu nikt nie stoi z kwiatami, raczej wszyscy się opędzają. Na razie ten wynik przekłada się na zwycięstwo w sześciu województwach, w tym tylko w jednym większym. To jedna trzecia kraju, a nie połowa. Platforma z PSL mają razem więcej. **Ale te sześć, a może i więcej sejmików PiS odbiło.**

– To nie jest tsunami. Mamy przyptyw, jedna z partii jest na fali i trochę idzie do góry, zalewa niższe obszary, ale są klify, których woda nie sięga. Jeśli jednak dzisiaj jest przyptyw, jutro może być odpływ. Unikajmy powierzchownych wrażeń. Wpływy PiS w samorządach do tej pory były

DR HAB. JAROSŁAW FLIS

– socjolog, Uniwersytet Jagielloński

bardzo słabe, więc jak mu przyrosło z bardzo niskiego poziomu do średniego, to fala wydaje się wielka. A dalej może już nic nie być, może być bardzo słabo. PiS miało kilkanaście procent poparcia w wyborach wójtów i burmistrzów. Teraz dobija do 23%. Wzrosło mu więc o połowę, ale to wciąż mniej niż jedna czwarta. Szatu nie ma. A duże miasta? Są miejsca, gdzie poszło trochę lepiej, ale w bardzo wielu zupełnie nie poszło. Nie traktujmy wyborów samorządowych jako gry zero-jedynkowej, to nie jeden pojedynek, lecz tysiące pojedynków i raz się wygrywa, raz przegrywa. A jeżeli się ugrało w jednym miejscu, to wcale nie oznacza, że ugra się w drugim.

Solidarni kontra liberalni

Czy system D'Hondta nie wpływa zbyt mocno na kształt sejmików? PO i PS mają niespełna 60% poparcia, ale w mandatach chyba z 90%!

– System D'Hondta sprzyja kooperacji. Ma tę zaletę, że połączenie dwóch partii zawsze daje zysk. Dlaczego z tego nie korzystać? Do dziś nie wiem, z jakiego powodu Bezpартijni Samorządowcy i Kukiz startowali osobno. Ten system ma też swoją specyfikę przeliczania głosów. Jest jakościowa różnica między partią, która ma 6%, i tą, która ma 12%. Proszę zwrócić uwagę, że SLD ma 6,6% i 11 mandatów. PSL ma dwa razy więcej, a mandatów – ponad sześć razy więcej. To jakościowy skok. Z drugiej strony metoda D'Hondta zdecydowanie utrudnia rozczłonkowanie parlamentu, sprzyja stabil-

ności władzy. Myślę, że pamiętamy podziały z lat 1991-1993: na Małe Piwo, Duże Piwo, wielopartyjne koalicje i towarzyszące temu rozmaite rzeczy. Poza tym fakt, że te same reguły obowiązują od 20 lat, jest pewną wartością. I do tych reguł trzeba się dostosować. A że niektórzy to ignorują? Tego nikt im nie zabroni.

Czy duopol PO-PiS jest trwały?

– Podział na Polskę solidarną i liberalną ugruntował się już całkiem mocno. To zresztą efekt przebudowy podziałów politycznych, którą obserwujemy w prawie całej Europie. Podział na lewicę i prawicę powstał ponad 100 lat temu, kiedy najbogatsi siedzieli w pierwszych ławkach w kościele, w związku z czym jak ktoś się buntował przeciw niesprawiedliwości i podziałom społecznym, buntował się również przeciw tradycji. A dziś w pierwszych ławkach w kościele najbogatsi na pewno nie

PiS jest najbardziej osamotnioną partią, nikt nie miał tak kiepsko z koalicjantami.

siedzą. Raczej siedzą tam biedni, a ci bogaci przejeżdżają obok i patrzą ze zdziwieniem czy pogardą – jak to możliwe, że takie atawizmy jeszcze istnieją? Rozumiem, że dla wielu jest bolesne, że lewica tak słabnie. Niemiecka socjaldemokracja otrzymała najgorszy wynik od 100 lat. Ale coś się kończy, coś zaczyna. Partii Razem łatwiej dotrzeć do warszawskich hipsterów niż do byłych pracowników ZNTK w Łapach. I mówić im o gender i LGBT. Ktoś więc musiał dotrzeć do tych z Łap.

Czyli ten podział na partie socjalne i liberalne...

– Liberalniejsze trochę... Wiadomo, że Kaczyński chciałby mieć za przeciwnika partię lewicowo-liberalną, bo ona w Polsce będzie zawsze słaba. Gdy w roku 2011 PO pokonywała PiS, połowa jej wyborców określała się jako wyborcy prawicowi.

A dziś?

– Dziś rzecz się gmatwa, bo media „tożsamościowe” nie prowadzą debat, tylko rozdają etykiety. Jedni mówią na przeciwników „prawicowcy”, a drudzy „lewaki”, w rozumieniu: zły.

Jak epitet?

– Tak, bo dla czytelnika w domyśle oznacza to wroga. Jedni głoszą wspólnotę narodową, drudzy tolerancję dla odmienności, lecz w praktyce oznacza to podziały i piętnowanie ludzi wyznających inne – wcale nie marginalne – wartości. Na szczęście to w Polsce nie jest aż tak powszechne, jak się wydaje. Owszem, część aktywistów dostała kompletnego bzika, to nie ulega wątpliwości, ale nie wszyscy. Polska dzieli się na trzy części: na fanów rządu, na przeciwników rządu i na tych, którzy nie chcą się opowiedzieć za jednym lub drugim.

Rebelia i rewanz

Mówiliśmy, że obecne wybory były unarodowione. Że w dużym stopniu określił je spór między największymi partiami. On dziś napędza elektoraty?

– Z jednej strony są ci, którzy na pierwszym miejscu stawiają wspólnotę, ochronę tradycyjnych wartości, poszanowanie tożsamości zbiorowej, a od państwa oczekują transferów socjalnych, regulacji gospodarki, ochrony. Po drugiej stronie mamy tych, którzy

uważają, że państwo jest raczej obciążeniem, że nie powinno się mieszać, a wspólnota jest balastem, który trzeba zrzucić. To ogólny podział. W Polsce jest on modyfikowany, nakładają się na to sprawy charakterologiczne, strategię, diagnozy... W takich sprawach jak reforma sądownictwa oceny ideowe przeplatają się z oceną czystej sprawności, z niechęcią do reformy, która do niczego nie doprowadziła, sukcesu nie przyniosła, wygląda na rozróbę... Pisałem na początku rządów PiS, że są tam trzy

► nurty: republika, rebelia i rewanż. Po trzech latach wygląda to tak, że republika – szczerą troską o dobro wspólne tam, gdzie dotąd je lekceważono – cienko przędzie, rebelia – niszczenie instytucji obwinianych o wszystkie dotychczasowe nie-szczęścia – a i owszem, rewanż zaś – umieszczanie w starych instytucjach swoich ludzi – ma się najlepiej. Jakby Kaczyński budował IX RP, czyli III RP do kwadratu: ma być jak do tej pory, tylko bardziej, i to my będziemy na górze, a nie wy. To jest taka specyficzna mieszanka generalnych idei, no i stylu. Obie strony lubują się w etykietkowaniu: my jesteśmy patrioci, a wy zdrajcy. A drudzy odpowiadają: my jesteśmy demokraci,

w tych samych miejscach. I też PiS miało wtedy trzydziestokilkuprocentowe poparcie. Ale nie wiemy, jak będzie dalej. Czy to kres możliwości mobilizacyjnych dużych miast, czy jak przyjdą wybory parlamentarne, to dopiero będzie mobilizacja! Bo teraz była tylko przygrywka.

PSL się potłukło, ale żyje

Tego jednak nie wiemy.

– Za to widzimy, że walka jest wyrównana, to nie jest nokaut, ani w jedną, ani w drugą stronę. Kłopot tylko z PSL. W sondażach przedwyborczych ludowcy widzieli pętlę na swojej szyi.

Bo sondaże dawały im 4-5%.

wskazuje szefa lokalnych struktur, a jeśli ten nie przejdzie w głosowaniu, to się je powtarza, jest sprzeczny z wyobrażeniami o tym, jak partia powinna wyglądać. Podobnie jeśli chodzi o walkę na partyjnej górze. W PSL, owszem, gryzą się, ale nie zagryzają. Jeżeli kogoś zdejmą ze stanowiska, to się o niego troszczą, żeby miał z czego żyć, żeby się nie odgrywał. A styl działania PiS nie-specjalnie tak wygląda... PiS i PSL mają więc podobne elektoraty, trochę do siebie pasują, ale chyba bardziej nie pasują. Poza tym w PSL mają swoje doświadczenia. Już parę razy byli w podobnej, ciężkiej sytuacji. I przeżyli, wiedzą, że raz jest jeden prezes, raz drugi. Że fala dla jakiejś partii może wezbrać, ale potem opada. Że teraz górą jest PiS, ale za rok będą kolejne wybory. I co wtedy? A jak w nich pogonią PiS? Takie jest tam myślenie.

PiS wygrało 6:1 z KO, a w rzeczywistości, jeśli chodzi o władzę w sejmikach, będzie chyba 9:7 dla KO-PSL.

– PiS wyszło z dołka. Do tej pory przy 28% uzyskanych głosów miało 5% władzy w sejmikach. Teraz ma 34% głosów i 33% władzy. Bo poza Małopolską to są mniejsze województwa, uboższe, poniżej średniej. Ale medal ma drugą stronę – do tej pory PiS mówiło o samorządach źle, że niegospodarnie wydają pieniądze, że są tam układy itd. Że władza centralna robi to lepiej. Teraz będzie trudniej tak mówić. Bo jak krytykować siebie? Poza tym wszyscy będą się przyglądać, jak będą działać te sejmiki, które PiS obejmie.

Lepiej czy gorzej?

– Może będzie lepsze. A może być tak, jak mówi ludowa mądrość – fajno to samo, tylko muchy inne...

Wybory nas zmobilizowały.

– Wybory pokazały, że ten wrestling uprawiany po obu stronach jest odległy od rzeczywistości. Nie dzieje się tak, że toczy się ostateczna walka dobra ze złem, a jak się rozstrzygnie, to będzie koniec. To jest wojna pozycyjna i tu się zdobywa pozycję, tam traci, lecz zwycięskiego się nie zdobędzie. Nie ma zwycięstw i porażek ostatecznych. Polska polityka jest dużo bardziej normalna, niż jeszcze niedawno się wydawało.

Robert Walenciak



Czy wygrana Rafała Trzaskowskiego w I turze to kres możliwości mobilizacyjnych warszawiaków?

a wy zamordyści. W wersji uproszczonej wygląda to tak, że toczy się walka złodziei i wariatów. I dlatego wybór nie jest najłatwiejszy.

Polski podział...

– W innych krajach też to różnie wygląda.

Zaskoczyły pana wyniki w dużych miastach?

– Trzy lata nie było wyborów, więc emocji nagromadziło się dużo więcej niż zwykle. Ludzie byli wyposzczeni. Dodatkowo PiS popełniło błąd, podgrzewając atmosferę wokół tych wyborów, unaradawiając je. I przez to zmobilizowało swoich przeciwników, przynajmniej w dużych miastach. Być może bez tego szala przechyliłaby się bardziej na korzyść PiS. Odniosłem wrażenie, że obecna mobilizacja anty-PiS była bardzo podobna do roku 2007. Nastąpiła

– Później, w wieczór wyborczy, urwali się ze stryczka i było zadowolenie. Ale jak przyszły wyniki, okazało się, że PSL, spadając z gałęzi, boleśnie się potłukło. Ale żyje! Ma niezły wynik. W stosunku do 2014 r. straciło 200 tys. głosów. Niewiele, choć to nie jest nic. Tyle że potłukło się w dość bolesnych miejscach – chodzi o Świętokrzyskie, Lubelskie... **Teraz PiS namawia PSL na koalicję i widać, jak chce przejąć jego struktury, wójtów, koła...**

– Główny problem przy przejmowaniu PSL-owców jest taki, że oni przywykli do działania w kompletnie innym otoczeniu. To partia demokratyczna. Jak napisał mi jeden wójt, to jest taka partia, w której nie wiadomo, kto wygrał wewnętrzne wybory, dopóki nie policzy się głosów. Dla nich taki wariant jak w PiS, że prezes

WYBORCZY FITNESS

17 godzin i 40 minut w komisji liczącej głosy w Wilanowie

Ewa Smolińska-Borecka

W wyborach samorządowych głosowano w 26 983 obwodach. W każdym musiały być dwie komisje wyborcze: jedna do przeprowadzenia głosowania, druga do ustalenia jego wyników. Pracowało w nich co najmniej 270 tys. ludzi. Byłam jedną z tych osób.

POZWOLENIE NA BAZGRANIE

Nigdy nie byłam członkiem żadnej partii. Nigdy też nie pracowałam w żadnej komisji wyborczej. I pewnie nigdy bym się na to nie zdobyła, gdyby nie poprawki do Kodeksu wyborczego, które wniosła ustawa ze stycznia tego roku. Moje obawy wzbudziło już to, że głos będzie ważny wtedy, kiedy w kratce pojawi się wiele linii, o ile co najmniej dwie będą się przecinać. Ale naprawdę niepokojące było co innego: że w innej kratce można narysować, co się chce, można też kratkę zamazać i głos pozostanie ważny, jeśli tylko bazgroł w tej drugiej kratce nie składa się – całkiem przypadkowo – z dwóch lub więcej przecinających się linii. Już widziałam oczami wyobraźni, jak członkowie komisji liczącej głosy cichcem zamazują głos oddany na jednego kandydata, a wstawiają x w kratce przy innym kandydacie.

Niepokój wrócił, kiedy zbliżał się termin zgłaszania kandydatur do komisji obwodowych, który ustalono na 21 września. Uznałam, że skoro mam wątpliwości co do nowych regulacji, powinnam się zgłosić do obwodowej komisji wyborczej. Sądziłam, że komitety wyborcze będą chciały mieć w komisjach jak najwięcej ludzi, którym ufają, i że będzie nadmiar chętnych. A w tej sytuacji zdobycie miejsca w komisji przez osobę bez poparcia jakiegokolwiek komitetu wyborczego będzie niemożliwe. Pozostawało uzyskać takie poparcie. Duże partie nie wchodziły w rachubę, bo sądziłam, że mają armię chętnych do uczestniczenia w pracach komi-



Tylko niektóre komisje decydowały się na wysypywanie od razu wszystkich kart do głosowania z urny. Nz. komisja w Bełchatowie.

sji (dziś wiem, że wcale tak nie było). Postanowiłam przekonać do siebie jedną z małych partii. Zależało mi na tej drugiej, nocej komisji, bo wtedy – moim zdaniem – mogłoby dochodzić do nieprawidłowości. Po długim zastanowieniu poprosiłam o poparcie Unię Europejskich Demokratów.

Pełnomocnik wyborczy KW UED Zdzisław Litwińczuk nie był zaskoczony moim telefonem. Jak się okazało, jego partia zgłosiła już do komisji w całym kraju ok. 300 osób, które – podobnie jak ja – o to prosiły. Umówiliśmy się w siedzibie partii, bym odebrała wystawione na mnie odpowiednie zgłoszenia. Zdziwiłam się i ucieszyłam, że poszło jak z płatka. Pomyślałam, że zapewne mój głos budzi zaufanie. – Czy pani sądzi, że wystawiam to zgłoszenie na piękne oczy? – spytał Zdzisław Litwińczuk z uśmiechem, kiedy się spotkaliśmy. – Pełnomocnik wyborczy musi mieć swoje sposoby na sprawdzenie ludzi, którzy się zgłaszają do komisji. Szczególnie takie małe partie jak nasza są narażone na to, że pojawiają się trolle z innych opcji.

KANAPKI I COŚ DO PICIA

Rejestruję się w jednej z komisji wyborczych w warszawskim Wilanowie. Obie komisje obwodowe, czyli ta od przeprowadzenia wyborów i ta od liczenia głosów, mają po pięciu członków. W mojej są dwie osoby zgłoszone przez KKW Platforma.Nowoczesna Koalicja Obywatelska, jedna przez KW PiS, jedna przez KW Stowarzyszenia Mieszkańców Miasteczka Wilanów i ja – przez KW Unii Europejskich Demokratów.

Przez telefon dowiaduję się o szkoleniu. Jest za późno, bym mogła zmienić wcześniejsze plany i w nim uczestniczyć. Idę do urzędu dzielnicy. Urzędniczka informuje, że na pierwszym spotkaniu wybrano przewodniczącą komisji i jej zastępczynię. Dostaję broszurkę z wytycznymi dla obwodowych komisji wyborczych. Mam się z nią zapoznać. Upewniam się jeszcze, ile godzin może trwać liczenie, bo mam ważną sprawę w poniedziałek rano. Pani w urzędzie uśmiecha się i mówi, że lepiej, bym ▶

z nikim się nie umawiała. Ona pamięta, że kiedyś komisja liczyła głosy do późnych godzin popołudniowych. Mam nadzieję, że tak nie będzie.

Znajomi dziwią się, że chcę pracować w komisji. Radzą, żebym wzięła kanapki i coś do picia. Przewodnicząca komisji dzwoni, żeby powiedzieć, że ona przyniesie kawę i kubeczki jednorazowe. I że spotkamy się w dzień wyborów pod lokalem komisji o 20.45.

FATALNY START

Waham się między czarnymi szpilkami a białymi tenisówkami. Zwyciężają tenisówki. Jestem pierwsza pod lokalem wyborczym. Jeszcze otwarty. W przezroczystej urnie widać karty do głosowania. Zajmują jakieś cztery piąte wysokości, więc chyba nie jest źle.

Szybkim krokiem wchodzi ostatni wyborcy: mężczyzna, para, para, mężczyzna... Zjawiają się członkowie mojej komisji. Katarzyna, przewodnicząca, zgłoszona przez Stowarzyszenie MW Wilanów, wiceprzewodnicząca Anna oraz Dariusz zgłoszeni przez komitet Platforma.Nowoczesna Koalicja Obywatelska i Rafał zgłoszony przez komitet PiS. Oni już się znają ze szkolenia, mnie widzą po raz pierwszy. I być może zastanawiają się, po czyjej stronie jest taka osoba przysłana przez Unię Europejskich Demokratów.

Pojawia się szósta osoba. Kobieta. Ma dokumenty, z których wynika,

że jest mężem zaufania zgłoszonym przez PiS. Ma nam towarzyszyć przez cały czas liczenia głosów. Żaden inny komitet wyborczy nie przysłał męża zaufania.

Wybija 21. Wchodzimy do sali. Za białą-czerwoną zastawką jeszcze jeden wyborca. Komisja dzienna już policzyła podpisy wyborców na listach i na czterech kupkach ułożyła też policzone niewykorzystane karty do głosowania na radnych Sejmiku Województwa Mazowieckiego, Rady m.st. Warszawy i Rady Dzielnicy Wilanów oraz na prezydenta m.st. Warszawy. Musimy sprawdzić, czy te wyniki zgadzają się ze stanem faktycznym. Ta operacja przekazywania przez komisję dzienną komisji nocnej list, kart, urny oraz wszystkich materiałów związanych z wyborami odbywa się po raz pierwszy. Do tej pory w wyborach była tylko jedna komisja, która najpierw przeprowadzała głosowanie, a potem liczyła głosy. Ta zmiana, zdaniem rządzących, ma uchronić przed błędami w liczeniu głosów wynikającymi z tego, że członkowie komisji są zmęczeni 14-godzinny dyżurem.

Żeby wszystko odbywało się jak trzeba, Anna wyciąga broszurkę z wytycznymi Państwowej Komisji Wyborczej dla komisji obwodowych. Komisja dzienna w naszej asyście przylepia plomby na otworze urny i plombami łączy pokrywę z korpusem. Plombuje też drzwi boczne i drzwi balkonowe

prowadzące na zewnątrz. Od tego momentu nikt nie może zerwać plomb, a więc nie może niczego dorzucić lub wyjąć z urny, a wyjście jest możliwe tylko przez jedne drzwi, które cały czas mają być zamknięte na klucz. Zaczynamy liczyć podpisy na listach wyborców i niewykorzystane karty. Sięgam po te, które pozostały po głosowaniu do Rady m.st. Warszawy. Ułożone dziesiątkami. W jednym pakiecie dwie karty się skleily i jest ich faktycznie 11. Wynik jest więc wyższy o jeden, zamiast 130 – 131. Gdybym wiedziała, jakie to będzie miało konsekwencje...

Mężczyzna z dziennej komisji, który wcześniej liczył te karty, wbija we mnie wzrok grzechotnika. Proszę Dariusza, żeby przeliczył ponownie. Potwierdza mój wynik. Wypełniamy nowy protokół z tą zmianą. Podpisujemy dziesięcioma podpisami. W wytycznych zapisano, że po złożeniu podpisów komisja dzienna może opuścić lokal. Zostaje tylko ich przewodnicząca. Razem z naszą przewodniczącą idą do pokoju, w którym dyżuruje operatorka komputera. Wprowadza protokół do systemu, a ten... go odrzuca. Trzeba protokół poprawić.

Teraz okazuje się, że – choć wytyczne mówiły inaczej – komisja dzienna powinna czekać do momentu, kiedy system zaakceptuje protokół. Tymczasem cztery osoby są już w drodze do domu. Przewodnicząca dzienna dzwoni po kolei na komórki swoich ludzi, ale nikt nie odbiera. Dzwoni po raz drugi, coraz bardziej zdenerwowana. W końcu udaje się do wszystkich dodzwonić. Są wkurzeni, bo po pierwsze są na nogach od godz. 5 rano, a po drugie – jeśli nie mają samochodu, muszą jechać taksówką. Jedna z dziewczyn wraca aż z Targówka, czyli musi przejechać prawie całą Warszawę. Ale nie ma wyjścia, bo komisja nocna, czyli my, nie może zacząć pracy, dopóki protokół nie zostanie przyjęty.

W internecie sprawdzamy, jakie są prognozy wyborcze. Okazuje się, że według nich Rafał Trzaskowski dostał ponad 50% głosów i wygrał w I turze. Tego nikt się nie spodziewał. – To my jeszcze nie otworzyliśmy urny, a oni już wiedzą, jaki jest wynik? – żartuje Katarzyna. A potem wyciąga z torby kawę rozpuszczalną i kubeczki jednorazowe – nie zapomniała o obietnicy. Cała piątka ma ochotę na kawę. Wodę gotujemy w czajniku u ochroniarzy,



www.wydawnictwomg.pl



Wszystkie karty segregujemy i rozkładamy na odpowiednie miejsca.

którzy siedzą w recepcji, przed salą ślubów, w której rezyduje komisja.

Dariusz dzwoni do żony, która jest członkiem innej komisji obwodowej. Oni też jeszcze nie otworzyli urny. To nam poprawia humory.

Oczekiwanie – okazja dla mnie, by spytać członków komisji, czy znają wyjaśnienie Państwowej Komisji Wyborczej z 15 października w sprawie ważności głosu. Trafiłam na nie na stronie PKW poprzedniego dnia i wydrukowałam w pięciu egzemplarzach, dla każdego z członków. Nie znają. Przekazuję wydruk postanowienia, z którego wynika, że jeśli w dwóch kratkach pojawi się znak iks lub co najmniej dwie przecinające się linie, głos jest nieważny. Tymczasem na szkoleniu mówiono, że jeśli na liście jednego komitetu wyborczego pojawiają się iksy w dwóch kratkach, głos jest ważny, a zalicza się go temu kandydatowi, który zajmuje wyższe miejsce na liście. Katarzyna i Anna trzymają się interpretacji podanej na szkoleniu, a ja swoje: że szkolenie było 10 października, a wyjaśnienie PKW pochodzi z 15 października, więc moim zdaniem właśnie ono jest obowiązujące. Nie dochodzimy do porozumienia. – Gdy będzie taka sytuacja, ja będę głosować przeciw uznaniu głosu za ważny – informuję twardo. I to już moje drugie śpięcie tej nocy. W końcu ustalamy, że zajmujemy się tym, kiedy taka karta do głosowania się pojawi.

Dariusz dzwoni do żony. Jej komisja otworzyła urnę. Zostajemy w tyle.

Dojeżdżają członkowie dziennej komisji. Mężczyzna o wzroku grzechotni-

ka jest przekonany, że to wszystko moja wina, bo on policzył dobrze, a ja źle, i tej jednej dodatkowej karty nie było. Liczy ponownie, by mi udowodnić, że to on ma rację. Pytam, czy mu pomóc, żeby było szybciej. – Pani niech się do mnie nie zbliża – mówi groźnie. Ale po zakończeniu liczenia jest mu trochę głupio, bo jednak wyszło na moje.

Anna, kobieta z wyborczym doświadczeniem, postanawia sprawdzić, czy przysłana przez PiS pani, która ma być mężem zaufania, ma prawo pełnić tę funkcję. Okazuje się, że nie! – Przecież pani kandyduje w wyborach, więc nie może pani być mężem zaufania. Proszę wyjść z sali! – mówi

Możemy zacząć liczenie głosów. Jest 40 minut po północy.

zdecydowanie Anna. Wpadka komitetu wyborczego jest ewidentna. Niedoszła mąż zaufania żegna się z nami. Zostawia w podarunku białą czekoladę z orzechami.

Jest nowy protokół z kompletem podpisów. System go przyjmuje. Komisja dzienna może się rozjechać do domów. A my możemy zacząć liczenie głosów. Wiemy, że głosowało 1260 osób. Frekwencja wyniosła więc 76,5%. Jest 40 minut po północy. Minęły 3 godziny i 40 minut od zamknięcia lokalu wyborczego.

Jeszcze tylko krótka przerwa na siusiu – żeby potem, kiedy otworzymy urnę, nikt nie musiał wychodzić, bo pozostali musieliby przerywać liczenie. Cztery osoby mkną do toalety, Katarzyna – przewodnicząca – zostaje

w sali. Być może procedury nie pozwalają, by choć na chwilę spuścić urnę z oka, nawet w zamkniętym pomieszczeniu. Potem korzystamy z WC wielokrotnie – każdy wychodzi, kiedy musi, a komisja zamyka za nim drzwi do sali i czeka.

SKŁON I WYPROST

W piątkę otaczamy urnę, z namaszczaniem zdejmujemy nalepione pieczęcie, odkręcamy śruby mocujące pokrywę do korpusu, zdejmujemy pokrywę. Katarzyna i Anna robią to nie po raz pierwszy, bo wcześniej były już w komisji wyborczej. Anna nawet trzy razy. Ale pierwszy raz otwierają tak wielką i przezroczystą urnę. Korpus z dość cienkiego pleksi, teraz już nie trzymany przez pokrywę, wyrzusza się pod naporem głosów. Instrukcja obsługi wyborów zobowiązuje nas, byśmy nie uszkodzili, a nawet nie zadrapali urny. Dlatego wyciągamy porcje głosów i kładziemy je na podłodze.

Zastanawiamy się, dlaczego dzienni nie użyli drugiej urny, która pusta stoi za stołem komisji. Może się bali, że jakiegoś procedury wymiany urny mogą spowodować przerwę w wyborach? A – jak opowiadali – były okresy, że sala była całkowicie wypełniona ludźmi, do trzech stanowisk zapewniających poufność wyborów (dzięki niedużym tekturowym parawanom na stołach, z ledwością zasłaniającym płachty ze spisami kandydatów) ustawiały się kolejki chętnych, kolejka stała też do

stołu bez parawanu, a że w sali nie ma parapetów, by usiąść, niektórzy wyborcy odrobinę intymności próbowali znaleźć w holu, na zewnątrz sali.

Kiedy kartek w urnie jest na tyle mało, że nie sięgamy do nich, przewracamy urnę. Potem zaczynamy segregować. Wyznaczamy miejsca, w których będziemy składać poszczególne listy z kandydatami: tu wybory do rady dzielnicy, tu do sejmiku, tu do rady Warszawy, tu na prezydenta. Każdy ma inną metodę. Anna segreguje na stojąco, rozkładając karty na boku urny, Dariusz i Rafał siadają na podłodze obok siebie, Katarzyna i ja podchodzimy do każdego ze stosów i poszczególne kartki kładziemy na odpowiednie miejsce. Dziesiątki, setki skłonów, bo na każdego z nas przypa-

► da rozłożenie ponad tysiąca kart. – My mamy przynajmniej fitness – śmieje się Katarzyna. Ale po jakimś czasie czujemy ten fitness w kręgosłupach.

Tym razem ustawodawca pozwolił wyborcom na radosną twórczość na kartach, a więc rysowanie i dopisywanie, co komu przyjdzie do głowy. Spodziewałam się, że znajdzie się na nich mnóstwo dopisków w rodzaju: Janka jest głupia, Heniek to cham, PSL jest taki, Kukiz'15 owaki. Tymczasem karty są czyste. – Trafiliście na jakieś rysunki albo dopiski? – pytam. Zaprzeczają. Na przeważającej większości kart,

które przechodzą przez moje ręce, postawiono tradycyjne ikony. – O, mam dopisek! Ktoś napisał: „PiS to zło” – informuję pozostałych. Katarzyna, Anna i Dariusz uśmiechają się, Rafała, którego zgłosiło PiS, to nie bawi.

Kiedy szybko się segreguje karty, nie sposób stwierdzić, na jakie komitety głosowali wyborcy. Ale jedno rzuca się w oczy – większość w głosowaniu na prezydenta Warszawy wybrała Rafała Trzaskowskiego. Pytam pozostałych ludzi z komisji, czy mają takie samo wrażenie, czy akurat ja trafiam właśnie na Trzaskowskiego. Katarzyna,

Anna i Dariusz potwierdzają, że oni też to zauważyli, Rafał milczy. Potem jeszcze trafiam na dopisek dotyczący Patryka Jakiego. Niezbyt miły. Nie mówię o nim Rafałowi, żeby go nie martwić.

– Ale dziwna sprawa: ktoś w dwóch wyborach głosował na KO i Trzaskowskiego, a w dwóch pozostałych na SLD Lewica Razem. To ta sama osoba, bo karty były złożone razem, i taka rozbieżność opcji politycznych? – Anna jest zaskoczona.

Koniec segregowania kart wyborczych na poszczególne głosowania – godz. 2.45. Teraz trzeba posegregować według komitetów wyborczych, a potem według kandydatów z poszczególnych komitetów. Najbardziej nas kusi, by sprawdzić, jak jest z tymi wyborami prezydenckimi. Ale procedura inaczej określa kolejność sprawdzania głosów i głosowanie na prezydenta sprawdzamy jako ostatnie.

Dzwoni mąż Katarzyny, a potem mąż Anny. Każdy pyta, czy to już koniec. I bardzo się dziwi, że dopiero początek. Dariusz dzwoni do żony, dowiaduje się, że oni już wypełniają pierwszy protokół. Zazdrościmy im.

FERALNE 12 KART

Zaczynamy od głosowania do Rady m.st. Warszawy. Każdy z trzech stosów z kartami do głosowania, którymi będziemy zajmować się później, pakujemy w papier, żeby żadne karty nie migrowały z jednej sterty na drugą. Choć to mało prawdopodobne, bo każdy rodzaj ma inną wielkość i nazwiska kandydatów są oznaczone innym kolorem. Segregujemy na poszczególne komitety wyborcze. Okazuje się, że najwięcej głosów – to widać po wysokości stosu – ma KW Platforma. Nowoczesna Koalicja Obywatelska. Zaczynamy od niej. Najwięcej głosów ma pierwsza na liście. Tak jest zazwyczaj. To obecna radna, która często towarzyszyła Rafałowi Trzaskowskiemu podczas kampanii wyborczej. Sumujemy wszystkich kandydatów z tej listy.

Bierzemy się do PiS, które, sądząc po wysokości stosu, uzyskało drugie miejsce. Potem kolejne komitety wyborcze. Sumujemy wyniki. Brakuje 12 kart. Przeliczamy po raz drugi wszystkie stosy. Wynik bez zmian. – Skoro ludzie z powodu tłoku wychodzili głosować poza salę, to przecież mogli jedną czy dwie karty zabrać ze sobą – mówię. Ustalamy, że liczenie

**TO ZDARZYŁO SIĘ
NAPRAWDĘ.
NIE ŻARTUJEMY.**

BEREK

BEREK

JUŻ NA BLU-RAY™ I DVD!

NEW LINE CINEMA PRESENTS A BROKEN ROAD PRODUCTION "TAS" ED HELMS JAKE JOHNSON ANNABELLE WALLIS HANNUK DUBISS KLA FISHER
RASHIDA JONES LESLIE DUBBS WITH JON HAMM AND JEREMY KENNER MUSIC BY RICH BELL, USA COSTUME DESIGNER CLARE HILLET EDITOR GERRIANE FRANCO
EXECUTIVE PRODUCERS JOSH COCKRETT PRODUCED BY DAVID ZANDVOUR PRODUCED BY LARRY BLANFORD EXECUTIVE PRODUCERS RICHARD BRENER WALTER HANNA DAVID NEUSTAUTER HANS RITTER
SCREENPLAY BY MARK STELLEN DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY BY ROB MCKITTEN AND MARK STELLEN EXECUTIVE PRODUCERS TODD GARNER, JEFF TOWNSHIP
© 2015 Warner Bros. Entertainment Inc. All rights reserved.

DOSTĘPNE NA **dvdmax.pl**
DŁUGI I NAJWIEKSZA KUTURA

MensHealth **Parafarm** **Multikino** **FILMWEB** **WP**

po raz trzeci nie ma sensu, bo tych kart po prostu nie ma. Wpisujemy do protokołu, że brak kart jest spowodowany tym, że wyborcy wynieśli je poza lokal wyborczy. O godz. 6.20 operatorka wprowadza protokół do systemu. System przyjmuje, nie sygnalizuje błędu. Ale czy przyjmie miejska komisja wyborcza? Operatorka radzi, żebyśmy jeszcze nie zbierali kart do głosowania, bo tamta komisja może jednak nakazać kolejne policzenie głosów.

Anna śmieje się z tego, co powiedziała kiedy zaczynaliśmy dyżur: że musi wyjść najpóźniej o godz. 7, żeby odprowadzić dziecko do przedszkola. Zbliża się 7, a my nie mamy zatwierdzonego nawet pierwszego z czterech protokołów. Anna dzwoni do mamy i prosi, żeby zajęła się wnukiem. – Na pewno syn się ucieszy, że może zostać z babcią – wzdycha.

Decydujemy, że zaczynamy segregować karty z radnymi do Sejmiku Województwa Mazowieckiego. Przestrzeń zajmowaną przez karty do głosowania na radnych Rady m.st. Warszawy oddzielamy stołami od reszty podłogi, aby nikt z nas tam nie wchodził.

Karty do głosowania na radnych sejmiku dzielimy na poszczególne komitety wyborcze. I tym razem najwyższy stos tworzą wskazania na Koalicję Obywatelską. Karty z poszczególnych komitetów dzielimy według kandydatów. I tym razem najwięcej głosów ma kandydat z pozycji pierwszej.

Protokół pierwszego głosowania wciąż niezatwierdzony. W końcu z miejskiej komisji wyborczej przychodzi decyzja. Nie musimy po raz trzeci liczyć kart. Uff! Ale w uzasadnieniu braku 12 kart wyborczych mamy zamiast „Zostały wyniesione z lokalu wyborczego” napisać „Nie zostały wrzucone do urny”. Wpisujemy poprawkę. Protokół ponownie idzie do akceptacji. Zostaje klepnięty. O godz. 8.45 poprawiony i wydrukowany dostajemy do podpisu.

W SZAMPAŃSKIM HUMORZE

Mija 12. godzina pracy. Zamiast złości i zmęczenia pojawia się etap totalnego rozbawienia. Naszą sytuację określamy niezbyt cenzuralnie: jesteśmy w czarnej d... I oczywiście mnożą się żarty na ten temat. Kto miał dziś się pojawić w pracy i sądził, że to mu

się uda albo co najwyżej nieznacznie się spóźni, będzie musiał wziąć urlop. Dariusz, który sam jest pracodawcą, odwołuje jakieś ważne spotkanie. Ja, uprzedzona przez urzędniczkę, że ta operacja może potrwać do godzin popołudniowych, przynajmniej tym się nie stresuję.

Choć po kilku godzinach mamy prawo pracować wolniej, efekt jest odwrotny – rozkręciliśmy się, idziemy jak burza. Karty do głosowania do Sejmu Województwa Mazowieckiego są już posegregowane, protokół wypełniony. Segregujemy karty do głosowania do Rady Dzielnicy Wilanów. Kończymy. Wypełniamy protokół. O godz. 11.30 zaczynamy segregować karty do głosowania na prezydenta Warszawy. W zdumiewającym tempie rośnie liczba głosów oddanych na Rafała Trzaskowskiego. Sumujemy głosy. Brakuje trzech. Ponownie liczymy głosy oddane na poszczególnych kandydatów. O tej godzinie pomyłki są możliwe. Znaj-

Wychodzę z lokalu o 14.40. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Ale nie jestem pewna, czy to przeżycie będę chciała powtórzyć.

dujemy brakujące karty w paczce Trzaskowskiego, więc jego wynik się powiększa. Rafał przelicza część głosów oddanych na swojego imiennika. A potem siedzi nad leżącymi na podłodze kartkami jakby zadumany. – Mogę już zabrać Trzaskowskiego? – pytam, bo widzę, że wpatruje się w stosik. – Tak, weź, ja już go nie chcę dotykać... – stwierdza. Nie dziwię się jego smutkowi – Trzaskowski dostaje 950 głosów, 75,4% oddanych w głosowaniu na prezydenta, a jego faworyt 171, czyli pięć i pół razy mniej.

ROBI SIĘ PODNIOŚLE

Dariusz dzwoni do żony. Jej komisja też kończy liczenie. Cieszymy się, że dogoniliśmy ich po naszym fatalnym starcie.

Ostatni protokół wypełniony. I zaakceptowany przez system. Czekamy na decyzje miejskiej i terytorialnej komisji wyborczej. Około godz. 13 dzwoni mąż Katarzyny. Jest zdenerwowany, że ona wciąż w komisji i że to ma jeszcze trwać, może nawet kilka godzin. Odgrza się, że to ostatnia komisja wyborcza, w której ona bierze udział. Zraz potem – zupełnie jakby się zmówili

– dzwoni mąż Anny. Też jest wkurzony. I też zapowiada, że to jej ostatnia komisja wyborcza. – Pewnie powiedziałaś mu, że u nas jest taka fajna atmosfera i ci pozazdrościł. Teraz on będzie chciał uczestniczyć w komisjach wyborczych – żartuję. Ale faktycznie atmosfera jest wspaniała, mimo że dzielą nas wiek i sympatie polityczne.

Po godz. 13 wszystkie protokoły są zaakceptowane i wydrukowane. Podpisujemy je. Katarzyna wkłada po dwie sztuki do odpowiednich kopert, osobno dwie płyty CD z nagraniem. Po koperty ma przyjechać kurier z Urzędu m.st. Warszawy. Przyjeżdża, zabiera. Pakujemy karty do głosowania do worków. Mamy do dyspozycji żółte, niebieskie i zielone. Również do worka trafiają lista z podpisami wyborców, niewykorzystane karty do głosowania, wszystkie pozostałe dokumenty i przybory związane z wyborami. Żadnej z tych rzeczy nie można wynieść z sali komisji obwodowej. Worki muszą być zaplombowane.

– Ta dzisiejsza noc i dzień, które spędziliśmy razem, przekonały mnie, że mimo różnic politycznych nadal potrafimy się dogadać i szanować swoje poglądy. I że możemy spędzić ze sobą naprawdę miłe chwile – mówi Katarzyna i atmosfera robi się podniosła.

Wychodzę z lokalu o 14.40. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Ale nie jestem pewna, czy to przeżycie będę chciała powtórzyć. I przypominam sobie słowa przewodniczącego PO Grzegorza Schetyny: „Wyborów nie wygrywa się w Wilanowie”.

WYNIKI

Państwowa Komisja Wyborcza w nocy z 24 na 25 października podała wyniki wyborów na wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Po północy zaś ogłosiła wyniki wyborów do rad dzielnic m.st. Warszawy, rad gmin, rad powiatów i sejmików województw. Dziennikarze obecni na konferencji prasowej, kiedy to przewodniczący PKW Wojciech Hermeliński odczytał protokół, nie mieli żadnych pytań. Bo kto pyta, później kładzie się spać.

Ewa Smolińska-Borecka

Dlaczego Kraków wybiera Jacka Majchrowskiego?

Miasto jest dziś polskim liderem walki ze smogiem, a miejska zieleń zaczyna wyglądać najlepiej w Polsce

Tomasz Borejza

Po pierwszej turze wyborów samorządowych z redakcji przyszły dwa pytania. Jedno brzmiało tak: dlaczego kampania wyborcza w Krakowie była tak spokojna? Drugie: dlaczego po 16 latach rządów Jacka Majchrowskiego krakowianie wciąż chętnie na niego głosują? Odpowiedź na pierwsze jest taka, że kampania miała wyglądać inaczej, jednak Prawo i Sprawiedliwość potknęło się o własne nogi. Wybrało bowiem linię ataku, która była bardzo nośna, ale w wykonaniu PiS niewiarygodna.

NIEWIARYGODNI OBROŃCY MIASTA

W marcu na antenie TVP wyemitowano program, w którym pokazano tzw. betonowanie Krakowa. Winą obarczono magistrat, co było przekazem w wielu aspektach prawdziwym. Główna teza programu, powtarzana zresztą na krakowskich ulicach od dłuższego czasu, brzmiała: „To nie jest miasto dla mieszkańców, to jest miasto dla deweloperów”. Materiał był też ostry. Zapowiadało się więc na dość agresywną kampanię. Tym nośniejszą, że połączenie braku gruntów budowlanych z dużym popytem na rynku nieruchomości i wysokimi cenami mieszkań powoduje, że deweloperzy poczynają sobie tutaj z nieprzyzwoitą fantazją. A wszystko przez lata działo się przy bierności lub wsparciu magistratu, co potwierdził zlecony niedawno audyt wewnętrzny. Mimo to kampania skończyła się równie nagle, jak zaczęła.

Powody były trzy. Po pierwsze, wśród mieszkańców zaangażowanych w tzw. Forum Obrony Przestrzeni, których TVP prezentowała jako ludzi bezstronnych i poszkodowanych,

znaleźli się byli radni, których można było podejrzewać nie tylko o sympatię do PiS, ale także o plany kandydowania z list tej partii do rady miasta. To budziło nieufność ludzi, w tym lokalnych dziennikarzy. Ci, nie chcąc dać się wykorzystać, zachowali do tej inicjatywy zdrowy dystans. Jak się później okazało, słusznie, bo działacze FOP rzeczywiście startowali z list PiS.

Drugim powodem było to, że akurat Małgorzata Wassermann i krakowscy pisowcy wyglądali komicznie w roli oburzonych obywateli walczących o plany zagospodarowania miasta oraz zieleń. Wassermann bowiem głosowała w Sejmie za tzw. /ex deweloper, specustawą budowlaną, która umożliwia zawieszanie oraz całkowite ignorowanie planów urbanistycznych. Głosowała też za /ex Szyszko, którego efektem była

nowiska odpowiedzialną za planowanie przestrzenne wiceprezydent Elżbietę Koterbę. Od pewnego czasu wiceprezydent była symbolem betonowania miasta. Uparcie przekonywała, że kolejne, powstające bez ładu, składu i infrastruktury „parki” – jak żartuje się w Krakowie – podnoszą jakość życia w mieście. A jednocześnie liczne wątpliwości budziły relacje urzędu z firmą architektoniczną należącą do jej syna i męża (sama Koterba odeszła z niej po objęciu funkcji w magistracie). Na przykład w sytuacjach, kiedy syn pani wiceprezydent reprezentował dewelopera planującego budowę, przeciw której zdecydowanie protestowali mieszkańcy okolicy. Lub wtedy, gdy miasto wyjątkowo hojnie dotowało konserwatorski remont kamienicy należącej do firmy.

Zachowawczość, którą wielu uważa za największą słabość prof. Majchrowskiego, jest jednocześnie największą jego zaletą.

rzez drzew w polskich miastach. Z kolei krakowskie PiS, które stroiło się w piórka obrońców wspólnej przestrzeni przed nieskładną zabudową, ma długą historię głosowania za pomysłami wspierającymi fantazje deweloperów, a szczególnie uległe jest wtedy, gdy deweloperzy noszą sutanny. W czasie kampanii opóźniło np. uchwalenie jednego z planów miejscowych, co dało zakonowi dominikanów możliwość postawienia 55-metrowych wieżowców. Była to hipokryzja bardzo dobrze widoczna i równie mocno zniechęcająca.

NAUKI WYCIĄGNIĘTE Z „KSIĘCIA”

Trzecim zaś powodem były decyzje samego prezydenta Majchrowskiego. W sierpniu, w czasie urlopu i podobno SMS-em, zwolnił ze sta-

Kroplą, która – przynajmniej oficjalnie – przełała czarę, stał się fakt, że Biuro Rozwoju Krakowa (tak nazywa się firma, z której Elżbieta Koterba przyszła do urzędu) było współautorem projektu gigantycznego osiedla, które rząd planuje zbudować na krakowskich Klinach w ramach projektu Mieszkanie+. Osiedle było głównym narzędziem, za pomocą którego urząd odpierał ataki na fatalną jakość tutejszej urbanistyki. Mówiło się: może i jest źle, ale PiS robi rzeczy jeszcze gorsze. Kiedy się okazało, że PiS robi je we współpracy ze znaną w Krakowie firmą BRK, a sprawy osiedla negocjuje ze stroną rządową właśnie Elżbieta Koterba, prezydent ją zwolnił.

Ten ruch spodobał się wielu krakowianom i – w myśl zasady, że „car dobry, tylko bojarzy źli” – zmniejszył presję na prezydenta Jacka



Prof. Jacek Majchrowski rządzi Krakowem już od 16 lat. Czy krakowianie wybiorą go na kolejne pięć?

Majchrowskiego. Było to zresztą zachowanie typowe dla prezydenta i będące kluczem do jego popularności. Prof. Majchrowski jako historyk myśli politycznej doskonale zna bowiem „Księcia” i wie, że jest to nie tyle opis machiawelicznych intryg, ile raczej poradnik dobrego i skutecznego rządzenia. Jego recepty stosuje więc w życiu.

Efektom jest styl, który drażni i zniechęca ludzi mających duże oczekiwania, bo prezydent jest zachowawczy i krakowianom nie tyle przewodzi, ile podąża za nimi. Ale jednocześnie jest to styl, który rozładowuje złe emocje i prawie nigdy nie drażni większości.

Sytuacja w Krakowie na ogół przedstawia się tak: w jakiejś sferze życia źle się dzieje, ale przez długi czas nic się z tym nie robi, bo nikt tego nie dostrzega. W końcu mieszkańcy zaczynają się sprzeciwiać. Rodzi się protest. Niekiedy rozwija się na tyle, że sprawa zaczyna budzić emocje. Prezydent Majchrowski czeka wówczas, co się stanie, i jeżeli widać, że nie uspokoi się to samo z siebie, wkracza i reaguje. Tak było z igrzyskami olimpijskimi, kiedy – choć przez wiele miesięcy miasto inwestowało miliony w ich promocję – rozpisał referendum. Tak było z miejską zielenią, o którą przez lata niezbyt dbano. Ale kiedy okazało się, że przesadzono i kwestia budzi duże emocje, Majchrowski powołał Zarząd Zieleni Miejskiej, który dziś

wydaje 150 mln zł rocznie na zagospodarowanie skwerów oraz remonty parków. Tak było z komunikacją publiczną, która długo była w cieniu inwestycji w transport samochodowy, by na skutek protestów i petycji stać się dla miasta deklarowanym priorytetem. Tak było z wieloma pomniejszymi sprawami. Na przykład z Janem T., którego mimo kilkunastu prokuratorskich zarzutów mianowano szefem jednostki odpowiedzialnej za miejskie drogi i transport, by po trzech dniach, kiedy sytuacja zaczęła się zaogniać, a bunt narastał, zwolnić go ze stanowiska. Wciąż jednak mówiąc, że byłby na nim dobry.

Inną bowiem cechą charakterystyczną rządów Jacka Majchrowskiego jest lojalność wobec swoich ludzi. Znacznie większa, jak się wydaje, niż ich wobec niego, ale zapewniająca to, że środowisko nazywane magistrackim dworem jest dość spójne, chętnie broni szefa, a nawet bierze na siebie jego porażki. Ludzie wiedzą, że szef nie da im zginąć. Wyjątkiem od tej reguły, który być może zapowiada zmianę i w tej sferze, była Elżbieta Koterba.

Kluczem do zrozumienia popularności prezydenta Majchrowskiego jest więc to, że nigdy nie wyprzedza on oczekiwań społecznych, nie ingeruje w życie miasta, kiedy nikt tego nie oczekuje, ale prawie zawsze reaguje, kiedy presja staje się duża i widać, że proponowane rozwiązania są popularne. Rządzi miastem

konserwatywnie, ale z wyczuciem reaguje na konflikty i robi krok do przodu, kiedy wyraźnie widać, że ludzie chcą, by go zrobił. Zachowawczość, którą wielu uważa za jego największą słabość, jest jednocześnie największą zaletą prof. Majchrowskiego.

OSTATNIA KADENCJA MOŻE BYĆ NAJLEPSZA

Co daje nadzieję, że ostatnia kadencja – o ile oczywiście prezydent Majchrowski wygra w drugiej turze, a kadencja rzeczywiście będzie ostatnia, bo takie miały być już dwie poprzednie – będzie najlepszą z dotychczasowych. Przybyło bowiem w mieście ludzi, którzy oczekują, że Kraków będzie się rozwijał w sposób podobny do porównywalnych miast zachodnich i sięgnie po wzory sprawdzone np. w Kopenhadze czy Amsterdamie. Jednocześnie prezydent, który nie musi się martwić o reelekcję, może je wdrażać odważniej. Dotąd, kiedy prof. Majchrowski decydował się posłuchać tych głosów, zapewniało mu to sukcesy. Dzięki temu miasto jest dziś polskim liderem walki ze smogiem, a miejska zieleń – lub to, co z niej zostało – zaczyna wyglądać najlepiej w Polsce. Także praca oficera rowerowego jest widoczna na każdym kroku. A największym wyzwaniem kolejnych pięciu lat będzie rozwój komunikacji zbiorowej.

Zanim jednak prezydent będzie mógł się skupić na większych wyzwaniach, czeka go jedno mniejsze. Jego koalicjant, czyli małopolska Platforma Obywatelska, ma po wyborach poważne problemy. Partia straciła większość w sejmiku wojewódzkim, a bardzo wielu z jej ważniejszych polityków znajdowało zatrudnienie na dyrektorskich oraz prezesowskich stanowiskach w spółkach regionalnych. Można się spodziewać, że PiS nie będzie tego tolerowało, co oznacza, że będą musieli znaleźć nową pracę. Pielgrzymki do gabinetu prof. Majchrowskiego ponoć już się rozpoczęły. Tymczasem – pomijając politykę ogólnokrajową – to właśnie traktowanie województwa jak dojrzałej krowy zadecydowało o fatalnym wyniku Platformy w Małopolsce. Przykład? Mianowanie na stanowisko prezesa Kolei Małopolskich radnego PO, który głośno mówił, że nie zna się na kolei. ■

Arkadiusz Panasiuk

Chociaż Sejmik Województwa Podlaskiego odbiło Prawo i Sprawiedliwość, zdobywając w nim 16 z 30 mandatów, to wyborcy w miastach nie wybierali na prezydentów i burmistrzów kandydatów PiS. W Białymstoku nadal będzie rządzić Tadeusz Truskolaski, w Suwałkach – Czesław Renkiewicz, w Łomży większe szanse w II turze ma wyrzucony z PiS Mariusz Chrzanowski niż popierana przez Zjednoczoną Prawicę Agnieszka Muzyk. W Bielsku Podlaskim w I turze wygrał zdecydowanie kandydat Koalicji Obywatelskiej Jarosław Borowski. Przed nim jednak niełatwa II tura. Zmierzy się w niej z Tomaszem

Hajnówka przeciw sobie

Sympatyk ONR i twórca Marszu Pamięci Żołnierzy Wyklętych zdobył najwięcej głosów w wyborach do powiatu



Mieszkańcom Hajnówki głosującym na Bogusława Łabędzkiego nie przeszkodziło to, że jest on inicjatorem marszu sławiącego morderców ich przodków.

Hryniewickim, który mimo że startuje z lokalnego komitetu wyborców, dostał mocne wsparcie od wicepremiera Jarosława Gowina i Tadeusza Romańczuka, wiceministra rolnictwa i senatora PiS. Na ostatniej prostej przed 4 listopada w przypadku Hryniewickiego niebagatelną rolę odegra pisowska większość w sejmiku wojewódzkim, która będzie decydować o podziale środków z programów operacyjnych.

Był to, co tu kryć, stały element szantażu stosowanego przez rządzących w wielu miejscach Polski. Kandydat Zjednoczonej Prawicy w Bielsku sięgał po niego zresztą już wcześniej, kiedy zarzucił trzeciej co do wyniku kandydatce na fotel włodarza miasta, obecnej wiceburmistrz Bożenie Zwolińskiej (11,90% głosów), że pozbawiła Bielsk możliwości monitoringu, kryty-

kując publicznie Jarosława Zielińskiego. A „przecież jeden telefon do ministra by wystarczył, żeby znalazł się etat dla dodatkowego policjanta na komendzie powiatowej odpowiedzialnego za monitoring”.

Borowski zwycięstwo mógłby natomiast zawdzięczać silnemu, mobilizującemu się w sytuacjach krytycznych elektoratowi prawosławnemu oraz wyborcom Zwolińskiej z Naszego Podlasia, lokalnej, bielskiej chadecji, która od lat wchodzi w alianse z kandydatami mniejszości, zgodnie dzieląc wpływy i stanowiska, czy to w magistracie, czy w starostwie powiatu bielskiego.

O fotel bielskiego burmistrza ubiegał się też Arkadiusz Waszkiewicz z Sojuszu Lewicy Demokratycznej. 26-letni prawnik podczas debat kandydatów pokonywał konkurentów

przygotowaniem merytorycznym, zadziornością i elokwencją, ale zdobył niespełna 5% głosów. Jak wielu kandydatów lewicy padł ofiarą plebiscytu, w którym liczyły się tylko dwa wielkie bloki partyjne: PiS i PO.

W sąsiedniej Hajnówce ze zwycięstwa ponownie cieszy się lokalny lewicowo-białoruski komitet Porozumienie Samorządowe Regionu Puszczy Białowieskiej, który władzą w powiecie będzie musiał się podzielić z PSL. Jerzy Sirak, wieloletni wicestarosta powiatu hajnowskiego i dwukadencyjny burmistrz miasta, wygrał w I turze z ponaddwukrotną przewagą nad sumą głosów, jakie otrzymali kandydaci Koalicji Obywatelskiej i PiS. Mało kto pamięta, że Sirak w przeszłości był szefem lokalnych struktur Sojuszu, z którym jednak kilka lat temu się pożegnał, kalkulując, że etykieta „komucha” w starzejącej się, a więc coraz bardziej konserwatywnej Hajnówce nie przysporzy mu kolejnych głosów. Będąc bowiem w dużej mierze zwolennikiem ochrony Puszczy Białowieskiej w wydaniu ministra Jana Szyszki, od którego dostał pamiątkowy medal, zyskiwał głosy pisowców katolików.

Wyznawców prawosławia, którzy w Hajnówce stanowią zdecydowaną większość, ujmuje Sirak próbami sądowego zablokowania marszów ONR sławiących Romualda Rajsa „Burego”, którego oddział w 1946 r. wymordował kilkadziesiąt osób narodowości białoruskiej w powiecie bielskim i hajnowskim.

Paradoksalnie poparcie hajnowian zdobył także były katecheta i członek PiS, obecnie na etacie w IPN – Bogusław Łabędzki, który marsz ku chwale „wyklętych” w Hajnówce wymyślił, a pierwszy, z osobami skazanymi m.in. za sianie nienawiści narodowościowej i naruszenie nietykalności policjantów, poprowadził. Łabędzki, który jako radny miejski publicznie zapowiadał, że w wyborach do samorządu już nie wystartuje, zmienił jednak zdanie i w wyborach do rady powiatu zdobył 859 głosów mieszkańców Hajnówki. Łabędzki będzie jednym z dwóch pisowskich radnych w powiecie. 11 radnych w 17-osobowej radzie będą miały komitet burmistrza Siraka i PSL. Dwa mandaty zdobyła Koalicja Obywatelska, zwiększając swój stan posiadania o połowę. To niewiele, ale front prokonstytucyjny w samorządzie zyskał kolejnego sojusznika. ■

Z Galicji



Jan Widacki

ŻARÓWKA A SPRAWA POLSKA

Stoń z powiedzonka „stoń a sprawa polska” musi ustąpić miejsca żarówce. Dzięki prezydentowi Dudzie i jego talentom dyplomatyczno-dydaktycznym zademonstrowanym w Niemczech prezydent Frank-Walter Steinmeier, a wraz z nim cały świat, zrozumiał wreszcie, na czym polegają wolność i demokracja, i – co więcej – jakie czyhają na nie zagrożenia. Jako przykład ograniczania wolności i demokracji podał prezydent Duda zalecenie Unii Europejskiej dotyczące żarówek energooszczędnych, które mają zastąpić żarówki tradycyjne. Tymczasem pan prezydent, przywykły do tradycyjnych wartości, gustuje w tych żarowych. Takich z drucikiem. A tu Unia, paskudna, tak ogranicza wolność polskiego prezydenta i zapewne wielu podobnych mu miłośników żarówek z drucikiem!

Co prawda, na twarzy niemieckiego prezydenta malowało się osłupienie, ale być może tak wyrażał swój zachwyt i podziw dla prezydenta ościennego kraju.

Powiedzieć coś głupiego zdarza się zapewne każdemu. Nie wykluczam, że i Albert Einstein czasem coś głupiego palnął. Ale jestem przekonany, że owa głupota nie dotyczyła fizyki.

Absolwentowi, a tym bardziej doktorowi Wydziału Prawa, w dodatku Uniwersytetu Jagiellońskiego, takiej głupoty palnąć nie wypada. A co dopiero prezydentowi europejskiego państwa.

Aby powiedzieć coś tak głupiego, trzeba nie rozumieć istoty rozmaitych ograniczeń, które podejmowane są dla dobra ogółu. Nie rozumieć istoty prawa ani istoty państwa. Ani istoty Unii Europejskiej.

Studenta prawa uczy się historii doktryn politycznych i prawnych i w ramach tego przedmiotu pokazuje się istotę umowy społecznej oraz granice wolności. Tłumaczy się, że granicą wolności jednostki jest wolność innych jednostek. Pokazuje, że bezwzględne realizowanie wolności przez poszczególne jednostki, kosztem innych jednostek i bez liczenia się z ich wolnościami, jest niedopuszczalne. Na zajęciach z różnych dyscyplin obowiązującego prawa pokazuje się, jakie są realne granice wolności słowa (nie można nikogo obrażać czy kłamać na czyjś temat i zaślaniać się wolnością słowa). Prawo karne niesłuchanie – z punktu widzenia pana prezydenta – ogranicza wolność jednostek, zabraniając zabijać, kraść, gwałcić, fałszować dokumenty...

Tak. Nakazy i zakazy prawa regulują życie społeczne. Można więc powiedzieć, że ograniczają wolność. Ale czy

można sobie wyobrazić społeczeństwo, w którym żaden zakaz ani nakaz prawa nie obowiązuje? W którym, nie bacząc na dobro innych jednostek ani całej społeczności, każdemu wszystko wolno?

Unijne zalecenie odchodzenia od tradycyjnych żarówek podyktowane było nie chęcią dokuczenia ich miłośnikom, ale tym, że zużywają one więcej energii niż żarówki energooszczędne. Więcej energii – ze szkodą dla środowiska – trzeba zatem wyprodukować w elektrowniach. Zmniejszenie zużycia energii leży w interesie nas wszystkich, z miłośnikami starych żarówek włącznie. Nawet gdyby Unia zakazała sprzedaży takich żarówek (nie wiem, czy zakazała, bo wciąż są one u nas w sprzedaży), zrobiłaby to w interesie i dla dobra ogółu. Nie ma to nic wspólnego z ograniczeniem wolności i demokracji.

Żarówka pana prezydenta świecić będzie jeszcze długo. I długo jeszcze będzie symbolem władzy szczególnie nieoświeconej. Nawet żarówką energooszczędną.

•

Tymczasem Krajowa Rada Sądownictwa postanowiła uczcić... 100 lat niezależnego sądownictwa w Polsce. Naprawdę! Organizuje w tej sprawie konferencję międzynarodową, na którą udało się jej pozyskać nawet (i zdaje się – jedynie!) zagranicznego referenta z Armenii. To, że nikt z krajów starej demokracji nie zechciał przyjąć zaproszenia, jest dla mnie

Żarówka pana prezydenta długo jeszcze będzie symbolem władzy szczególnie nieoświeconej.

zrozumiałe. Ale z Białorusi czy Turkmenistanu albo nawet Korei Północnej może ktoś by przyjechał. Nie zaproszono? Zaproszono, ale nawet oni nie przyjęli zaproszenia? Faktycznie, Krajowa Rada Sądownictwa w obecnym składzie i przy obecnym trybie powoływania, przy ogólnie znanych zasługach na rzecz utrzymania niezależności władzy sądowniczej nie wydaje się szczególnie predestynowana do czczenia tej rocznicy. Chyba że hasło „Stulecie niezawisłości sądownictwa w Polsce” należy rozumieć dosłownie – od 1918 r. do 2018. Po roku 2018 już tej niezależności sądownictwa nie będzie?

Na marginesie, wedle konstytucji (brzydkie słowo na k) sądy są niezależne (art. 173 konstytucji). Niezawisli są sędziowie (art. 178 konstytucji). Wypadałoby, by Krajowa Rada Sądownictwa – nawet w obecnym składzie – te dwa pojęcia odróżniała.

Oj, chyba i tu zabrakło żarówki. Ciemność widzę, wkoło ciemność!

CHAOS NA SKRZYDŁACH

Prawa pracownicze załóg PLL LOT są naruszane z coraz większą arogancją. Zagroza to bezpieczeństwu lotów, ale premier nie reaguje

Katarzyna Wierzbicka

Połamane drzewa, przejmujące zimno, lodowaty, silny wiatr i deszcz, brak toalet – to sceneria rozpoczętego 18 października strajku pracowników PLL LOT. Prezes Rafał Milczarski zakazał bowiem strajkującym wchodzenia do firmowych budynków i korzystania z ubikacji. Nie zgodził się również na rozłożenie nad protestującymi płachty chroniącej ich przed deszczem ani rozstawienie koksowników, które mogłyby ich ogrzać. „Zaraz nam drzewa wytną!”, napisał na Twitterze jeden ze strajkujących, komentując kolejne represje szefa narodowego przewoźnika.

Mimo złej pogody nic nie wskazuje, żeby protestujący mieli się poddać. – Nie odpuszcimy! – mówi zwolniona dyscyplinarnie kilka miesięcy temu stewardesa i przewodnicząca Związku Zawodowego Personelu Pokładowego i Lotniczego Monika Żelazik, siedząc pod złoto-srebrną folią izotermiczną wraz z kilkoma innymi działaczami. – Większość z nas jest tutaj od godz. 6 rano do 10 wieczorem, jesteśmy bardzo zdeterminowani. Jakoś dajemy radę. Ludzie przynoszą nam ciepłą herbatę, wspierają nas. Jeśli teraz ustąpimy, to pokażemy, że wszystko jest dozwolone.

MILCZENIE

Strajk generalny pracowników PLL LOT rozpoczął się dzień po uchyleniu przez sąd apelacyjny wyroku niższej instancji oznaczającego w praktyce konieczność wstrzymania akcji strajkowych. Mimo tego wyroku prezes Milczarski nazywa strajk nielegalnym, a protestujących obciąża odpowiedzialnością za odwołane loty. 22 października zarząd zwolnił dyscyplinarnie 67 wieloletnich pracowników spółki.

Związkowcy żądają powrotu do poprzedniego regulaminu wynagrodzeń, przestrzegania prawa pracy i przywrócenia na stanowisko Moniki

Żelazik. Do wcześniejszych postulatów doszedł jeszcze jeden – dymisja obecnego zarządu spółki, z Rafałem Milczarskim na czele.

Tymczasem prezes rezygnować ze stanowiska nie zamierza. „Nie podam się do dymisji – oświadczam w rozmowie z Money.pl, nazywając zapowiadany od dawna strajk „zakazaną próbą sterroryzowania firmy”. – Nie jestem tu na miesiąc, nie jestem na rok, a na lata”. Prezes nie ukrywa praktyk stosowanych wobec protestujących: „Tracimy i to chyba jasne. Muszę jednak powiedzieć, że jesteśmy w stanie wskazać pracownika winnego odwołania danego lotu. I oczywiście będziemy wysyłać takim osobom noty obciążeniowe, gdy już policzymy całość strat”.

Mimo zaskakującej otwartości prezesa stosowanym przez niego metodom – podobnie jak samemu strajkowi – towarzyszy milczenie rządzących. – O tym, co się dzieje w Locie, byli wielokrotnie informowani premier Mateusz Morawiecki, a także Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, Państwowa Inspekcja Pracy i ABW – mówi szef mazowieckiego OPZZ Piotr Szumlewicz. – Tylko Państwowa Inspekcja Pracy zajęła oficjalne stanowisko.

Związkowcy zaś od wielu miesięcy apelują o interwencję premiera Morawieckiego. Wystali do niego już

kilkadziesiąt pism. I choć zobowiązał się kilka miesięcy temu do objęcia spółki osobistym nadzorem, na razie nie odpowiedział na żadne z nich. – Jeszcze raz bardzo prosimy premiera Morawieckiego o pilną interwencję. Nie możemy już dłużej czekać – apelował kilka dni temu Adam Rzeszot, pilot i szef Związku Zawodowego Pilotów Komunikacyjnych, zwolniony w poniedziałek wraz z innymi pracownikami.

Przez OPZZ milczenie premiera interpretowane jest jednoznacznie. „Dotychczasowy brak działań premiera Mateusza Morawieckiego należy odczytywać (...) jako milczącą zgodę na brutalne łamanie praw pracowniczych i związkowych w strategicznej spółce Skarbu Państwa”, czytamy w stanowisku prezydium Porozumienia.

Milczy również Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która do sprawy została włączona ze względu na sygnały o znacznych zaniedbaniach Lotu w dziedzinie bezpieczeństwa. Pisaliśmy o tym w 37. numerze PRZEGLĄDU. Choć kontrola trwa teoretycznie od września, stanowiska ABW wciąż nie ma. – Jeśli wszystko pod względem bezpieczeństwa jest w porządku, ABW powinna jak najszybciej uspokoić pasażerów. A jeśli nie – jak najszybciej ich ostrzec. Tymczasem ciągle nie ma żadnego sygnału – podkreśla Piotr Szumlewicz. – Można odnieść wrażenie, że ABW wstrzymuje się z zajęciem stanowiska, bo prezes Lotu jest kolegą Mateusza Morawieckiego.

ZAŁOGI Z ŁAPANKI

Choć konflikt między zarządem a pracownikami Lotu narasta od 2013 r., a strajk zapowiadany był przez związkowców od maja, Rafał Milczarski uparcie zapewniał w mediach, że do niego nie dojdzie. Dziś gorątkowo usiłuje zapchać dziury po zwolnionym personelu. Nie poprawia to bezpieczeństwa lotów – piloci alarmowali, że jest fatalnie, już kilka miesięcy temu, na sierpniowej konferencji





Przerwanie strajku oznaczałoby zgodę na to, co się dzieje – mówią strajkujący.

w Radzie Dialogu Społecznego. Do prowizorycznych i ograniczonych kontroli stanu technicznego maszyn oraz wysyłania w rejsy samolotów z usterkami doszedł problem z załogami. W oficjalnym piśmie prezydium OPZZ wśród zarzutów figuruje również nakłanianie pracowników do wcześniejszych powrotów ze zwolnień lekarskich lub pracy na stanowiskach, które przekraczają ich kwalifikacje. Monika Żelazik i Piotr Szumlewicz mówią też o próbach wysyłania w rejsy członków załogi w złym stanie psychofizycznym.

– Wszystko odbywa się wbrew wszelkim procedurom – komentuje Szumlewicz. – Do pracy wzywane są osoby z łapanek, żeby tylko miał kto latać. Pilotów i stewardes nakłania się do skracania zwolnień lekarskich.

– Załoga lata w prywatnych strobach, bo w ostatniej chwili informowana jest o tym, że ma wsiadać na pokład – dodaje Monika Żelazik. – Kilka dni temu pogotowie zabrało do szpitala na Banacha dwóch członków załogi wprost z pokładu. Nie wytrzymali nerwowo, bo kazano im wykonywać obowiązki, do których wcześniej nie byli przygotowani. W kockpicie każdy z nas ma bardzo precyzyjnie określone funkcje. „Przysposabianie” na szybko mniej doświadczonych pracowników do nowych obowiązków może się skończyć bardzo źle.

Jak podaje Szumlewicz, pracownicy na zwolnieniach lekarskich są

wzywani do lekarza zakładowego przewoźnika w celu skracania tych zwolnień. – A przecież do podobnych kontroli ma prawo wyłącznie ZUS – podkreśla działacz. – Wolałbym nie wsiadać do samolotu, którego kapitan np. jest przeziębiony i ma o wiele mniejszą koncentrację niż zazwyczaj.

Do przeciwwskazań fizycznych dochodzi często stan emocjonalny personelu. Związkowcy mówią m.in. o wywieraniu przez prezesa presji na

Większość z 3 tys. członków personelu pokładowego Lotu pracuje na zasadzie jednoosobowej działalności gospodarczej.

stewardesy, które – ze względu na to, co się dzieje w spółce – psychicznie nie są w stanie zadbać o bezpieczeństwo przelotu. Szumlewicz: – Zdarza się, że do lotów nakłaniane są w ostatniej chwili stewardesy roztrzęsione po awanturze z prezesem sprzed momentu.

– Jedna ze stewardes, zapłakana i w bardzo złym stanie emocjonalnym, była przez prezesa zmuszana do odbycia rejsu – uzupełnia Monika Żelazik. – Ona zresztą tego rejsu w końcu nie odbyła, wylądowała na konsultacji lekarskiej.

– Mamy w instrukcji operacyjnej napisane, że za każdym razem, kiedy nie jesteśmy pewni, że dolecimy w dobrym stanie psychofizycznym, nie powinniśmy podejmować lotu ze względu na bezpieczeństwo pasażerów.

A sytuacja w naszej firmie powoduje ogromne emocje – mówi z kolei Marek Herbreder, pilot, który w ubiegły poniedziałek odmówił rejsu do Toronto, po tym jak dowiedział się o dyscyplinarnym zwolnieniu 67 kolegów.

Niemniej jednak część załogi wciąż lata, co zarząd spółki tłumaczy „ogromnym zaangażowaniem”. „Dzięki ogromnemu zaangażowaniu większości załóg LOT (...), dopiero w czwartym dniu nielegalnego strajku po raz pierwszy doszło do zakłócenia ciągłości operacyjnej”, można było przeczytać na oficjalnej stronie spółki na Facebooku 22 października, dowiadując się o kolejnych odwołanych kursach. Zdaniem Moniki Żelazik część pracowników nie strajkuje ze strachu: – Do ludzi wysyłane są mejle i SMS-y wzywające ich do odbywania rejsów. Niektórzy ulegają tym naciskom, bo zwyczajnie się boją zwolnienia i szykan. Przecież wszyscy widzą, co się dzieje ze strajkującymi.

Tę interpretację zdaje się potwierdzać sam prezes Milczarski, który na pytanie pilota Marka Herbredera o kolejne zwolnienia miał odpowiedzieć, że „musiał postraszyć tamtych, żeby reszta latała”.

Tymczasem właśnie piloci i stewardesy są odpowiedzialni za bezpieczeństwo rejsów. To jeden z elementów brawurowego cięcia kosztów przez zarząd spółki. Jeszcze w sierpniu, na

konferencji w Radzie Dialogu Społecznego, piloci PLL LOT alarmowali, że rutynowe kontrole stanu technicznego samolotów przeprowadzane są przez kapitanów. – Zlecenie przeglądu to koszty, a te coraz bardziej się tnie. Samolot sprawdza więc kapitan, ale ma na to za mało czasu, maksymalnie godzinę przed odlotem. Coraz częściej, gdy znajdzie usterkę, dokonuje tzw. odpisu i samolot po prostu leci – mówił wtedy pilot Adam Rzeszot. Pytanie, jak teraz wygląda kontrola maszyn przed startem, skoro już w sierpniu była niewystarczająca.

KOSZTY

„Totalna fuszerka” i „kompletny chaos” – takie określenia padają z ust działaczy próbujących opisać obecną

► sytuację w firmie. Związkowcy opowiadają, że do pracy bywają wzywane osoby dopiero co zwolnione. – Jedna ze stewardes dostała mejla z natychmiastowym wezwaniem na pokład trzy godziny po tym, jak otrzymała wiadomość o dyscyplinarnie – mówi Piotr Szumlewicz. – Zarząd wysłał ludziom mejle informujące o ich zwolnieniu, często zapominając nawet o załączniku. Żadne zwolnienie nie było konsultowane ze związkami zawodowymi, co również jest niezgodne z prawem.

Według Szumlewicza niektórzy spośród 67 osób wyrzuconych z pracy były w tym momencie na zwolnieniu lekarskim: – Zdaje się, że zostały wyrzucone za wyrażenie poparcia dla strajku w mediach społecznościowych, bo innego wytłumaczenia nie widzę.

Prezes Milczarski zapewnia zaś, że wszystko jest pod kontrolą. Kilka dni temu, podpisawszy porozumienie z pracownikami zrzeszonymi w Związku Zawodowym Pracowników PLL LOT i NSZZ Solidarność, Rafał Mil-

czarski ogłosił koniec sporu. Rzecz jednak w tym, że – jak twierdzą strajkujący – członkowie tych związków stanowią niewielką część wszystkich pracowników spółki. – Zdecydowana większość związkowców w PLL LOT należy do Związku Zawodowego Personelu Pokładowego i Lotniczego i Związku Zawodowego Pilotów Komunikacyjnych, a więc do tych, które

Samolot sprawdza kapitan, ale ma na to maksymalnie godzinę przed odlotem.

zorganizowały strajk. Pracownicy, którzy podpisali z prezesem regulamin wynagrodzeń, nie stanowią reprezentatywnej grupy. Ale cieszymy się, że prezes Milczarski w końcu przyznał, że spór w ogóle miał miejsce – komentuje Szumlewicz. Zresztą niezależnie od podpisanego przez prezesa porozumienia strajk trwa.

Bardziej kosztownym elementem strategii robienia dobrej miny do złej gry jest wynajmowanie załóg i samolotów od innych linii lotniczych. Jak bowiem podkreśla rzecznik prasowy

spółki Adrian Kubicki, firmie bardziej się opłaca wynajmować samoloty wraz z załogą, niż odwoływać rejsy. Pytanie, czy bardziej się opłaca wynajmować obce samoloty, niż spełnić postulaty strajkujących pracowników. Szumlewicz: – Obliczyliśmy, że wynajmowanie tych samolotów kosztuje firmę więcej niż umowa o pracę dla wszystkich pracowników PLL LOT. Na wynajmowanie maszyn pieniądze są, dla pracowników nie ma.

Związkowcy podkreślają, że mimo tych zabiegów i zapewnień zarządu o lotach zgodnych z planem „ciągłość operacyjna” firmy jest daleka od ideału. Spółka podaje, że przez tydzień strajku odwołanych zostało 28 połączeń, z kolei według branżowego portalu gospodarczego Wnp.pl liczba odwołanych rejsów do 25 października sięgnęła 56, a opóźnień – 362. Tylko w ubiegły piątek anulowano 18 rejsów. Związkowcy sądzą, że było ich znacznie więcej.

Spółka szacuje straty na kilka milionów złotych, co innego jednak wynika z wyliczeń ekspertów. „Naszym zdaniem dotychczasowe straty



W bieżącym numerze także:

- Bernard Duterme
Reżim Daniela Ortegi w opałach
- Paul Codjia, Raphaël Coliaux
W Peru lud Wampis chroni swoje terytorium
- Katarzyna Janowska
Czy kontenerowscy umrą kiedyś z niedożywienia?
- Sébastien Lapaque
Tajemnica Pasoliniego
- Dariusz Zalega
Bohaterowie, partyzanci, bandyci

Do nabycia w salonach prasowych empiaku
Roczna prenumerata (12 numerów): 82 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Kredyt Bank IV Oddział w Warszawie
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl



Strajk rozpoczął się 18 października.

LOT z powodu strajku oscylują prawdopodobnie ok. 30 mln zł, czyli dziennie spółka traci maksymalnie 4 mln zł”, podaje Wnp.pl. Według danych portalu samo odwołanie poniedziałkowego lotu do Toronto wiąże się z ok. 900 tys. zł straty. Do tego należy doliczyć odszkodowania. Biorąc za przykład lot do Toronto, Money.pl wylicza, że ich koszt plasuje się między 174 tys. a 348 tys. euro. Nie wiadomo również, ile będzie kosztować wynajem czterech samolotów z załogami. „Jest to o tyle trudne do oszacowania, że wynajem samolotów z całymi załogami drogo kosztuje, ale jest jeszcze drożej, kiedy robi się to na ostatnią chwilę, jak LOT. Jednak nawet w takim przypadku to są indywidualne ustalenia i nikt oficjalnych cenników nie publikuje”, wyjaśnia portalowi Money.pl analityk rynku lotniczego Dominik Sipiński.

Poniesionymi kosztami zarząd PLL LOT próbuje obciążyć protestujące załogi. 23 października niektórym strajkującym pilotom wręczono pisma przedsądowe wzywające ich do zapłaty 400, 600 i 800 tys. zł za „działanie na szkodę firmy”. Zarząd spółki chce też od związków zawodowych prawie 2 mln zł odszkodowania za same zapowiedzi protestu. Piotr Szumlewicz z OPZZ został pozwany przez Rafała Milczarskiego na 200 tys. zł za „działanie na szkodę dobrego imienia” prezesa.

WALKA O STANDARDY

Choć prezes narodowego przewoźnika powołuje się na prawo, nazywając strajk nielegalnym, z orzeczenia Państwowej Inspekcji Pracy wynika, że sam łamie przepisy, skoro zawierał z pracownikami spółki umowy oparte na ich samozatrudnieniu i zwolnił kilka

miesięcy temu Monikę Żelazik. Mimo nałożonej na członków zarządu kary Rafał Milczarski nie zastosował się do rekomendacji PIP. Co więcej, zaproponował zwolnionym dyscyplinarnie powrót do pracy – ale na samozatrudnienie. „Nie zamykam na zawsze drzwi do firmy tym, którzy czują się zmanipulowani przez liderów związków zawodowych. Możemy zawsze rozmawiać o współpracy. Tym razem jednak nie będzie to umowa o pracę, ale kontrakt – tak jak zatrudniamy w tej chwili w LOT”, deklaruje bez zażenowania w rozmowie z Money.pl.

Niektóre spośród 67 osób zwolnionych w ubiegły poniedziałek były na zwolnieniu lekarskim.

Monika Żelazik: – Większość z 3 tys. członków personelu pokładowego Lotu pracuje na zasadzie jednoosobowej działalności gospodarczej. Protestujemy również w ich imieniu, bo jako nieetatowi pracownicy nie mają prawa do strajku.

– Zarząd PLL LOT działa niezgodnie z prawem – twierdzi pełnomocnik Związku Zawodowego Pilotów Komunikacyjnych mecenas Paweł Sadowski. – Został naruszony par. 3 art. 52 Kodeksu pracy mówiący, że zwolnienie dyscyplinarne związkowca musi zostać skonsultowane ze związkiem zawodowym, a także art. 59 konstytucji o prawie do strajków. Wszystkie 67 zwolnionych osób będzie się odwoływać od tej decyzji.

Do sposobu, motywów i okoliczności przeprowadzonych przez państwową spółkę zwolnień dyscyplinarnych dochodzą ignorowanie

procedur bezpieczeństwa (w formie tzw. instrukcji operacyjnych dla załogi) i samowolna kontrola zwolnień lekarskich bez pośrednictwa ZUS.

Na długiej liście zarzutów wobec obecnego zarządu są też nękanie strajkujących związkowców, próby zastraszania pracowników i nakłanianie ich do wykonywania obowiązków, do których nie mają kwalifikacji. „Trudno nam odnaleźć w pamięci równie bezpośredni i masowy atak na prawa pracownicze i związkowe w Polsce po 1989 r. Jest to dodatkowo haniebne, bo ma miejsce w strategicznej spółce Skarbu Państwa, podlegającej bezpośrednio nadzorowi prezesa Rady Ministrów”, pisze OPZZ w oficjalnym stanowisku z 23 października.

W sprawę z własnej inicjatywy włączył się rzecznik praw obywatelskich „Z dużym zaniepokojeniem przyjąłem informacje o zaostrzającym się konflikcie między organizacjami związkowymi a zarządem spółki PLL LOT, w szczególności o zwolnieniach dyscyplinarnych pracowników – napisał Adam Bodnar do głównego inspektora pracy Wiesława Łyszczka. – Zwracam się z wnioskiem o zbadanie zgodności działań władz spółki z prawem pracy, a w szczególności przeanalizowanie, czy działania takie nie prowadzą do naruszenia wolności związkowej”.

– Tu już nie chodzi wyłącznie o nas, ale o standardy spółek skarbu państwa – mówi Monika Żelazik. – Przerwanie strajku oznaczałoby zgodę na to, co się dzieje. A jeśli takie rzeczy mają miejsce w państwowej firmie, to znaczy, że wszędzie są dozwolone. Dlatego nie ustąpiamy.

Katarzyna Wierzbicka

PORADNIK WALLENRODA

Jak wymazać PiS z biografii.
Kurs dla początkujących
i mało zaawansowanych



Adam Leszczyński

Jesteś politykiem Prawa i Sprawiedliwości? Pracujesz w mediach publicznych? Patrząc na sondaże i boisz się, że opozycja wygra, a ty stracisz pracę? Nie przejmuj się! Można wygumkować PiS z biografii i otrzymać rozgrzeszenie. Znamy takie przypadki. Wystarczy zastosować trzy zasady

Choć prezes PiS Jarosław Kaczyński ogłosił zwycięstwo w wyborach samorządowych, to wieczór wyborczy partii rządzącej skończył się szybko, a politycy rozeszli się do domów w atmosferze – jak się dowiadujemy z przecieków – zawodu i rozczarowania. Nic dziwnego. Postawmy się na ich miejscu: człowiek chce służyć Polsce ze wszystkich sił – jako prezydent w TVP z wynagrodzeniem 30 tys. zł miesięcznie, minister czy poseł. Chce służyć ofiarnie: co najmniej trzy kadencje, a najlepiej dłużej. Tymczasem wyborcy potrafią już po jednej okazać czarną niewdzięczność. Podstawić nogę. Podciąć skrzydła.

Ryzyko jest nietrywialne. PiS co prawda wygrało, ale trochę przegrało – jego przewaga w wyborach samorządowych nad Koalicją Obywatelską nie gwarantuje utrzymania większości w parlamencie.

To przykre i smutne, zwłaszcza jeśli w „dobrą zmianę” dużo się zainwestowało, w tym twarz i reputację. Człowiek popierał publicznie – dajmy na to – skok na konstytucję, przejęcie sądów i inne takie rzeczy, wszystko z patriotyzmu i troski o ojczyznę, a tu nagle taki kiks. Opozycja wygra, można stracić pracę, przestaną zapraszać do telewizji. Co robić? Co robić?!

O konsekwencje prawne martwić się raczej nie należy. Szanse na to, że ktokolwiek stanie przed sądem za cokolwiek zrobionego za czasów PiS,

nie są duże. To tylko strachy na Lachy. Ale kariera? Kredyt? Czesne w szkole dziecka? Miejsce w życiu publicznym? Ludzie mają życie, nie można ich nie-ludsko skazywać na niebyt albo na węgietację na wierszówce w „Gazecie Polskiej” (to prawie tyle samo, co niebyt).

Szczęśliwie jednak polskie życie publiczne zna przypadki zasadniczego wygumkowania PiS z życiorysu. Można zebrać reputację z podłogi, otrześć i będzie jak nowa.

Są ludzie, którym to się udało. Podpowiedz: trzeba w odpowiednim momencie się odciąć, potępić poprzednie zaangażowanie, a potem można udawać, że wcale go nie było. Oto trzy przypadki: minister Radosław, wicepremier Ludwik i publicysta Cezary. (Wszelkie podobieństwo do żyjących osób jest oczywiście całkowicie przypadkowe.)

Kazus ministra Radosława jest szczególnie wymowny. Minister Radosław zaczął karierę publiczną w rządzie Jana Olszewskiego (1991-1992), w którym był wiceministrem obrony. Był kolegą z rządu Antoniego Macierewicza, zwolennikiem dekomunizacji, lustracji i innych politycznych pomysłów, z których powstało PiS. Potem, kiedy PiS doszło do władzy, Radosław został ministrem (2005-2007). Zmienił wystarczająco szybko barwy klubowe i został ministrem w rządzie PO.

TRZY ZASADY WALLENRODA

1. Trzeba zostać wyrzuconym albo odejść we właściwym momencie. Po wyborach może być za późno.
2. Można (ale nie trzeba) dokonać ekspiacji. Najlepiej zmienić poglądy i udawać, że zawsze się było przeciwnym. Można udzielić dużego pokutnego wywiadu „Wyborczej”.
3. Trzeba mieć słuszne aktualnie poglądy.

Było to więc udane przejście na jasną stronę mocy. Co jednak po drodze stało się z PiS w biografii ministra? Epizod ten wyparował. Oto przykład. Żona ministra Radosława, wybitna międzynarodowa publicystka, opublikowała w październiku 2018 r. w miesięczniku „The Atlantic” błyskotliwy esej o polaryzacji politycznej w Polsce, winiąc za nią populistyczną prawicę z PiS. Przedrukowała go potem „Gazeta Wyborcza”. Esaj jest doskonały i piszę to bez ironii: poruszający, głęboki, napisany z wyczuciem ludzkiej psychologii.

Nie znalazła się w nim jednak wzmianka, że mąż publicystki, minister Radosław, przez większość kariery był bardziej związany z PiS i jego poprzednimi wcieleniami niż z czymkolwiek innym. Autorka wspomina, że był „ministrem obrony przez półtora roku” w „rządzie koalicyjnym, któremu przewodziło PiS”, i że było to „krótkie doświadczenie władzy”. Można dyskutować, czy półtora roku to krótko, ale warto też wspomnieć, że była to koalicja wielkiego PiS i dwóch małych przystawek (Samoobrony oraz Ligi Polskich Rodzin). Minister Radosław był z PiS. Mówienie o „koalicyjnym rządzie” jest sprytną sugestią, że był to mniej pisowski rząd od obecnego. Sprytną i nieprawdziwą.

W 2018 r. minister Radosław dzielnie walczył z PiS na Twitterze. Reputacja ocalona. Dziś przypominanie, że minister Radosław przez lata służył partii wytrwale zwalczającej III RP, brzmi prawie jak czeplstwo. Odpuszczone. Wybaczone.

Jeszcze bardziej udaną transformację przeszedł wicepremier Ludwik, niegdyś nazywany nawet „trzecim bliźniakiem”. Jako wicepremier w rządzie PiS w latach 2005-2007 („koalicyjnym”, jak napisałaby żona ministra Radosława) groził protestującym

lekarzom „wzięciem w kamasze”, a na-stawionej opozycyjnie inteligencji wy-myślał publicznie od wykształciuchów. Potem wyleciał, chociaż nie chciał. W każdym razie jeszcze w listopadzie 2007 r. w wywiadzie, który przeprowadził z nim publicysta Cezary (o Cezarym za chwilę), ekswicepremier Ludwik groził: „Jak Kaczyński ze swoim otoczeniem zechce, to nas wyrzuci, ale zapłaci potężną cenę”. Kaczyński zechciał i wyrzucił, ceny nie zapłacił, a ekswicepremier trafił na polityczne bezdroża.

Dziś wicepremier Ludwik jest cenionym publicystą, doświadczonym mężem stanu, komentatorem największych opozycyjnych gazet. Niekiedy pytają go, jaki był Kaczyński dziesięć lat temu, a on wtedy opowiada zabawne anegdoty. Jest regularnym gościem Moniki Olejnik w TVN 24, komentuje w tej stacji wybory, publikuje w „Polityce” i „Newsweeku”. Pi-sze zresztą doskonale, zwykle bardzo krytycznie wobec PiS.

Można usunąć PiS z biografii? Można.

Można mieć wybaczone? Można.

To nawet nie jest takie trudne.

Minione zaangażowanie uchodzi w niepamięć, nawet jeśli się robi-ło i mówiło rzeczy ogólnie niemile. W wywiadzie z listopada 2007 r., który przeprowadził z (już wtedy) ekswicepremierem Ludwikiem publicysta Cezary, Ludwik uzasadniał nawet wyrzucenie z rządu PiS ministra Radosława (zabawne, jak się losy ludzkie splatają). Zacytujmy fragment pełen koleżeń-skiej sympatii.

Ludwik o Radosławie: „To jest czło-wiek może i wartościowy, ale nadmier-nie młodzińczy, choć w uroczym i es-tetycznym stylu”.

Cezary: „Ale czy za »nadmierną młodzięńczość« został odwołany, czy może raczej z powodu obaw, że stanie się bardziej popularny od prezydenta Lecha Kaczyńskiego?”.

Ludwik: „Został odwołany za in-ne rzeczy i moim zdaniem słusznie. O części z tych spraw być może nie wiem, ale przede wszystkim on się na ministra konstytucyjnego – przynaj-mniej obecnie – nie nadaje. Góra to podsekretarz stanu. I to taki, którego minister wzywa raz na trzy tygodnie i dyscyplinuje. A osobiście i towarzy-sko to człowiek sympatyczny (...)”.

Służba Polsce, przynajmy, jest wy-magająca: raz jesteśmy po tej samej

stronie, raz po przeciwnych, czasem znów po tej samej – tylko po innej stronie barykady. Zabawne, prawda?

Takiej przemiany doświadczył, i to nie raz, publicysta Cezary. Przez całe lata 90. i dobrą część następnej deka-dy zwalczał III RP namiętnie i wytrwa-le, a jego gniewne diatryby wypełniały szpalty prawicowych pism. O jednym z ojców założycieli republiki, Adamie Michniku, pisał z pełną namiętności niechęcią zdradzającą zakorzeniony kompleks Edypa. Jako jeden z szefów „Dziennika” wypromował całą grupę publicystów, będących dziś filarami porządowych mediów.

To wszystko było kiedyś. Później publicysta Cezary przez lewicę dotarł do centrum. Dziś broni III RP z tym samym zaangażowaniem, z którym przez lata ją zwalczał. Natomiast le-wicy, która nie chce dołączyć do cen-trowej opozycji, zarzuca „rewolucyjne bumelanctwo”. Zacytujmy: „To nie jest lewica. To tylko dekadencja dzieci, któ-re tak długo żyły z tygodniówek od ro-dziców, że nawet koncepcja »gwaran-towanego dochodu podstawowego« to dla nich jedynie wizja tygodniówki wypłacanej im do końca życia przez państwo”.

Oto publicysta Cezary dzisiaj: pryn-cypialnie, bez ogródek, chłoszcząc ba-tem swojego pióra jawnych i ukrytych sprzymierzeńców PiS.

Znów: reputacja ocalona, cza-sy zmagania Cezarego z III RP ode-szły w niepamięć. Byłoby nietaktem przypominać publicyście Cezaremu, że w jego ustach obrona III RP jest równie wiarygodna jak opowieści prokuratora Stanisława Piotrowicza o prześladowaniach, których rzeczo-ny Piotrowicz doświadczył w czasie stanu wojennego. Jak pamiętamy, Piotrowicz był tak prześladowany, że jako prokurator dostał od władz PRL medal za dobrą służbę.

Ktoś nieżyczliwy mógłby łatwo po-sądzić trzech bohaterów tych magicz-

nych przemian o koniunkturalizm. Nie róbmy tego: każdy ma prawo zmieniać poglądy, nawet wiele razy. Dlaczego nie? Radość z jednego nawróconego jest, jak wiadomo, większa niż ze stu sprawiedliwych. W dzisiejszych cza-sach łatwo popaść w cynizm.

Wierzmy więc w zasadnicze dobro natury ludzkiej. Cieszymy się z nawróce-nia ministra Radosława, wicepremiera Ludwika i publicysty Cezarego. Potraktu-jmy ich z miłością, na jaką zasługują.

Dla ludzi zaangażowanych dziś w PiS te trzy życiorysy stanowią waż-ną lekcję. Można zmienić poglądy i przejść na dobrą stronę. To nie jest takie trudne. Co trzeba zrobić?

Po pierwsze, trzeba zostać wyrzu-conym albo odejść we właściwym momencie. Po wyborach może być za późno (choćby wicepremier Ludwik odszedł po przegranych przez PiS wy-borach, a więc da się).

Po drugie, można (ale nie trzeba) dokonać ekspiacji. Najlepiej zmienić poglądy i udawać, że zawsze było się przeciw. Jeżeli to niemożliwe – w przy-padku chociażby gwiazd TVP byłoby trudne – można zawsze np. udzielić dużego pokutnego wywiadu „Wybor-czej”, w którym, rzewnie płacząc, war-to opowiedzieć, że PiS obiecywało co innego, że się zostało oszukanym, że wątpliwości narastały od dawna, że rozczarowanie, że zawsze się kochało demokrację i że naprawdę zawsze by-ło się Wallenrodem po stronie „dobrej zmiany”.

To oczywiście czynność nieprzy-jemna: trzeba zacisnąć zęby i pocier-pieć chwilę. Potem jednak będzie można zachowywać się tak, jak gdyby żadnego PiS w biografii nie było!

Po trzecie, i to najważniejsze, trze-ba mieć aktualnie słuszne poglądy. Ale o tym przecież nie muszę wspominać.

Adam Leszczyński jest historykiem i publicystą, pro-fesorem Uniwersytetu SWPS w Warszawie, dziennika-rzem Oko.press

Najnowszy numer tygodnika „NIE”:
prezydent Duda jest kosmitą.



Longin Pastusiak

Gdyby przedstawić politykę Donalda Trumpa wobec Chin z ostatnich dwóch lat w postaci wykresu, miałby on kształt sinusoidy. Polityka ta była tak zmienna, jak zmienny i nieprzewidywalny jest sam prezydent. W trakcie kampanii wyborczej 2015-2016 Trump atakował Chiny i krytykował przedsiębiorstwa amerykańskie, które w poszukiwaniu taniej siły roboczej przeniosły tam swoje zakłady. Zapowiadał, że jeśli wygra wybory prezydenckie, zobowiąże firmy amerykańskie do powrotu do Stanów Zjednoczonych. „Chiny – mówił wówczas – przejmują nasze stanowiska pracy i nasze pieniądze”. Proponował wprowadzić cła importowe w wysokości 45% na importowane towary chińskie, by chronić rynek amerykański przed ich zalewem.

BARDZO DOBRA CHEMIA I BARDZO WYSOKI DEFICYT

Kiedy jednak w styczniu 2017 r. zasiadł na fotelu prezydenta, znacznie zmienił stanowisko wobec Chin i chińskiej polityki. Po rozmowie telefonicznej z prezydentem Xi Jinpingiem określił swoje stosunki z nim jako przykład „bardzo dobrej chemii”. W czasie spotkania obu prezydentów w kwietniu 2017 r. na Florydzie Xi Jinping zaznaczył, że jego kraj oczekuje stabilizacji stosunków gospodarczych z USA i uniknięcia wojny handlowej w postaci nałożenia cła na towary chińskie. Trump skarżył się na ogromny deficyt handlowy, jaki Stany Zjednoczone mają z Chinami, i krytykował Państwo Środka za nieuczciwe manipulowanie kursem swojej waluty, a także rozbudowę baz na wyspach Morza Południowochińskiego.

Będąc z wizytą w Pekinie w listopadzie 2017 r., Trump starał się pozyskać Chiny jako partnera gospodarczego i sojusznika w naciskach na Koreę Północną. W związku z tym unikał krytycznych uwag na temat chińskiej polityki i mówił o potrzebie rozwijania stosunków opartych na partnerskiej współpracy. Obydwa kraje podpisały wówczas porozumienia handlowe na ogólną sumę 250 mld dol.

Miesiąc później Trump w obecności grupy amerykańskich wojskowych przedstawił założenia swojej polityki zagranicznej i narodowej stra-

Sinusoida polityki Trumpa wobec Chin

Zainicjowana przez Trumpa wojna handlowa tylko umocni chińską gospodarkę



W czasie wizyty w Pekinie w listopadzie 2017 r. Trump starał się pozyskać Chiny jako partnera gospodarczego. Nz. z prezydentem Xi Jinpingiem.

tegi bezpieczeństwa. Powiedział, że Chiny i Rosja stanowią wyzwanie dla „amerykańskiej siły, wpływów, interesów i próbują osłabić amerykańskie bezpieczeństwo i prosperity”. Przedstawił te kraje jako antagonistów zagrożających Stanom Zjednoczonym. Reakcja Chin była jednoznacznie krytyczna. Pekin ocenił, że nowa strategia Trumpa reprezentuje „zimnowojenną mentalność”.

Polityka Trumpa po krótkim okresie ocieplenia i przyjaznych stosunków z Chinami zaczęła przybierać coraz ostrzejszy charakter. Amerykański prezydent coraz wyraźniej zmierzał do wojny handlowej i uzasadniał to ogromnym deficytem handlowym USA. W 2017 r. eksport amerykański do Chin wynosił 130 369,5 mln dol., import zaś 505 597,1 mln dol., co oznacza deficyt w wysokości 375 227,6 mln dol. Udział Stanów Zjednoczonych w eksporcie chińskim wynosił 18%, natomiast Amerykanie

lokowali na rynku chińskim zaledwie 8% swojego eksportu.

WOJNA NA CŁA

Na początku 2018 r. Trump zdecydował się na jeszcze bardziej agresywną obronę amerykańskich interesów gospodarczych. 22 marca nałożył na towary importowane z Chin wysokie cła o łącznej wartości 60 mld dol. Było to posunięcie odwetowe za kradzież przez chińskie firmy amerykańskiej własności intelektualnej. Według prezydenta ma to uczynić Stany Zjednoczone „silniejszym i bogatszym” państwem. Chiny oświadczyły, że nie chcą wojny handlowej z USA, ale ostrzegły, że mogą podjąć środki odwetowe. Amerykańsko-chińskie rozmowy handlowe wiosną 2018 r. zakończyły się fiaskiem.

W kwietniu Chiny wprowadziły zapowiedziane wcześniej cła na 128 amerykańskich produktów, m.in. samoloty, samochody, rury stalowe,

wina, wieprzowinę, owoce, artykuły techniczne. Stany Zjednoczone zaś poza zwiększonymi cłami na import stali i aluminium obłożyły cłami do 25% ponad tysiąc produktów. Rząd chiński ogłosił, że na politykę celną Trumpa odpowie „w tej samej skali i z taką samą intensywnością”.

Decyzje administracji Trumpa spotkały się ze sprzeciwem wielu amerykańskich instytucji gospodarczych i firm utrzymujących stosunki handlowe z Chinami. Z protestem przeciw zapowiedziom prezydenta o restrykcjach w handlu z Chinami wystąpiło 40 amerykańskich stowarzyszeń przemysłowych i handlowych, w tym Walmart, Boeing, IBM, Target i Facebook. Ostrzegały one prezydenta, że jego decyzje odbiją się negatywnie na gospodarce Stanów Zjednoczonych, a wojna handlowa między USA i Chinami, dwoma największymi potęgami gospodarczymi świata, nie będzie miała zwycięzców.

W pewnym momencie w maju br. wydawało się, że USA i Chiny zgodziły się na zawieszenie broni. We wspólnym oświadczeniu 19 maja Chińczycy zgodzili się „znacznie zwiększyć zakupy amerykańskich towarów i usług, aby zmniejszyć istniejącą nierównowagę w handlu”. Mówiono wówczas o zakupie towarów wartości 200 mld dol. Jednak już 24 września rząd Stanów Zjednoczonych nałożył 10% cła na import z Chin wartości 200 mld dol. Cła objęły połowę chińskiego eksportu na rynek amerykański, nałożono je na bardzo szeroki asortyment towarów, m.in. maszyny przemysłowe, meble, produkty żywnościowe, rękawice bejsbolowe. Waszyngton twierdził, że celem sankcji jest ukaranie Chin za nieuczciwe praktyki handlowe i kradzieże amerykańskiej własności intelektualnej. Przedstawiciele administracji Trumpa obłudnie głosili, że celem rządu amerykańskiego jest doprowadzenie do wolnego handlu z zerowymi taryfami i zerowymi subsydiami ze wszystkich stron.

Chiny zapowiedziały podjęcie kroków odwetowych i ogłosiły nałożenie od 5 do 10% podatku na importowane z USA towary, m.in. tekstylia, artykuły chemiczne, mięso, części samochodowe. Rząd chiński stanowczo zaprzeczał amerykańskim zarzutom i oskarżał Stany Zjednoczone o protekcjonizm w handlu międzynarodowym. Pekin był przeciwny eskalacji konfliktu

i wojnie handlowej z Waszyngtonem. By zademonstrować niezadowolenie z polityki Trumpa, władze chińskie odmówiły zgody na wizytę amerykańskiego okrętu wojennego w Hongkongu. Pekin wyrażał dezaprobatę dla decyzji Waszyngtonu o sprzedaży Tajwanowi sprzętu wojskowego za kilkaset milionów dolarów. Rząd chiński odwołał również zaplanowane na połowę października doroczne rozmowy na temat bezpieczeństwa z sekretarzem obrony USA Jamesem Mattisem.

NOWE POLA KONFRONTACJI

Amerykańsko-chińskiej wojnie handlowej towarzyszyły różne incydenty, które pogarszały stosunki między dwoma mocarstwami. Latem 2018 r. Amerykanie zatrzymali Kevina Malloy'ego, byłego pracownika CIA oskarżonego o przekazywanie Chińczykom tajnych dokumentów. 25 września aresztowany został Chińczyk Ji Chaogun oskarżony o działalność wywiadowczą na rzecz Chin. Gina Haspel, szefowa CIA, 24 września ostrzegała przed rosnącymi wpływami Chin w świecie i dążeniem do zmniejszenia wpływów amerykańskich.

Polityka USA wobec Chin była tak zmienna, jak zmienny i nieprzewidywalny jest Trump.

Gdy 26 września Trump przemawiał w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, bez podania jakichkolwiek dowodów oskarżył Chiny o ingerencję w obecną kampanię wyborczą do Kongresu: „Niestety, stwierdziliśmy, że Chiny próbują ingerować w nasze zbliżające się w listopadzie wybory, i to przeciw mojej administracji. (...) Nie chcę, abym wygrał, ponieważ jestem pierwszym prezydentem, który rzucił wyzwanie Chinom w handlu”. Zapowiedział buńczucznie, że USA wygrają wojnę handlową z Chinami „na każdym poziomie”.

Chiny stanowczo zaprzeczyły tym zarzutom. Minister spraw zagranicznych Wang Yi powiedział na ONZ, że Chiny „nie dadzą się zastraszyć i nie ulegną naciskom”. Pekin wytknął Stanom Zjednoczonym „prowokacyjne” loty bombowców B-52 w pobliżu Morza Południowochińskiego.

Do ataku włączył się także wiceprezydent Mike Pence, który 4 paździer-

nika oskarżył Chiny o „grabieżcze” praktyki gospodarcze, ingerowanie w demokrację USA i osłabianie pozycji politycznej Trumpa oraz jego szans na reelekcję. Następnego dnia Pentagon opublikował raport oskarżający Chiny o działanie na rzecz osłabienia amerykańskiej bazy wojskowo-przemysłowej. Wszystko to może świadczyć, że Waszyngton nie ogranicza się już do wojny handlowej i widzi potrzebę rozszerzenia płaszczyzny konfrontacji.

Chiny zarzucają Stanom Zjednoczonym dążenie do militaryzacji Morza Południowochińskiego. Faktem jest, że rząd prezydenta Trumpa częściej wysyła okręty wojenne w pobliże chińskich wysp. Pentagon twierdzi, że celem jest zapewnienie swobody żeglugi w tym rejonie, a nie wejście w posiadanie wysp. Kiedy w czerwcu br. sekretarz obrony James Mattis przebywał w Pekinie, prezydent Xi Jinping ostrzegł go, że Chiny nie ustąpią Ameryce „nawet cala” swojego terytorium. 8 października szef dyplomacji chińskiej Wang Yi w rozmowie w Pekinie z sekretarzem stanu Mikiem Pompeo zarzucił Stanom Zjednoczonym, że ingerują w wewnętrzne sprawy Chin i eskalują napięcie w stosunkach handlowych. Pompeo przyznał, że obydwa kraje dzielą „fundamentalne różnice” polityczne i gospodarcze.

Prawica amerykańska głosiła tezę, że Chiny są największym rywalem politycznym i konkurentem gospodarczym Stanów Zjednoczonych we współczesnym świecie. Z niepokojem obserwowano w Waszyngtonie umacniające się i rozszerzające wpływy Chin na różnych kontynentach – i podejrzewano Pekin o dążenie do dominacji na świecie. Tymczasem, jak pisał prof. Grzegorz W. Kołodko, „Chiny – bynajmniej nie pragną świata zdominować, tylko wykorzystać globalizację z pożytkiem dla siebie i niekoniecznie kosztem innych, ale czasami wręcz pomagając”.

W różnych krajach pojawiły się komentarze, że zainicjowana przez Trumpa wojna z Chinami w dłuższej perspektywie umocni chińską gospodarkę, zmuszając tamtejsze firmy do innowacji i podniesienia technologii na wyższy poziom.

Prof. dr hab. Longin Pastusiak jest amerykańnistą, dyrektorem Instytutu Stosunków Międzynarodowych w Akademii Finansów i Biznesu Vistula, b. posłem na Sejm (1993-2001) i b. marszałkiem Senatu (2001-2005)

Lech Miodek

31 października w Zgromadzeniu Ogólnym Narodów Zjednoczonych odbędzie się już 27. głosowanie nad rezolucją 72/4 o „Konieczności zakończenia gospodarczej, handlowej i finansowej blokady narzuconej Kuby przez Stany Zjednoczone Ameryki”. I zapewne po raz kolejny tylko USA i Izrael będą temu przeciwnie. Nigdy dotąd podobny system nie został jednostronnie narzucony drugiemu państwu i nie trwał 57 lat.

ODWRÓT OD PRÓB NORMALIZACJI

Blokada rozpoczęła się na mocy Ustawy o pomocy zagranicznej przyjętej przez amerykański Kongres w 1961 r. i w kolejnych latach była rozszerzana. Najbardziej rozwiniętą formę znalazła w Ustawie o demokracji kubańskiej, zwanej ustawą Torricellego (1992), i Ustawie o kubańskiej wolności i solidarności demokratycznej, zwanej ustawą Helmsa-Burtona (1996). Pierwsza zakazywała prowadzenia handlu z Kubą firmom amerykańskim zlokalizowanym w krajach trzecich, a statkom krajów trzecich, które zawinęłyby do portów kubańskich, zakazywała wpływania do portów amerykańskich, chyba że miały pozwolenie Departamentu Skarbu. Druga przewidywała sankcje dla rządów firm obcych, które handlowałyby z nacjonalizowanymi przedsiębiorstwami amerykańskimi na Kubie. Dotychczasowe straty poniesione w wyniku blokady rząd kubański ocenił na prawie 934 mld dol.

Administracji Donalda Trumpa wyraźnie nie spodobał się proces normalizacji relacji amerykańsko-kubańskich rozpoczęty przez Baracka Obamę w 2015 r. przy wydatnej pomocy papieża Franciszka. 16 czerwca 2017 r. Trump podpisał prezydenckie memorandum o bezpieczeństwie narodowym przewidujące zaostrezenie polityki USA wobec Kuby. W listopadzie 2017 r. Departament Stanu, Handlu i Skarbu opublikowały regulacje wykonawcze ograniczające wyjazdy obywateli USA na wyspę i eliminujące możliwości prowadzenia handlu ze 179 firmami kubańskimi. Kroki te odbiły się na kubańskim sektorze turystycz-



BLOKADA ZABIJA KUBĘ

Zniesienie amerykańskiej blokady wyspy uniemożliwiają w ONZ dwa państwa: USA i Izrael

nym (spadek o połowę), gospodarce publicznej i raczkującej gospodarce prywatnej. W ostatnich miesiącach Kuba odnotowała zwiększające się problemy z realizacją transakcji finansowych i pożyczkowych w bankach zagranicznych.

Chyba nie trzeba dodawać, że blokada gospodarcza, handlowa i finansowa musi utrudniać realizację planów rozwojowych państwa. Negatywne efekty pogłębia jej eksterytorialny charakter, przewidujący sankcje dla firm i banków z krajów trzecich, które realizowałyby jakiegol-

wiek transakcje z Kubą. Odmowa dostaw towarów i surowców przez kraje trzecie przekłada się na dodatkowe koszty i kłopoty z zaopatrzeniem rynku wewnętrznego. W 2018 r. dziesiątki banków na całym świecie zamknęły kubańskie konta firm handlujących z wyspą. Inne zaczęły zmieniać warunki lub piętrzyć trudności, takie jak zakaz dokonywania przelewów w dolarach amerykańskich albo likwidacja kont ambasad kubańskich.

BEZ DOSTAW LEKÓW I SPRZĘTU MEDYCZNEGO

Blokada dramatycznie wpływa na ochronę zdrowia na Kubie. W kubańskiej konstytucji został zapisany obowiązek zapewnienia przez państwo wszystkim obywatelom bezpłatnej opieki zdrowotnej. Konsekwentna polityka w tym zakresie doprowadziła m.in. do tego, że śmiertelność niemowląt należy do najniższych na świecie (4 na 1000 urodzin). Wydatki państwa na służbę zdrowia wynoszą ponad 10% PKB (w 2015 r. – 10,57%) i są procentowo wyższe niż w USA, Niemczech, Francji czy Hiszpanii.

Wyniki głosowań w ONZ w sprawie zniesienia blokady

Rok	Za	Przeciw	Wstrzymało się
1992	59	3	71
1997	143	3	17
2002	173	3	4
2007	184	4	1
2012	188	3	2
2015	191	2	0
2016	191	0	2
2017	191	2	0

Koszulki z hasłem „Odblokować Kubę” widać zarówno na wyspie, jak i w USA.

W 1959 r. w kraju było ok. 6 tys. lekarzy, z których połowa wyemigrowała po zwycięstwie rewolucji. Przed rządem stanęła konieczność kształcenia nowych kadr medycznych. W 2014 r. Kuba ze wskaźnikiem 67,2 na 10 tys. mieszkańców była pod względem „ulekarzowienia” trzecim krajem na świecie. Więcej lekarzy było tylko w Katarze i Monako.

Warto przypomnieć, że kraj ma także znaczne osiągnięcia medyczne na skalę międzynarodową. W 1985 r. opracowano tu pierwszą i jedyną szczepionkę przeciw zapaleniu opon mózgowo-rdzeniowych. Udało się opracować nowe sposoby zwalczania zapalenia wątroby typu B, leczenia stopy cukrzycowej bez konieczności amputacji, bielactwa nabytego i łuszczyca. Prowadzono też intensywne badania nad szczepionką przeciw rakowi płuc, która jest teraz wypróbowywana w Stanach Zjednoczonych. Kubie jako pierwszej udało się w 2015 r. wyeliminować przeniesienie wirusa HIV z matki na dziecko. Światowa Organizacja Zdrowia stwierdziła w tymże 2015 r., że kubański system ochrony zdrowia jest najlepszy w Ameryce Łacińskiej i plasuje się powyżej średniej światowej. Margaret Chan, do 2017 r. przewodnicząca tej organizacji, podkreślała ducha solidarności lekarzy kubańskich, którzy w 2014 r. zwalczali w Liberii, Sierra Leone i Gwinei epidemię eboli, nie pobierając za to gratyfikacji. Według Kubańskiej Agencji Informacyjnej (ACN) od 1960 r. Hawana wysłała w misjach medycznych do 158 krajów Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji ponad 300 tys. pracowników służby zdrowia. Obecnie kubański personel medyczny (50 tys. osób) pracuje w 67 krajach i przynosi państwu większe dochody niż turystyka (w 2014 r. – 8,2 mld dol.).

Tymczasem amerykańska blokada powoduje kłopoty z nabyciem nowoczesnego sprzętu, części zapasowych do urządzeń, lekarstw i innych środków niezbędnych do właściwego funkcjonowania całego sektora w kraju. Dla przykładu spółka MEDICuba, która jest firmą importującą i eksportującą produkty medyczne, przesłała zamówienia do ponad 30 firm amerykańskich. W przypadku

Pfizer i Bristol-Myers Squibb chodziło o lek stosowany w chemioterapii raka mózgu. Amgen Company prosiła o dostawę lekarstwa przeciwdziałającego zbyt wysokiemu poziomowi cholesterolu u pacjentów z problemami miażdżycowymi. Do Intuitive Surgical MEDICuba zwróciła się z ofertą zakupu dwóch robotów chirurgicznych da Vinci. Cook Medical poproszono o dostawę produktów niezbędnych przy operacjach na sercu. Odpowiedziała tylko ta ostatnia firma, że z uwagi na blokadę ma zakaz sprzedaży na rynek kubański.

Także Meksyk i Indie odmówiły dostaw lekarstw produkowanych w tych krajach na licencji amerykańskiej.

KUBAŃSKA SZCZEPIONKA DLA AMERYKAŃSKICH PACJENTÓW

Polityka Trumpa odbiła się na medycznej wymianie studenckiej i technicznej między obu krajami, a także na organizacji wspólnych konferencji i seminariów. Gwoli sprawiedliwości należy powiedzieć, że mimo to pacjenci jednej z klinik w Buffalo, w stanie Nowy Jork, przychodzili do instytutu badań nad rakiem, by przyjąć miesięczną dawkę kubańskiej szczepionki na raka płuc. Jest to wyjątkowy w stosunkach amerykańsko-kubańskich przykład współpracy między naukowcami z Roswell Park Cancer Institute i z Centro de Inmunología Molecular (Ośrodka Immuno-

logii Molekularnej), która rozpoczęła się w 2011 r., po wizycie kubańskiego naukowca w USA. W 2016 r. doszło do pierwszej w USA próby klinicznej szczepionki przeciw rakowi płuc o nazwie CIMAvax, opracowanej przez kubański CIM. W ostatnim czasie Roswell Park Cancer Institute otrzymał zgodę władz amerykańskich na rozpoczęcie prób klinicznych drugiej terapii antyrakowej z użyciem kubańskiej szczepionki CIMAher. Stan chorych na raka płuc po otrzymaniu szczepionki znacznie się polepszył. Odnotowano przy tym nikłe efekty uboczne. Są przypadki wydłużenia życia pacjentów o siedem lat.

Próby kliniczne w Roswell Park są przewidziane na trzy lata. Ich pozytywny rezultat nie oznacza jeszcze, że szczepionka natychmiast zostanie wprowadzona na rynek amerykański. Musi przejść jeszcze drugą fazę badań, zanim pojawi się na rynku amerykańskim jako nowy środek leczniczy.

Chyba nie ma wątpliwości, że ofiarą blokady narzuconej Kubie przez USA z intencją zmiany ustroju na wyspie jest naród kubański. Zgodnie z Konwencją w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa blokada ta może być zakwalifikowana jako akt ludobójstwa. Narusza normy międzynarodowego prawa publicznego i Organizacji Narodów Zjednoczonych, jest przeszkodą dla współpracy międzynarodowej i jako taka powinna być odwołana. ■



Wyślij SMS o treści MARYNA pod numer 74567 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)

Czasem ktoś wskazuje nam, co należy zrobić. Czasem sami musimy wybrać ścieżkę, którą pójdziemy. Tym razem - gdy na naszej drodze stała siwa - jakaś siła starała się nam dać do zrozumienia, że to właśnie ona. Promień z małego, brudnego okna oświetlał ją i zdawało się, że wręcz nakazywał zabrać klacz z miejsca, w którym ją zastaliśmy. Właściciel, który zadzwonił do nas, potrzebował pieniędzy. Następnego dnia

odbywał się skup w rzeźni. Nie wiadomo, czy miał nadzieję na większe pieniądze od kogoś, komu zrobi się konia żal, czy sam nie chciał skazać jej na śmierć.

Maryna ma 13 lat. Tka, czyli cierpi na koński odpowiednik choroby sierocej. Cała jest naznaczona bliznami... Czy jej nogi jeszcze kiedykolwiek będą w pełni sprawne? Tego dzisiaj nikt nie wie.

Prawdopodobnie pracowała w polu lub przy bryczce - podcięte nogi na to wskazują. Jest grzeczna i ułożona, a jej wielkie oczy nadal ufają człowiekowi. Skrzywdził ją los... Wysoka klacz szybko przybrałaby na wadze. Po jednym, a następnie drugim wypadku w zaprzęgu (których historię wciąż można odczytać po bliznach) Maryna przestała być przydatna. Teraz miała szybko tyć, żeby rzeźnik zapłacił sówicie. To byłaby dla niej zapłata za pracę dla człowieka.

Nie mogliśmy tego zostawić w taki sposób, zadatkowaliśmy klacz. Ale czasu jest bardzo niewiele. Trzeba ją spłacić do 2 listopada. Potrzeba 3500 zł. Bardzo prosimy pomóżcie uratować Marynę.

Możesz pomóc dokonując darowizny z tytułem MARYNA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.



Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regularnie: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

ul. Wajbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl



POŻEGNAĆ CZŁOWIEKA PO LUDZKU

Małgorzata Kąkiel

Umarł ktoś bliski. Trzeba go godnie pożegnać – już tylko tyle można dla niego zrobić. Do niedawna główną rolę w ceremonii pogrzebowej odgrywał u nas Kościół, najczęściej rzymskokatolicki. To się zmienia, coraz częściej zdarzają się pogrzeby świeckie czy może raczej cywilne (bo mogą mieć charakter ateistyczny bądź wyznaniowy, tyle że poza Kościołem jako instytucją). W jakim stopniu zwiększa się liczba tych ceremonii, trudno powiedzieć. Nie ma takich statystyk w skali kraju. Tylko prywatne obserwacje dowodzą, że coraz częściej uczestniczymy w uroczystościach o tym charakterze. Skąd się bierze zainteresowanie nimi? Jednym z głównych powodów jest chyba odpersonalizowanie kościelnej ceremonii pogrzebowej, pomijanie osoby zmarłego. Ksiądz, uwypuklając aspekt religijny (co skądinąd zrozumiałe), nie dostrzega wymiaru ludzkiego – tego, że np. zmarły lubił górskie wycieczki, pomagał schroniskom dla psów i kotów, ostatnią miłością jego życia była wnuczka itp. Rodzina, żegnając bliską osobę, chce jeszcze raz ją przypomnieć, utrwalić jej postać. Jeden z mistrzów świeckich ceremonii – Maciej Gogońkiewicz z Włocławka – mówi, że trochę przypadkiem zaczął prowadzić cywilne pogrzeby (jest dziennikarzem, ma łatwość pisanie, mówienia, nawiązywania kontaktów z ludźmi), ale kiedy na pogrzebie jego ojca ksiądz nie wychodził poza krąg Ewangelii, nie przypominał po ludzku zmarłego, pomyślał, że jego działalność jako mistrza ceremonii ma wielki sens. Jest bardzo

potrzebna przede wszystkim pogrzezonej w żałobie rodzinie.

Skąd się biorą mistrzowie ceremonii? Głównie z własnej potrzeby. Nie ma w Polsce żadnych regularnie prowadzonych kursów, nie ma egzaminów. Przed laty na zlecenie Wojciecha Krawczyka, pierwszego (w znaczeniu kolejności, a nie rangi) prezesa Polskiego Stowarzyszenia Pogrzebowego, Anna i Jacek Borowikowie, uznani już mistrzowie, opracowali program kursu zawodowego dla przyszłych adeptów tej sztuki. Ten program istnieje, jest dostępny, ale wiedza o nim nie jest powszechna. Bo mistrzowie ceremonii nigdzie nie są zarejestrowani, nie ma więc bieżącego, wspólnego obiegu informacji. Wszystko zależy od zdolności, determinacji i predyspozycji konkretnego mistrza oraz jego chęci samodoskonalenia. Bywają np. różne kursy doraźne. Maciej Gogońkiewicz uczestniczył niedawno w kursie organizowanym przez Fundację Nagle Sami na temat kontaktów z rodziną w żałobie. Zna też publikacje swojego kolegi z Włocławka – Stefana Szwankego. Mistrzowie muszą się dokształcać, bo weryfikuje ich rynek. Ale odgórnie nikt nad nimi nie czuwa.

Podobnie nie ma w Polsce żadnych uregulowań dla zawodu przedsiębiorcy pogrzebowego. Jak przypomina Krzysztof Wolicki, prezes Zarządu Polskiego Stowarzyszenia Pogrzebowego, taką działalność gospodarczą może zarejestrować każdy. W krajach Europy Zachodniej są różne etapy, egzaminy... Dotyczy to zarówno właścicieli zakładów pogrzebowych, jak i mistrzów ceremonii czy np. balsamistów. Istniejącą lukę próbuje wypełnić wspomniane stowarzyszenie, najstarsza w Polsce organizacja zrzeszająca

przedsiębiorców pogrzebowych, administratorów cmentarzy, balsamistów-tanatoprakserów, krematystów, producentów trumien i urn, konstruktorów karawanów i chłodzi do kostnic, krawców obszywających służby pogrzebowo-cmentarne, producentów wyposażenia kaplic pogrzebowych, mistrzów ceremonii, pośmiertne wizażystki, florystów pogrzebowych. Polskie Stowarzyszenie Pogrzebowe organizuje rozmaite sesje, szkolenia branżowe, międzynarodowe targi pogrzebowe (w listopadzie br. w Poznaniu), zapewnia pomoc prawną, szkoli w zakresie przepisów, stara się wpływać na kształtowanie prawa dotyczącego cmentarzy i chowania zmarłych. Ale to działalność oddolna, wynikająca z pasji i poczucia odpowiedzialności osób świeckich, pomagających zmarłemu i jego rodzinie pożegnać się z tym światem. Państwo nie wykazuje żadnego zainteresowania, jakby zakładając, że wszystkim zajmie się Kościół rzymskokatolicki.

Ilu jest dziś mistrzów ceremonii? Sami zainteresowani mówią o 20, Krzysztof Wolicki szacuje, że może ich być ok. 50 (część działa w pojedynkę, doraźnie). Na swojej stronie stowarzyszenie prezentuje kilkoro – to Anna i Jacek Borowikowie (Warszawa), Aneta Dobroch (Sandomierz), Henryk Makuszewski (Zielona Góra), Andrzej Wojtach (Częstochowa).

Często przypuszcza się, że ludzie decydują się na świeckie ceremonie ze względów finansowych – rzekomo księża biorą o wiele więcej. To jednak nie takie oczywiste. Ciągłe bowiem wszystko zależy od miejsca pochówku. Na przykład na podgarwolińskiej wsi na pogrzeb z księdzem wystarczy zasiłek ZUS (obecnie 4 tys. zł) i jeszcze nie ma to zostanie, a w Warszawie średniej klasy pogrzeb świecki to prawie trzykrotność zasiłku. To nawet krępujące – bo znaczy, że dla nas, którzy jeszcze tu zostajemy, najważniejsze jest pożegnanie pełne humanizmu. A to zapewniają mistrzowie ceremonii. ■

Wybrali pogrzeb cywilny

Pogrzeb cywilny mieli m.in.: Marek Edelman, Olga Jackowska – Kora, Wojciech Jaruzelski, Krzysztof Krauze, Stanisław Lem, Robert Leszczyński, Stanisław Mikulski, Janusz Morgenstern, Zofia Nasierowska, Zbigniew Religa, Michał Sułmiński, Wisława Szymborska, Zbigniew Zapasiewicz, Maciej Zembaty.

POGRZEBY SZYTE NA MIARĘ

Boimy się rozmawiać o śmierci. Zostawiamy na potem wszystkie ustalenia. A później okazuje się, że nie wiemy, jak ktoś chciał być pochowany



ANNA I JACEK BOROWIKOWIE

– małżeństwo
mistrzów
świeckiej
ceremonii
pogrzebowej

Rozmawia Małgorzata Kąkiel

Kim państwo jesteście? Kapłanami śmierci, mistrzami kresu życia, pocieszycielami pogrążonych w żałobie rodzin? Aktorami?

J.B.: – Aktor gra wszystkie role, my tylko jedną. Wykonujemy swój zawód, który wiąże się z pewnymi czynnościami. I chociaż nie jesteśmy kapłanami, ludzie często nam mówią, że dodaliśmy otuchy na pogrzebie, przynieśliśmy pocieszenie.

A.B.: – Chyba najbliższej nam do „mówców umarłych”.

Mówicie państwo w imieniu zmarłego?

A.B.: – Nie, jesteśmy ustami jego rodziny. Ta rola wzięła się chyba

stąd, że nie każdy na co dzień jest dobrym mówcą, a szczególnie trudno być dobrym mówcą w sytuacji utraty bliskiej osoby, gdy emocje biorą górę.

Jaka droga zawiodła państwa na cmentarz?

A.B.: – To był początek lat 90., w bardzo wiele miejsc bardzo wielu ludzi trafiało przypadkiem. Z nami było podobnie. Mąż interesował się historią Kościoła, szczególnie bliska była mu muzyka organowa. Założyliśmy agencję muzyczną, która zajmowała się wykonywaniem muzyki sakralnej wszystkich wyznań, których liturgia przewiduje muzykę podczas pogrzebu. Zaczęliśmy więc od przygotowywania oprawy muzycznej ceremonii pogrzebowych. I tu pojawiły

się również pogrzeby świeckie jako pogrzeby osób bezwyznaniowych.

J.B.: – Albo osób wierzących, które nie mieszczą się w żadnym wyznaniu.

Osób innych niż te bezwyznaniowe?

J.B.: – Tak jest. Niedługo będę prowadził uroczystość, gdzie mają być elementy religii chrześcijańskiej, ale nie mogą się odnosić do żadnego Kościoła chrześcijańskiego. Bo ludzie pokłócili się nie z Panem Bogiem, tylko z instytucją Kościoła jako takiego.

Czyli pogrzebu świeckiego może sobie życzyć osoba wierząca?

A.B.: – Oczywiście. Pogrzeb świecki nie musi być pogrzebem ateistycznym. Taka uroczystość oficjalnie bywa różnie nazywana, czasami słyszy się, że to ceremonia humanistyczna. My między sobą mówimy o pogrzebach szytych na miarę. Bo chodzi o to, żeby była to ceremonia poświęcona konkretnemu człowiekowi. Jemu i jego życiu. Żebyśmy powiedzieli to, co zmarły sam o sobie by powiedział, gdyby mógł.

J.B.: – Ale każdy punkt pogrzebu ustalamy z rodziną. Kiedy już napiszę tekst o osobie, która odeszła, przesyłam go do sprawdzenia rodzinie. Rodzina usuwa, co niepotrzebne, dopisuje, co potrzebne.

To sprawa samego tekstu, ale rozumiem, że omawia się wspólnie cały przebieg uroczystości.

A.B.: – Dobrze przygotowany pogrzeb opiera się na zasadzie: wszystko uzgodnione. Rodzina wie, co może wybrać, ale niczego wybierać nie musi. Najgorzej, gdy ktoś nie został o czymś poinformowany i po pogrzebie ma żal: ojej, to mogło być inaczej, nie wiedziałem. Powtórzyć ceremonii się nie da. Zawsze mówię

► naszym uczniom: jeżeli zapomnisz, przy czym pracujesz, przestań przychodzić na cmentarz. Nie chodzi o to, żeby mistrz ceremonii przeżywał równie głęboko jak najbliżsi zmarłego – bo to tak, jakby chirurg przeraził się ran powypadkowych pacjenta. Nie, on ma wykonać wszystko najlepiej, jak potrafi – to jest nasz kwiatek na trumnę zmarłego.

Wracam do państwa początków w zawodzie. Na czym się wzorowaliście? Skąd wiedzieliście, jak postępować, w co się ubrać?

A.B.: – Jeszcze gdy zajmowaliśmy się muzyką, zależało nam na zindywidualizowaniu tego, w czym

ani nie jest pozostałością komunistycznej Polski.

A.B.: – Nawet się tam nie narodził.

J.B.: – Przyszedł z kultury helleńskiej, gdzie stanowił główną część ceremonii pogrzebowej, której towarzyszyła część religijna. Przeszedł przez średniowiecze, przez cechy rzemieślnicze, potem przez oświecenie i dopiero wtedy zaistniał jako jednostka samodzielna, bez odniesień do boga. Po drugiej wojnie pogrzeb świecki, jako uroczystość o charakterze antyreligijnym, bardzo się rozpowszechnił w krajach realnego socjalizmu, akcentujących materialną stronę natury człowieka. W Stanach

bec zmarłego – jeżeli coś związanego ze światopoglądem było w jego życiu ważne, trzeba to zaakcentować.

Dla większości Polaków pogrzeb świecki ma charakter ateistyczny i stoi w opozycji do Kościoła.

J.B.: – Nie, bo dzisiaj to już nie jest pogrzeb państwowy.

A.B.: – To decyzja zmarłego bądź rodziny; ludzi, którzy nie chcą prezentować publicznie, w co odchodzący człowiek wierzył, jaki miał światopogląd. Chcą pokazać, kogo stracili.

J.B.: – Uhm.

A.B.: – Małżonka, mamę, babcię, przyjaciela, dobrego kumpla. Bez odniesienia ideologicznego.

Pogrzeb świecki przyszedł z kultury helleńskiej, gdzie stanowił główną część ceremonii pogrzebowej, której towarzyszyła część religijna.

uczestniczymy. Nawet kiedy była to ceremonia religijna, która – jak wiadomo – jest ściśle określona przez rytuał kościelny. Msza ma wyraźnie określony początek i koniec, a jeśli tak, to dlaczego tuż przed nią czy po niej nie zagrać tego, co zmarła babcia lubiła? Dlaczego przy wyprowadzaniu trumny ma nie zabrzmieć „Tango milonga”?

J.B.: – Bo, pamiętajmy, to już nie jest czas obrzędu religijnego.

A.B.: – I właśnie w tym pozaobrzędownym czasie wprowadzaliśmy takie wtręty. Pojawiła się rozmowa z rodziną, że może zmarły coś lubił, jakaś melodia jest związana z jego ważnym przeżyciem. Bo przecież żegnamy konkretnego człowieka. I ten indywidualny rys zobaczyliśmy w obrzędowości świeckiej. Kiedy pojawiliśmy się na cmentarzu, kończył się typ pogrzebu świeckiego (ateistycznego), jaki odprawiano w PRL. Bo pogrzeb świecki w Europie jako taki istniał od bardzo dawna. To były rozbudowane przemówienia członków rodziny i przedstawicieli środowiska, z którego wywodził się zmarły. Towarzyszyły obrzędowi religijnemu i trwały równie długo albo nawet dłużej niż część sakralna. Ceremoniał świecki miał charakter oficjalny, a część religijną traktowano jako bardziej osobistą.

J.B.: – Widzimy to chociażby na filmie „Cztery wesela i pogrzeb”. Kultura anglosaska jest inna od naszej. Pamiętajmy, że pogrzeb świecki nie przyszedł ze Związku Radzieckiego



Pogrzeb Kory, Cmentarz Wojskowy na Powązkach w Warszawie, 8 sierpnia 2018 r.

Zjednoczonych zaś, w których przeważa kultura anglosaska, ceremoniał ten często towarzyszy obrzędowi religijnemu, co widzimy choćby na wielu amerykańskich filmach.

A.B.: – Mówiąc o pogrzebie w krajach socjalistycznych, mówimy o czasach, kiedy pogrzeb świecki pojawia się jako narzędzie w rękach tych, którym zależy na wyparciu religii z mentalności społecznej.

J.B.: – Teraz pogrzeb świecki jest całkowicie neutralny religijnie. Wszystko zależy od woli rodziny – mogą być elementy religijne albo nie.

A.B.: – Zdarzają się pogrzeby świeckie ateistyczne i antyteistyczne. Powtarzam: musimy być uczciwi wo-

J.B.: – Z pogrzebem świeckim, który niekiedy bywa też nazywany pogrzebem cywilnym, jest jak ze ślubem cywilnym. Ludzie myślą na ogół, że cywilny zawiera się bez boga. Podczas gdy ten ślub jest istotą ślubu kościelnego. Tu znów idziemy od starożytnego Rzymu, gdzie związki małżeńskie zawierano podobnie jak dziś w kościele. Dopiero gdy oddzielimy mszę świętą od ślubu cywilnego, zobaczymy księdza występującego w stule, będącej w starożytności oznaką władzy urzędniczej, nie kapłańskiej. W dawnych czasach, zanim jeszcze zaistniał Kościół rzymskokatolicki, czyli przed Konstantynem Wielkim, duchowny

był urzędnikiem. Wykształconym, oświeconym człowiekiem.

Wracając do naszego tematu, ślub cywilny tak jak pogrzeb cywilny miał część świecką i wyznaniową. Do oświecenia stanowiło to wymieszana jedność. Na dobrą sprawę dopiero po II wojnie światowej – po grozie ludobójstwa, obozów zagłady, kiedy wierzący tracili wiarę, a niewierzący ją przyjmowali jako ratunek – rozdzielono te dwie warstwy i ze stonej wody wyodrębniono sól oraz wodę. Teraz znowu to się miesza.

A.B.: – Mówisz o stonej wodzie, oddzieleniu i połączeniu. Pracując na cmentarzach, zdałam sobie spr-

jeden pan zdecydowanie bardziej nam się podobał. Chodziło o drobiazgi.

J.B.: – Dykcja, sposób poruszania się. Bo rzecz nie w tym, żeby wejść, ale żeby wkroczyć.

A.B.: – Mowa ciała jest ogromnie ważna. Zobaczyliśmy też wtedy, jak można oddać honory zmarłemu i przywitać rodzinę. Nie mogę przecież powiedzieć: „Witam serdecznie”, „Miło mi”. Teraz tej sugestywnej, godnej mowy ciała uczymy chłopaków wchodzących w zawód. Tu jest istotny każdy ruch. O czym wiem ja, a nie wie rodzina. Ale jeżeli oddając honory

nie bierzemy więcej niż jednego-dwóch naraz. Dobra nauka polega na pracy indywidualnej.

A.B.: – Na masowym kształceniu ucierpiałyby rodziny zmarłych. Przesłalibyśmy być elitarną jednostką cmentarną, jak nas nazywają.

J.B.: – Nasz uczeń ma dwóch nauczycieli, to inaczej niż w szkołach, gdzie nauczyciel ma kilkunastu bądź kilkudziesięciu uczniów. Uczymy go ruchu, postawy, czytania ze zrozumieniem.

A.B.: – Uczymy sposobu komunikacji z bardzo specyficznym klientem, jakim jest człowiek w żałobie.

J.B.: – Pisania tekstów.

A.B.: – Tak, bo musi wiedzieć, jak przygotować tekst. To nie może być życiorys, to powinna być opowieść o życiu. Uczymy również techniki – jak odczytywać tekst w konkretnych warunkach. Inaczej czyta się, stojąc na wietrze, na górze, inaczej, gdy za plecami ma się kolumbarium albo szpaler drzew. Inaczej w kaplicy o wysokości 2,75 m, a jeszcze inaczej bez mikrofonu, gdy siądzie zasilanie. **Bardzo ważne są chyba także predyspozycje psychiczne, zdolność do empatii przede wszystkim? Czy zdarzyło się państwu zrezygnować z ucznia, bo się nie nadawał?**

J.B.: – O tak! Bo brakowało mu empatii właśnie albo nie szło pisanie.

A.B.: – Wspomniana przez panią empatia to klucz do kontaktów z rodziną. Mówiąc o pogrzebie, wyobrażamy sobie sytuację: ktoś zmarł, a rodzina jest – jak się pisze w nekrologach – w nieutulonym żalu. Gdybyż zawsze tak było! Niestety, zdarzają się sytuacje konfliktowe, wstydlive. Bywają konflikty na linii zmarły-rodzina albo wewnątrz rodziny. Mistrz ceremonii musi wtedy się wykazać delikatnością, obyczajem, zdolnością nawigacji – by nie wpaść na rafa.

No i dochodzi do tego umiejętność zadawania pytań rodzinie cierpiącej po stracie.

J.B.: – Nie drążyć, ale pytać i umieć słuchać. I mieć wyczucie, bo przecież był brat zmarłego, a nikt o nim nie mówi, on zaś będzie uczestniczył w ceremonii i relacja z tym bratem powinna się znaleźć w opowieści.

A.B.: – Zwykle między śmiercią a pochówkiem upływa bardzo krótki czas. Rodzina oprócz żalu ma wiele



Pogrzeb prof. Zbigniewa Religi, Cmentarz Wojskowy na Powązkach w Warszawie, 13 marca 2009 r.

Teraz pogrzeb świecki jest całkowicie neutralny religijnie. Wszystko zależy od woli rodziny – mogą być elementy religijne albo nie.

wę, że nasi ateści są katolicy. Oni nie wierzą po katolicku, nie zaś nie wierzą w ideę boga. Są ateistami katolickimi.

No nie, nie możemy uogólniać. Są i ci niewierzący w ideę boga jako takiego.

A.B.: – Na pewno. Dlatego musimy się wstuchiwać w życzenia rodziny zmarłego, jaki chce mieć charakter ceremonii pożegnalnej.

Ciągle mi państwo umykają przed odpowiedzią na pytanie o początki waszych działań.

A.B.: – Widzieliśmy setki pogrzebów prowadzonych przez kilku różnych mistrzów ceremonii, z których

stanę przed trumną czy urną i nie złączę nóg...

J.B.: – ...w piętach, to jest ważne.

A.B.: – I wykonam ukłon, zostanie on odebrany jako lekceważący.

Niechlujny ukłon.

A.B.: – Tak. To ja muszę wiedzieć, co w moim zachowaniu wpływa na obecnych i jak zostanie odebrane.

J.B.: – Kto występuje publicznie, musi mieć opanowany ruch, wygląd, sposób wypowiadania się.

Państwo przekazują wiedzę uczniom. To jakieś kursy?

A.B.: – Za duże słowo.

J.B.: – Szkoląc mistrza ceremonii, przyjmujemy jednego ucznia. Nigdy

► spraw na głowie i jeszcze musimy zmieścić się my ze swoimi pytaniami. **Dlaczego państwo działają wymiennie? Pan pyta rodzinę i pisze tekst, gdy pani prowadzi ceremonię, i odwrotnie?**

A.B.: – To kwestia dbałości o jakość. Człowiek sam siebie nie skoryguje w pełni. My mamy komfort pracy we dwójkę.

Pracując razem, nigdy nie wychodzicie z pracy. W prywatnym czasie ona także jest z wami.

A.B.: – Praca razem to plus. Nie tylko możemy korygować swoje działania, ale również wiemy, o czym mówimy. Jeżeli w domu jest ktoś, kto rozumie moje zdenerwowanie, satysfakcję – to duża wartość. Zawsze mówię: prowadzenie pogrzebów to zawód dla twardzieli. A ponieważ nie mamy innego filtru niż słowa, nimi porządkujemy emocje. I jeśli jest ktoś, kto je rozumie, robi się łatwiej.

Da się sformułować zasadę, kto częściej wybiera panią, a kto pana?

J.B.: – Co kto lubi.

A.B.: – Ale nasi ateści częściej wybierają mężczyznę, ponieważ w grę wchodzi przyzwyczajenie – ksiądz to chłop.

J.B.: – No bo jak to, kobieta? Przecież będzie cała rodzina! Ale

drudzy mówią: ma być kobieta, żeby było jeszcze bardziej wiadomo, że to nie ksiądz. To będzie jeszcze bardziej świeckie.

A.B.: – Często pojawia się moja ulubiona postawa: niech prowadzi, kto chce, byle zrobił to dobrze. Ale bywają sytuacje zaskakujące: „Proszę pani, całe życie otaczały go babę, więc niech odprowadzi go też baba”.

Albo skoro umarła mama, niech pożegna ją spokojnie, z dużą wrażliwością kobieta?

A.B.: – Zdarza się i inne podejście: Matka Natura, Matka Ziemia, skoro na świat wydała kobietę, niech stąd i ona zabierze.

Czy tyle lat pracy przy śmierci zmieniło państwa stosunek do kresu?

J.B.: – Nadal nie umiemy się pogodzić ze śmiercią.

A.B.: – Swego czasu rozmawiałam z lekarzem o kilkudziesięcioletnim stażu. Wydawałoby się, że on na umieranie powinien już być uodporniony jak mało kto. Tymczasem powiedział, że jest dokładnie odwrotnie. Z nami jest podobnie. Coraz nam trudniej. Po pierwsze, dotyka nas upływ czasu, po drugie, nabiera się pewnej pokory, świadomości, że nie jesteś, człowieku, bogiem, nie pora-



Stanisław Lem został pochowany na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie 4 kwietnia 2006 r.

dzisz sobie, nieraz trzeba rozłożyć bezradnie ręce i się poddać.

Czyli nie można się opancerzyć?

A.B.: – Pancerz narasta przez krótki czas, a potem zaczyna się kruszyć.

Są państwo w branży cmentarnej wiele lat, czy zauważyliście różnice w podejściu do śmierci ze strony żałobników?

A.B.: – Tak. Zaczynaliśmy w momencie, kiedy śmierć była jeszcze czymś naturalnym. Później nastął czas wiary w technikę. Komputery, lądowanie na Marsie, jeśli nie dzisiaj, to na pewno w sobotę. A tu nagle śmierć jako porażka medycyny. Przecież mamy XXI w., a on, ona umarli! Jak to?! Dzisiaj znów odejście z tego świata staje się czymś bardziej naturalnym. I śmierć coraz częściej wraca do domu.

J.B.: – Co ważne, przestała być czymś wstydlivym. Bo do niedawna był popłoch: babcia umarła? Co powie wnuczka?

A.B.: – Ale w dalszym ciągu boimy się rozmawiać o śmierci. Zostawiamy na potem wszystkie ustalenia. A później okazuje się, że nie wiemy, jak ktoś chciał być pochowany. Bo próbował kiedyś coś nam powiedzieć, ale nie pozwoliliśmy.

I nie wiemy, czy go skremować. Jakie miejsce pochówku wybrać.

W nocy z 16 na 17 października
po długiej i ciężkiej chorobie w wieku 79 lat zmarł
nasz od przeszło półwiecza serdeczny przyjaciel

MAREK STARCZEWSKI

Działacz lewicowych organizacji studenckich i młodzieżowych ZSP i ZMS.

Dziennikarz i animator wielu inicjatyw społeczno-kulturalnych
na Suwalszczyźnie i w Warszawie.

Przez wiele lat redaktor naczelny społeczno-kulturalnego czasopisma „Krajobrazy”.

Chociaż pokochał Suwalszczyznę – nigdy z nami nie utracił kontaktu.

Dziękujemy Mu za niezachwianą przyjaźń i za zaraźliwie promieniującą aktywność,
za mądrość ocen i błyskotliwe komentarze, za fantazję i elegancję.

Trudno będzie wyobrazić sobie nasze warszawskie spotkania przyjaciół bez „Starki”.

Cześć Jego Pamięci!

Przyjaciele z Fundacji RZiPS

Andrzej Bajorek, Jan Cofalka, Henryk Czerski, Krystyn Dąbrowa,
Zbigniew Glapa, Andrzej Gordon, Jan Guentner, Bogdan Jachacz, Marek Jaśkiewicz,
Marek Jurkiewicz, Wiesław Klimczak, Kazimierz Kłoda, Andrzej Kupich,
Janusz Kubasiewicz, Andrzej Lachut, Ryszard Łukasiewicz, Ryszard Marcinkowski,
Andrzej Majkowski, Jerzy Stefański, Sławomir Tabkowski, Jan Topolewski,
Bogdan Waligórski, Wiesław Żelazowski

A.B.: – Mam nadzieję, że ten lęk przed ostatecznym odejściem niebawem minie. Kiedyś śmierć była traktowana jako część życia. Pamiętam rodzinne opowieści o moim pradziadku, który przed śmiercią objechał całą rodzinę, żeby się pożegnać. A nie było łatwo, bo chłopina przez rok musiał przemierzyć carską Rosję. Zrobił, co chciał, wrócił i umarł. Niegdyś w kulturze istniało przygotowanie na śmierć. Teraz ciągle zastępuje je strach.

A przecież i tak umrzemy.

J.B.: – Ta myśl pojawia się jednak coraz częściej. I skończyła się wiara, że w szpitalu to nam na pewno nie pozwolą odejść.

A.B.: – I coraz częściej już wiemy, że skoro śmierć jest nieuchronna, to zapewnijmy umierającemu odchodzenie wśród swoich, we własnym otoczeniu. Proszę mnie dobrze zrozumieć, ja nikogo nie oceniam; jeśli nie można zapewnić opieki, ulgi choremu i trzeba go oddać do specjalistycznej placówki – to oczywiście. Natomiast czym innym jest usunięcie umierającego człowieka sprzed

rze, to największe dotyczą zgonów małych dzieci właśnie i starców.

Dlaczego?

A.B.: – Kiedyś zgon starca był wielką stratą dla całej społeczności. Bo społeczność traciła głowę.

J.B.: – To jakby dziś stracić dostęp do internetu.

A.B.: – Umierał ktoś, kto był skarbnicą wiedzy na każdy temat. Wiedział, jak przeżyć wojnę i jak kisić ogórki. Zgon dziecka natomiast był niemal

ację. Korzystamy również z kaplic powstających przy zakładach pogrzebowych. Jeżeli jednak się zdarzy, że nie ma miejsca do poprowadzenia pożegnania, prowadzimy uroczystość pod gołym niebem, przy kwaterze grobowej.

A jak dotrzeć do mistrza ceremonii, gdy chce się zorganizować pogrzeb w małej miejscowości?

A.B.: – Należy się zwrócić z pytaniem do zakładu pogrzebowego.

Skoro śmierć jest nieuchronna, zapewnijmy umierającemu odchodzenie wśród swoich, we własnym otoczeniu.

codziennością, w związku z wysoką śmiertelnością okołoporodową. Dzisiaj, gdy rodziny wielodzietne są jednak rzadkością, śmierć potomka to utrata całej przyszłości, koniec perspektyw. Zostaje pustka. Natomiast odejście sędziwego człowieka wywołuje reakcję: „Co chcesz? Dożył pięknego wieku”. Bo jego świat umarł przed nim. On nie znał się już na nowoczesnej technice, nie rozumiał

Każdy mistrz ceremonii dojeżdża, gdy zaistnieje potrzeba, zazwyczaj do 200 km. Jeżeli jednak problem się pojawi, najlepiej w najbliższym dużym mieście znaleźć cmentarz komunalny i przez jego zarząd dotrzeć do mistrza. Dobrze też działa „telefon do przyjaciela” – pamiętając czyjeś pożegnanie, w którym uczestniczyliśmy, możemy zapytać bliskich. Bo strony internetowe to wszak rozkładanie pawiego ogona – tu każdy jest najlepszy i dostępny wszędzie, przez całą dobę!

J.B.: – Kończąc naszą rozmowę, czytelnikom życzę szczęśliwego, ciekawego, długiego życia w zdrowiu i poczuciu, że było warto! Niech tam kiedyś jakiś mistrz ceremonii się napracuje nad wspomnieniem. Mówiliśmy sporo o tradycji, oto przed nami pierwsze dwa dni listopada – współczesna wersja starożytnego *dies parentales*, chyba najbardziej rodzinne ze wszystkich świąt.

Małgorzata Kąkiel

Kiedyś śmierć była traktowana jako część życia.

oczu. I to właśnie się zmienia, znów chętniej blisko opiekujemy się odchodzącymi.

Ale zmieniają się rytuały w kulturze. Coraz rzadziej np. uzewnętrzniamy żałobę. Skończyły się czarne ubrania, opaski na rękawie, aksamitki w klapach. Nie chcemy płoszyć swoim smutkiem bliźnich. A szkoda.

A.B.: – Jeszcze na początku XX w. oznaki żałoby były ściśle skodyfikowane. Wiadomo było, jak długo nosić czerń po małżonku czy dziecku. Te oznaki żałoby odgrywały ważną rolę, pokazują, że człowiek jest w okresie ochronnym. Dla mnie w dzisiejszym świecie czymś niedobrym jest brak ceremonii związanych z odejściem małego dziecka. Rodzice, którzy stracili dziecko podczas porodu albo kilka dni po nim, zazwyczaj nie informują o pogrzebie. Zamykają się w gronie najbliższej rodziny. Kobieta po takiej stracie wraca do pracy. Niby wygląda normalnie. Nikt nie wie, jak się zachować, bo nikt nie brał udziału w pożegnaniu. Ukrywanie straty przed otoczeniem uniemożliwia udzielenie wsparcia. Jeśli mówimy o zmianach w kultu-

rzeczywistości. Ale przecież człowiek to nie rozwinięta technologia.

Decydując się na pogrzeb świecki, gdzie możemy żegnać bliskich?

A.B.: – Na cmentarzach komunalnych są sale ceremonialne. Jeżeli rodzina ma grób na cmentarzu wyznaniowym, nie powinno być problemu z dostępem do cmentarnej kaplicy. Księża zazwyczaj rozumieją tę sytu-

PAMIĘTAMY

Na początku listopada wspominamy tych, którzy odeszli. Wśród nich ludzie, którzy z nami pracowali i współpracowali, wspierali nas radą, dołożyli swoją cegiełkę do historii PRZEGLĄDU. Odeszli przed wieloma laty albo zupełnie niedawno, jak **Czesław Don-dziłło**, wybitny krytyk filmowy, ciekawy felietonista, którego żegnaliśmy zaledwie dwa tygodnie temu. Pamiętamy o naszych nieocenionych felietonistach: **Stanisławie Lemie**, **Piotrze Kuncewiczu**, **Aleksandrze Małachowskim**, **Krzysztofie Teodorze Toeplitzu**, o grafikach **Andrzeju Czeczocie**, **Małgorzacie Tabace** i **prof. Januszu Stannym** i o **Zosi Sitnik** – dobrym duchu naszej redakcji.

Wspominamy tych, których okrągłe rocznice śmierci przypadły w tym roku. 15 lat temu odeszli **Jadwiga Polanowska** – aktorka i autorka znakomitych wywiadów z aktorami, rysownik **Marek Polański** i **prof. Tadeusz Zieliński** – rzecznik praw obywatelskich, który swoją działalnością publicystyczną, także na łamach PRZEGLĄDU, bronił idei państwa prawa. 10 lat temu żegnaliśmy **Serga Kuruliszwilego** – wybitnego fotografa i podróżnika, twórcę ciekawych fotoreportaży, a pięć lat temu **prof. Henryka Markiewicza** – historyka i teoretyka literatury, autora żarliwych polemik w PRZEGLĄDZIE.

Na zawsze zostaną w naszej pamięci

ODESZLI, ALE SĄ

Pokora, Kłosowski, Szewińska, Kora...

Wiesław Kot

Szczeble kariery, dorobek, tytuły, odznaczenia – według takiego klucza przypominamy zwykle tych wielkich, których pożegnaliśmy w minionym roku. Błąd! Tak się układa notkę w encyklopedii, do której rzadko kto zagląda. Ci, którzy pozostali w naszej pamięci, podarowali nam znacznie więcej – swoje życie: we fragmentach, odsłonach, urywkach. Ale właśnie z tych ledwie uchwytnych drobiazgów tworzy się tkanka żywej kultury narodowej.

MARRYSIU! PAN MÓWI

Wojciech Pokora (zm. 4.02) bawił swoją sztuką komiczną miliony, ale gdy miał stanąć przed widownią kabaretu, gdzie trzeba było odrobinę poimprovizować, sztywniał z tremy. Kochał dyscyplinę, „żywiotu” bał się jak ognia. Koledzy o tym wiedzieli i gotowali Wojtka, ile wlezie. Na przykład monologuje na estradce kabaretu Owca, a tu wkracza na scenę Stanisław Tym, który oświadcza, że publiczność za moment będzie świadkiem pojedynku szermierczego. Pianista wystukuje już na klawiaturze „Taniec z szablami” Chaczaturiana, Zofia Merle w całej swojej obfitej postaci zjawia się z dwiema szablami. Zagradza Wojtkowi drogę ucieczki z jednej strony, z drugiej blokuje go zwalisty Tym. Wciska „szablę w dłoni” i wyzywa: „Walcz, tchórz!” Wojtek, którego paraliżowały zwykłe „wyuczone” występy, wpada w autentyczną panikę. Siada na podłodze i – z tremy, bezradności i wściekłości – płacze jak dzieciak. Publiczność klaszcze, jest zachwycona. Ten to umie zagrać!

Zresztą publiczność bywała zachwycona „panem Wojteczkiem” na własny, ulubiony sposób. Kiedy pokazał się w kieckach w komedii „Poszukiwany, poszukiwana” (1972), jeszcze przez kilka lat po premierze odbierał telefony z propozycją pracy dla „Marysi”, i to mimo trzykrotnej zmiany numeru. A jak towarzyszyło wracało

z imprezy, nie umiało sobie odmówić naciśnięcia przycisku jego domofonu. Gdy tylko usłyszeli głos Wojciecha Pokory, ryczeli z uciechy: „Marrrysiu! Pan mówi!”.

Nerwowo było też w związku z publicznością na planie „Kariery Nikodema Dyzy”. Sceny z udziałem Romana Wilhelmi Wojciech Pokora nagrywał popołudniami np. w Zaborowie (do Warszawy godzina drogi samochodem – wówczas!). Zdyscyplinowany do granic aktor biegł od reżysera do panów od zdjęć i dekoracji z każdą chwilą coraz bardziej rozdygotany: „Panowie, na Boga, szybciej! Czy jest już samochód?!”. Bo wieczorem w Warszawie spektakl, więc kolejną scenkę trzeba zagrać raz-dwa, hop do auta i modlić się, żeby nie trafić na korek czy kraknę. A tu jak na złość co chwilę elektrykom siada jedna faza. Kiedy już pada wyczekany klaps i stają z Romanem Wilhelmem przed obiektywem, żeby porozmawiać o Oksfordzie i Tworkach, zbiera się publiczność. A tej się wydaje, że obaj panowie świetnie się bawią – jak to w komedii. Obsługa planu, urzędnicy pałacowi, przygodni turyści gapią się, jak Nikodem, „mocny człowiek terenu”, ustawia do pionu szurniętego hrabiego Żorża Ponimirskiego. I co chwilę ktoś wybucha śmiechem (dźwięk nagrywany jest na planie). Ujęcie trzeba powtarzać raz za razem. Czas leci, Pokora szaleje. Te przekomarzanki z ulubionego serialu Polaków aktor wykonywał więc w sytuacji, kiedy był wprost nieprzytomny ze zdenerwowania. Ale przed kamerą powieka mu nie drgnęła!

Wysoko ceniła tę dyscyplinę u pana Wojtka Olga Lipińska. W telewizji był zawsze na czas, trzeźwy (co nie było tam regułą), z tekstem wykutym na blachę. Każdy gest wystudowany. Mawiała o nim, że jest „aktorem z kropką”. Tą „kropką” był np. przejazd dłonią powyżej oczu, w sensie: „Mam potąd!”. W końcówce PRL-u ten gest w sekundzie oddawał samopoczucie milionów rodaków. I kiedy rodacy spotykali pana Wojtka na ulicy, zamiast



Pokora to „aktor z kropką”. Tą „kropką” był choćby przejazd dłonią powyżej oczu w geście „Mam potąd!”.

zwyczajowego: „Myślę to samo, co pan”, przesuwali dłonią na wysokości czoła. I wszystko jasne!

NASZA ULUBIONA SZUJA

Roman Kłosowski (zm. 11.06) podarował Polakowi jego naturalną, wrodzoną, przasną, kartoflano-buraczaną gębę. To był ktoś więcej niż aktor filmowy. To była postać kulturowa: wprawdzie ciągle chłoporobotnik, miastowy w pierwszym pokoleniu, ale rozsadza go ambicja. Mikry, zagubiony, kopany po kostkach, ale staje na palcach, żeby dodać sobie wzrostu i znaczenia. Chojrakuje. I takim kino przenosiło go z filmu do filmu. W komedii „Ewa chce spać” (1957) jako najgłupszy złodziej czai się nocą na ostatnich frajerów i „sprzedaje im cegłę”: „Odpalasz pan stówkę, ocalasz pan główkę”. Ale on nie z tych naprawdę groźnych. Kiedy samotna panienka (zjawiskowo śliczna Basia Kwiatkowska) zamierza przeczekać noc w miejskim parku, z miejsca oferuje jej, co ma najlepszego: wyrko u ciotki, u której sam pomieszkuję kątem. „Wczoraj była wypłata, wujek wcześniej jak za trzy dni nie wróci”. W „Pętli” (1957) stawia się rankiem do roboty (monter z wielką, dyndającą u kolan torbą), ale jest niedopity, więc wściekły. I jak widzi,

że inteligencii Holoubek żyje w takim luksusie, że może się zataczać od rana, z miejsca nakładłby mu po ryju. Ale gdy milicja puszcza ich po spisaniu protokołu, nie chowa urazy – daje się zaprosić na męską wódkę.

W „Bazie ludzi umarłych” (1958) też próbował się wyszerzyć za wszelką cenę. Zwoził starym rżchem drewno z gór w towarzystwie alkoholików i wykołajeńców, bo przyświecało mu jedno marzenie: uskłada wreszcie na taksówkę. Będzie – jak jakie panisko – wozil lepszych państwa. I kiedy uzbierał już całą sumę, władze wprowadziły wymianę pieniądza (1950). Za kuferek uciutych banknotów mógł teraz kupić najwyżej jedno koło. Upił się, oszalał z rozpacz i zaczął rozrzucać pieniądze po ulicach. Było w tym tyle bólu, tyle zawiedzionych ambicji prostego „człowieka pracy”, że cenzura kazała usunąć scenę z filmu.

Podobnie w „Czterech pancernych”. Kłosowski zagrał tam oficera politycznego, ale nie z tych zajadłych. Pod ostrzałem pisywał wiersze, a z megafonu „wozu propagandowego” puszczał piosenki Mieczysława Fogga. Trafiła go zbłąkana kula i pancerni mieli go położyć do grobu w trakcie dłuższej ceremonii. Tyle że widzom zrobiłoby się strasznie żal pocziwiny, atmosfera by siadła. A tonacja tego wojennego pikniku była radosna, wręcz triumfalna, bo wśród ruin prześwitywała już Brama Brandenburska. Pogrzeb Kłosowskiego wypadł z filmu.

No i wreszcie bezcenny dar, którym Roman Kłosowski ubogacił nasz narodowy panteon – Maliniak z „Czterdziestolatka”. Typ wprawdzie szujowaty, nachalny, klejący się do tych, którzy stoją bodaj o oczko wyżej w hierarchii społecznej, ale też swój do kości. „Ja to pana poznaję nawet od tyłu”; „Czy mogę sobie z Maliniakiem zrobić zdjęcie? Jak teściowa zobaczy, wszystko odpuści”; „Dla pana wszystko. Maliniakowi się nie odmawia”, słyszał Kłosowski już do końca życia. Jest rok 2012 – Kłosowski jako zniedołężniały emeryt z wielkim trudem próbuje się wtarabanić do pociągu na Centralnym.

Pod nosem klnie na całą tę infrastrukturę. Nagle pojawia się kolejarz z pomocną dłonią i z tekstem: „Panie Romanie, tu się wszystko rozpirza, ale przecież pan sam to budował”.

Tak, Maliniak jest nie do zdarcia... „Czterdziestolatka” telewizja pokazała w roku 1974. A jak najczęściej nazywamy prezydenta, którego wybraliśmy w roku 2015?

MISTRZYNI ŚWIATA I NIC PONIŻEJ

Irena Kirszenstein-Szewińska (zm. 29.06) już trzy lata przed maturą, w 1963 r., z wynikiem 11,6 s na 100 m stanęła na czele junierek Europy. Kiedy zaczęła studiować ekonomię polityczną na Uniwersytecie Warszawskim (żadnych ulg z racji intensywnych treningów), stało się jasne, że to talent lekkoatletyczny, który trafia się raz, może dwa razy na stulecie (wcześniej podobnym fenomenem była Halina Konopacka). I nie ma zmiłuj – kibice, których nieustannie podbechtywała prasa sportowa, chcieli w Irenie widzieć najlepszą lekkoatletkę na świecie. I nic poniżej. Kiedy więc podczas

Nie ma zmiłuj – kibice chcieli w Irenie widzieć najlepszą lekkoatletkę na świecie.



„Maliniakowi się nie odmawia”, słyszał Kłosowski już do końca życia.

olimpiady w Meksyku – rok 1968, pierwszy raz zawody transmitowano na cały świat drogą satelitarną – w biegu na 100 m pozwoliła się wyprzedzić czarnoskórem Amerykanom, nasza publiczność odebrała to jako zniewagę.

Wdeptano by biedną dziewczynę w biegnię, ale szybko zrehabilitowała się na swoim ulubionym dystansie 200 m. Kiedy stanęła na podium i usłyszała „Mazurek Dąbrowskiego”, ukradkiem ocierała łzy. Niekoniecznie wzruszenia. Płakała, bo mocno ją zabolalo, że pomimo najlepszych starań i chęci można z niej w minucie zrobić narodową zakatę. Później też nie było lepiej. W trakcie biegu sztafetowego Irena upuściła pałeczkę i Polki straciły szansę na zwycięstwo. Media – a zwłaszcza propaganda szepetana – z miejsca zasugerowały, że mistrzyni, której przewróciło się w głowie, zrobiła to z zawiści – by zagrozić drogę do sławy młodszemu koleżankom.

Jest rok 1968 i takie zarzuty wobec kogoś, kto nazywa się Kirszenstein, brzmią bardzo poważnie. Prof. Leszek Kołakowski zażartował wtedy, że „Szewińska zdobyła złoty medal, a Kirszenstein zgubiła pałeczkę”. Zresztą prasa już od pewnego czasu manipulowała jej nazwiskiem. Kiedy Irena wyszła za mąż i przedstawiała się nazwiskiem podwójnym, dziennikarze z miejsca zaczęli o niej pisać wyłącznie *per* Szewińska. Jakby nazwisko, pod którym weszła do światowego sportu, w ogóle nie istniało. ▶



► Sugerowano poza tym, że Irena jest pieszczochem władzy. „Nie dostałam żadnego samochodu, a jedynie talon na niego. Auto musiałam kupić na raty. I kupiłam. Z tym tylko, że wszystkie pozostałe nagrody starczyły mi jedynie na pierwszą samochodową ratę”, tłumaczyła po latach.

Atmosfera jednak zgęstniała wokół niej do tego stopnia, że po dziesięciu latach uprawiania wyczynowego sportu wycofała się z biegni. Teraz z kolei prasa chwaliła Irenę za to, że „wiedziała, kiedy odejść”. Ale ona wycięła wszystkim numer. Kiedy wydawało się, że pozostanie już tylko nazwiskiem w historii sportu, wróciła do treningów (po urodzeniu syna). W 1974 r. podczas Dnia Olimpijskiego w NRD, w kolebce światowego sprintu, rozgromiła zawodniczki (?) niemieckie najpierw na dystansie 100 m, a krótko potem na dwa razy dłuższym. Tu wynikiem 22 s pobiła rekord świata. Biegała jeszcze potem całą dekadę – jakby na przekór metryce. I nie przejmowała się, gdy ciągle wypominano jej minione dni chwały, które jakoś nie chciały wrócić. „Pani Szewińska nie jest już tak świeża w kroku jak dawniej”, komentował z wrodzonym wdziękiem Bohdan Tomaszewski.

ODDECH SZCZURA, LOKI PIESKA

Kora, Olga Jackowska (zm. 28.07) – najcieplej wspominamy tę najwcześniejszą. Był czerwiec 1980 r., nieznana szerzej wokalistka Kora Jackowska weszła na estradę opolskiego festiwalu i wykrzyczała monolog nieźrównoważonej gwiazdki filmowej. Nazywało się to „Boskie Buenos” i na tle piosenkarskich popłuczyn po Annie Jantar brzmiało jak dynamit. Publiczność czekała na taki właśnie zgrzyt w landrynkowym, gierkowskim grajdołku muzycznym. Kora poszła za ciosem. Maanam jeszcze tego lata nagrał pierwszą płytę i ruszył w trasę.

„Co tak szura, to sierść szczura”, krzyczała Kora z estrady do tłumów punków, które z najwyższym trudem uzbierały 300 ówczesnych złotych na koncert. Zachwycone tłumy odpowiadały: „Oddech szczura ścianę pieści”. I Korę, i tłumy z agrafką w uchu przebiegał wówczas ten sam dreszcz bun-

tu. Przeciw „komunie”, przeciw zmarowanej młodości, przeciw załganej propagandzie. „Punków pokochałam, zanim się pojawili”, powtarzała wielokrotnie. Ale nie wszystkim ta miłość się podobała. „Ile trzeba mieć w sobie złości, niechęci, do świata i ludzi, żeby odczuwać przyjemność słuchania o szczurzej sierści?”, pytał ją dziennikarz, zgorszony, że Maanam nie śpiewa jak Irena Jarocka albo – w najgorszym razie – jak Jacek Kaczmarski. Ona nawija coś o głodzie autentyczności, a dziennikarz swoje: „Przed



Kiedy Maanam wylądował na Manhattanie, szefowie klubów wykradali go sobie, bo w jeden wieczór ściągał do lokalu tłumy.

koncertami rockowymi młodzież handluje kompotem, na koncercie są już przyćpani albo po wódce. A pani chce im mówić o poszukiwaniu autentyczności. O silnej osobowości. To nie ma sensu”. Otóż – miało sens. Fankluby zespołu wyrastały jak grzyby po deszczu. Druga płyta, nagrana miesiąc po ogłoszeniu stanu wojennego, rozeszła się błyskawicznie, mimo że zabrakło papieru, aby wydrukować jej okładkę.

Tymczasem sława zbuntowanego zespołu znad Wisły przekroczyła granice kraju. Rozniosło się, że w Niemczech od buntu jest Nina Hagen, we Włoszech Gianna Nannini,

a na wschód od Odry niejaka Kora. Paryż, Berlin, Mediolan, Amsterdam – wszędzie tam Maanam dawał koncert za koncertem i bisował po kilka razy. Mimo że Kora do miejscowej publiczności śpiewała po polsku. Kiedy zespół wylądował na Manhattanie, szefowie klubów muzycznych – bynajmniej nie polonijnych – wykradali go sobie, bo w jeden wieczór, bez żadnej reklamy, ściągał do lokalu po kilka tysięcy słuchaczy. A to oznaczało ogromne obroty klubowego barku. Niestety, w tym barku coraz częściej przesiadywali sami muzycy. Nieludsko zmęczeni, przytłoczeni własną sławą, wiecznie poza domem. Grali non stop, bo chcieli za wszelką cenę wykorzystać swoje pięć minut. Dawali więc zabójcze maratony koncertów, najczęściej za psie pieniądze. Po krótkiej drzemce w hotelu czy autokarze wódką doprowadzali się do stanu używalności. Najgorzej skończyło się to dla Marka Jackowskiego, który musiał się leczyć z poważnego uzależnienia.

A tu jeszcze władza wbiła im nagle nóż w plecy. W 1984 r. czynniki partyjne zażądały, aby Maanam, ostatecznie flagowy polski zespół muzyczny, zagrał na koncercie przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Dla zbuntowanego zespołu o punkowych korzeniach oznaczało to śmierć cywilną. Maanam odmówił władzy. Władza odmówiła Maanamowi – dostępu do radia, telewizji i prasy. Marek Niedźwiecki na swojej liście przebojów w radiowej Trójce puszczał w miejsce „zakazanych piosenek” solo na perkusji z utworu „To tylko tango”. Brzmiało jak żałobne werble. Ale też na żałobne werble był już czas. Muzycy – zmęczeni samymi sobą – decydują się w 1985 r. zawiesić działalność. Zresztą tymczasem zmieniła się cała epoka. Polski bunt się wypalił. Nastolatki, które jeszcze niedawno na ulicznych manifestacjach walczyły z ZOMO, teraz rzuciły się w wir międzynarodowego przemytu. Szmuglowały tanią elektronikę z Berlina Zachodniego i swetry z Turcji. Nie było nastroju na słuchanie Maanamu. Nad Polską wschodziła epoka disco polo.

A Kora ostatnimi laty pokazywała się jako jurorka w telewizyjnych programach muzycznych. W wersji: pańcia z salonu z ulubionym pieskiem. I dopiero wtedy naprawdę skończyła się pewna epoka...

Wiesław Kot



FELIETON



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Dramatem felietonisty, usiłującego od czasu do czasu zażartować, jest rewolucja cyfrowa, która pozbawiła nas realnie i definitywnie władzy nad czasem. Trzeba ostatecznie zaakceptować fakt, że życie nie toczy się w rytm wydawanych tygodników i ukazujących się tam felietonów. A kiedyś... Kisielewski, Słonimski – jak coś napisali w poniedziałek, to cała (z tysiąc osób) Polska rżała. Poza wszystkim oni się śmiali z czegoś, o czym inni wcześniej nie słyszeli, więc czytający dostawali zarówno informację, jak i sarkastyczny komentarz. Dzisiaj często o informację samą w sobie bardzo trudno, a i jakość sarkazmu częściej występuje w stanach niskich.

Taka historia jak bredzący o wyższości żarówek żarowych nad ledowymi Andrzej Duda (dla niewtajemniczonych – formalnie osoba pełniąca funkcję prezydenta RP), który z Trumpową logiką małego Jasia wywodził tezę, że rzekoma niedostępność żarówek starego typu doprowadziła

Ale czy uczą się wciąż nasi, moi, ci, z którymi nam po drodze, których wspieramy, za których trzymamy kciuki, zdieramy gardła, zakreślamy krzyżyki w kwadracikach płacht wyborczych? W terapii uzależnień jest takie fundamentalne pojęcie jak sięgnięcie dna i odbicie się od niego, czyli że dopiero kiedy uzależniony człowiek sięgnie dna, może z takiej otchłani się odbić. Nie czas tu na żarciki Leca: „Najlepiej jest na dnie, niż nikt nie spadnie”, bo można usłyszeć, także Lecowe, słynne pukanie od spodu.

Łomot wyborczy dla wszelakich lewic – tu raczej sporu nie ma. Łomot. Po równo? Mniej więcej. Jest się czym pocieszać? Nie bardzo. Da się coś z tego wykombinować? No chyba trzeba? Inaczej zostaniemy jednym z niewielu krajów europejskich zupełnie bez lewicy, za to ze starymi żarówkami. Do najważniejszych wyborów parlamentarnych pozostaje jeszcze trochę czasu, wybory do Parlamentu Europejskiego będą przygrywką.

MIĘDZY ŻARÓWKĄ A TRIUMFEM LEWICY

do brexitu. Setki, tysiące komentarzyków, memów, rysuneków zmiotły naszego pucułowatego (Wiem, wiem, nie należy żartować z wyglądu ani nazwiska, ale zaraz, zaraz – czy taka grzeczność przypadkiem nie jest tak powszechnie zwalczaną na Wiśle, choć nigdy tu naprawdę nieobecną, poprawnością polityczną? Nie lubicie poprawności politycznej? To „pucułowaty” zostaje) gawędziarza z „uciocinami”. Były żarty brutalne: „Jak to? Są stare żarówki w Media Markt! No tak, ale to nie dla idiotów”. Wystarczy. Prezydent został wybrany przez suwerena (po raz 500. powtarzam, że nie wiadomo, po co nam nie tylko Duda, ale w ogóle prezydent) i niech sobie dotrwa, dotoczy się do końca swojej kadencji wśród rechotu z własnych żartów. Większym dramatem jest to, że jest on również autorem kultowej wypowiedzi o prowadzeniu permanentnego procesu autoedukacji: „Ja cały czas się uczę, wszędzie, ja się uczę w samochodzie, kiedy jadę, w samolocie, kiedy lecę...” (akurat nie leci, bo trwa dramatyczny strajk w PLL LOT, firmie, na czele której stoi z partyjnego nadania podobny orzeł intelektu jak prezydent). Na tę nieustanną naukę nasz nieuk ma nawet mocne papiery – doktorat Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego profesura niejednokrotnie już musiała zabierać głos, że ich adept nie rozumie, nie doczytał, nie pojął, że łamie, narusza i że w ogóle chyba mocno się go wstydzą. Można się uczyć i nie nauczyć, można się nauczyć uczenia i potem tego się oduczyć, można aż do doktoratu udawać, że czegoś się nauczyło, ale okazuje się, że może i owszem, ale wśród tego ogromu nauczania się nie było akurat rozumienia. Trudno naszemu prezydenta o to winić, nie on jeden, nie pierwszy, nie ostatni. Nie moja partia, nie mój kandydat – nie dziwi nic.

Mocny gest zjednoczeniowy? Tegośmy jeszcze nie grali, pewności nie ma, że piosenka i zespół się podoba, ale technika istnieje, czasami zagra, czasami wybrzmi, trzeba to chyba tym razem odegrać sprawnie, kosztem dobrego samopoczucia. Bliskie mi są pomysły struktur ahierarchicznych, równościowych, horyzontalnych, bez- lub pozawo- dzowskich. I nic z tego nie wynika, bo wyborcy tego nie akceptują. Wygląda na to, że wciąż musi stać na scenie jeden dyrygent, jednak mężczyzna (mówię to z goryczą, choć znam także niezwykle mężczyzn). Czy ta nauka po porażce przywróci pierwotny sens słowa kompromis? Przecież na nim opiera się tak naprawdę życie najmniejszych grup społecznych, takich jak rodzina, klasa w szkole, co tam jeszcze.

Mit powszechnej jednomyślności, zgody i akceptacji jest nie do sformalizowania, nie do instytucjonalizowania. Wydaje się, że taka świadomość, a nie tylko gra w taką świadomość, powoli dojrzewa i czas na jej wyklucie się z jaja zwanego niebytem skrajnie rozproszonej lewicy. W tym pejzażu, czy komuś to się podoba czy nie, stoi dobrze widoczny i przygotowany na taki scenariusz Robert Biedroń. Po kolejnych koncertach wyborczych musimy mieć choć opuchnięte, jeśli nie obrzękłe, od klaskania ręce (nie prawice). Ale to znaczy, że musi zagrać orkiestra. Zaakceptować i wesprzeć dyrygenta, nie zapominając, że to orkiestra jest wspólnotą wielu głosów na wiele instrumentów. Ważna będzie aranżacja, tonacja jest znana, libretto do napisania, linia melodyczna też.

Inaczej zagłuszysz nas na lata oda faszystowsko-żarówkowa. *No pasarán!*

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

29.10-4.11.2018 PRZEGLĄD 39

100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

NAJAZDU MONGOŁÓW NIE BĘDZIE

Przywódcy Wielkiej Trójki stworzyli fundamenty historycznego sukcesu Polski



Podpisanie polsko-radzieckiego układu o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. Londyn, 30 lipca 1941 r.
 Nz. od lewej: gen. Władysław Sikorski, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Eden, premier Winston Churchill, ambasador ZSRR w Wielkiej Brytanii Iwan Majski.

Lech Mazewski

Z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę warto spojrzeć na to wydarzenie przez pryzmat losów sprawy polskiej w okresie II wojny światowej. To właśnie decyzje z lat 1943-1945 sprawiły, że Polska ostatecznie stała się dużym państwem europejskim, czego nie można powiedzieć o państwie, które odzyskało niepodległość w 1918 r. i ukształtowało się w ciągu kilku następnych lat. Wschodnia granica Polski została uznana przez państwa zachodnie 15 marca 1923 r., ale wcześniej akceptację uzyskały pozostałe linie graniczne. Odrodzone państwo było duże, ale w znacznym stopniu obejmowało niepolskie terytoria i ludność, stanowiąc część europejskiego Wschodu. Dziś z wielką korzyścią dla nas jest inaczej. Jak do tego doszło?

W tajnym protokole do układu z 23 sierpnia 1939 r. o nieagresji między Związkiem Radzieckim a Niemcami strony postanowiły: „W razie przeobrażeń terytorialnych i politycznych na terenach należących do Państwa

Polskiego, sfery wpływów Niemiec i ZSRR zostaną rozgraniczone w przybliżeniu wzdłuż linii rzek Narew, Wisła i San”. Nie oznaczało to, że nasze państwo miałoby całkowicie przestać istnieć, gdyż równocześnie stwierdzano: „Kwestia tego, czy pożądanym jest w interesie obu stron zachowanie niepodległości Państwa Polskiego, oraz kwestia granic takiego państwa zostanie ostatecznie rozwiązana jedynie przez bieg przyszłych wydarzeń politycznych”.

Jednak w zawartym 28 września 1939 r. między tymi samymi stronami układzie o przyjaźni i granicy spra-

stry nie będą pozwalały na żadną agitację polską, dotyczącą terytorium drugiej strony”. Tym razem było jasne, że nie przewidywano dalszego istnienia – nawet w szczątkowej formie – państwa polskiego. Przypominałoby to postanowienia konwencji z 26 stycznia 1797 r. o ostatecznym rozbiórce Polski.

ALIIANT NASZYCH ALIIANTÓW

Czy w ten sposób wróciliśmy do stanu z 1795 r.? Z punktu widzenia prawnego – nie. Państwo polskie nadal istniało, choć jego władze znaj-

Anglia i Francja uznawały dalsze istnienie państwa polskiego, ale nie w jego przedwrześniowych granicach.

wy wyglądały już inaczej. Poza dość znaczną korektą wcześniej ustalonej linii granicznej, przypominającej teraz delimitację ostatniego rozbioru z 1795 r. czy tzw. linię Curzona, postanowiono, że obie strony traktują tę granicę „jako ostateczną i odeprą wszelką ingerencję mocarstw trzecich w tej sprawie”. Ponadto w protokole poufnym postanowiono: „Obydwie

dawały się na emigracji we Francji, a później w Wielkiej Brytanii. Władze te były uznawane przez wszystkie państwa nienależące do Osi, w tym przez Związek Radziecki po 22 czerwca 1941 r. Z drugiej strony władze państwowe na emigracji mogły być depozytariuszem suwerenności w sensie czysto prawnym, ale nie mogły realizować – ze względu na

okupację Polski – zwierzchnictwa terytorialnego.

Warto nadmienić, że nasi zachodni sojusznicy uznawali jedynie dalsze istnienie państwa polskiego, ale już nie jego przedwrześniowe granice. Nasza integralność terytorialna była kwestionowana przez aliantów nie tylko na wschodzie państwa – tu wrócić zastrzeżenia Anglosasów z konferencji wersalskiej z 1919 r. Do podjęcia przez Francję w czerwcu 1940 r. decyzji o zawieszeniu broni w wojnie z Niemcami nie było nawet jasności co do utrzymania *status quo* w sprawie granicy z Niemcami. Wojna pogłębiała niekorzystny dla nas stan rzeczy; szczególnie uwidocznili się to, gdy Związek Radziecki znalazł się w obozie antyniemieckim.

Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej uczynił z Moskwy nie tylko alianta naszych aliantów, ale również poprawił nasze z nią stosunki. W trakcie toczących się wówczas negocjacji polsko-radzieckich ambasador Iwan Majski uparcie powtarzał, że chociaż umowy niemiecko-radzieckie z 1939 r. nie obowiązują, to powstała na ich gruncie linia graniczna nadal jest granicą ZSRR. Stanowisko to nie budziło sprzeciwu asystujących przy tych rozmowach Brytyjczyków. 30 lipca 1941 r. doszło do podpisania umowy między Polską a ZSRR, której kluczowy artykuł brzmiał: „Rząd ZSRR uznaje, że traktaty sowiecko-niemieckie z roku 1939 dotyczące zmian terytorialnych w Polsce straciły swą moc”. Jednocześnie jednak nie potwierdzono powrotu do granicznego *status quo* sprzed 17 września 1939 r.

Szczyt współpracy polsko-radzieckiej nastąpił w czasie wizyty premiera rządu RP gen. Władysława Sikorskiego w Moskwie, w decydującym momencie niemieckiego natarcia na to miasto. 4 grudnia 1941 r. Józef Stalin podjął polskiego przywódcę w salach Kremla uroczystym bankietem. Generalissimus powiedział wtedy: „Powinniśmy ustalić nasze wspólne granice sami i wcześniej, przed konferencją pokojową, gdy tylko wojsko polskie ruszy do boju”. Na co usłyszał od Sikorskiego: „Granice roku 1939 nie mogą być kwestionowane. Pan premier pozwoli, że wrócę jeszcze do tej kwestii”. Później polski przywódca wspominał, że już po bankiecie Stalin wrócił do problemu granic i stwierdził, że chodzi o niewielkie zmiany,

o *czuť-czuť*. Nalegał, aby rzecz przedyskutować natychmiast. Ale i tym razem został odprawiony z kwitkiem. Na koniec wizyty podpisano deklarację rządu RP i rządu ZSRR o wspólnej walce z Niemcami. Nie był to formalny traktat polityczny ani tym bardziej wojskowy, mimo wszystko jednak był to dowód, że możliwa jest współpraca polsko-sowiecka, i to bez zbędnych pośredników.

TAJNE POROZUMIENIE

Sikorski nie skorzystał z propozycji Stalina i nie podjął negocjacji na temat przebiegu granicy polsko-radzieckiej. A warto zaznaczyć, że po 17 września 1939 r. był to jedyny moment, kiedy Moskwa w ogóle była gotowa odstąpić od linii granicznej określonej w traktatach z Niemcami z 1939 r. Propozycja generalissimusa



padła w momencie, gdy na Kremlu słyszał huk dział bijących pod Moskwą. Rodziło to iluzję, że po spodziewanej klęsce ZSRR, a później Niemiec, ponownie wytworzy się w tej części Europy geopolityczna próżnia, jak w roku 1918, lecz tak się nie stało.

Po ogłoszeniu przez Niemców 13 kwietnia 1943 r. odkrycia masowych grobów polskich oficerów w Katyniu i oskarżeniu o tę zbrodnię Moskwy rząd Sikorskiego zwrócił się o wyjaśnienie tej sprawy do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, po czym ZSRR zerwał z Polską stosunki dyplomatyczne. Sprawa polska ponownie zaczęła pikować.

Sukcesy militarne Armii Czerwonej zwiększyły znaczenie i prestiż Moskwy, a po zwycięstwie pod Stalingradem w lutym 1943 r. i bitwie na łuku kurskim o przyszłości Polski – w sensie zarówno politycznym, jak i terytorialnym – miały zadecydować dwa mocarstwa anglosaskie i Związek Radziecki. Francja bowiem nie miała głosu. Sami Polacy zaś nie tylko nie mieli siły militarnej, ale również, nie mogąc ułożyć stosunków z Moskwą, zdani byli na pośrednictwo Londynu i Waszyngtonu. Przyszłość Polski stała się funkcją stosunków brytyjsko-amerykańsko-radzieckich.



Konferencja w Teheranie (od 28 listopada do 1 grudnia 1943 r.) była punktem zwrotnym w polityce trzech mocarstw wobec Polski. Stworzyła bowiem tajne porozumienie ich szefów co do jej nowych granic. Winston Churchill w rozmowie z Józefem Stalinem oświadczył, że „nic nie jest ważniejsze od bezpieczeństwa zachodniej granicy rosyjskiej”, a Polska powinna się „przesunąć na zachód, jak żołnierze przesuwający się o dwa kroki w lewo”. Zgodził się z tym stanowiskiem Franklin D. Roosevelt, ale ze względu na zbliżające się wybory prezydenckie w USA nie chciał o tym głośno mówić.

W rezultacie panował konsensus, że wschodnia granica Polski ma przebiegać w przybliżeniu wzdłuż rozgraniczenia z 1795 r., a ostatnio radziecko-niemieckiej linii granicznej. Przedmiot sporu stanowiła jedynie przynależność Lwowa i okolic. Mniej jasna była sytuacja, jeśli chodzi o gra-

► nicę zachodnią. Zgodzono się, że Polska ma być przesunięta na zachód do linii Odry i uzyskać część Prus Wschodnich. Ale mocarstwa spierały się o kształt nowej granicy polsko-niemieckiej. Anglosasi chcieli, aby polskie nabytki kosztem Niemiec były możliwie małe. A jakie stanowisko zajmował Związek Radziecki?

11 stycznia 1944 r. ambasador Iwan Majski przedstawił Wiaczesławowi Mołotowowi, ówczesnemu ministrowi spraw zagranicznych ZSRR, dość obszerne memorandum „O pożądanym podłożu przyszłego pokoju”. Na temat Polski stwierdza się w nim: „Celem ZSRR powinno być utworzenie niepodległej i zdolnej do życia Polski, jednakże nie jesteśmy zainteresowani w powstaniu jej jako zbyt dużej i zbyt silnej. (...) Wschodnia granica Polski powinna być wytyczona zgodnie z granicą z 1914 r., (...) przy czym Lwów i Wilno w każdym wypadku powinny pozostać w granicach ZSRR. Na zachodzie można przyłączyć do Polski całe Prusy Wschodnie lub, co byłoby lepszym rozwiązaniem, ich część, oraz pewne części Śląska, lecz w połączeniu z wysiedleniem stamtąd Niemców”.

W świetle memorandum Majskiego Polska na zachodzie i północy uzyskałaby pewien przyrost terytorialny kosztem Niemiec, niewiele jednak wykraczający poza granicę przedwrześniową. Trudno byłoby to uznać za dostateczną rekompensatę za tereny utracone na rzecz ZSRR. W efekcie nowa Polska rzeczywiście nie byłaby „zbyt duża i zbyt silna”, będąc trochę większa niż Księstwo Warszawskie po zwycięstwie w wojnie z Austrią w 1809 r.

IX ROZDZIAŁ

Następny krok w rekonstrukcji powojennej Polski został dokonany w trakcie konferencji jałtańskiej 4-11 lutego 1945 r. W sprawie granicy wschodniej ustalono ostatecznie, że Lwów pozostanie po stronie radzieckiej. Jeśli chodzi o granicę zachodnią, Stalin energicznie bronił linii Odry-Nysy Łużyckiej, widząc w nabytkach Polski na zachodzie rekompensatę za to, co utraciła na wschodzie. Z pewnością pogląd generalissimusa nie wynikał z jakichś propolskich sentymentów. Sądził on zapewne, że w ten sposób Polska – jakakolwiek by była – pozosta-



Brytyjska mapa wariantów wschodniej granicy Polski, które zaprezentował Winston Churchill na konferencji teherańskiej.

nie na zawsze uzależniona od wschodniego mocarstwa, bo tylko ono mogło powstrzymać niemiecką chęć rewanżu. „Nie mam zamiaru udusić polskiej gęsi, zanim padnie od niemieckiej niestrawności”, odpowiadał chichotliwie Churchill przywódcy Kraju Rad. Okazało się, że i on gruntownie się pomylił. Ale stało się to widoczne dopiero w dłuższej perspektywie.

W komunikacie końcowym czytamy: „Trzej szefowie rządów uważają, że wschodnia granica Polski powinna przebiegać wzdłuż linii Curzona, odchylając się od niej w niektórych rejonach 5 do 8 km na korzyść Polski. Uznają, że Polska musi otrzymać pokaźne nabytki terytorialne na północy i zachodzie. Sądzą, że w stosownym czasie należy zasięgnąć opinii nowego Polskiego Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej co do rozległości tych nabytków, a zatem, że ostatecznie wytyczenie zachodniej granicy Polski powinno zacząć do Konferencji Pokojowej”.

Przebieg polskiej granicy zachodniej został ostatecznie ustalo-

ny w Poczdamie (17 lipca-2 sierpnia 1945 r.), już po bezwarunkowej kapitulacji Niemiec, zgodnie zresztą z postulatami Józefa Stalina z Jałty. Była to jedyna z trzech konferencji przywódców koalicji antyniemieckiej, w której wzięli udział przedstawiciele Polski. Na czele naszej delegacji stał prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut, któremu towarzyszyło m.in. dwóch wicepremierów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, Władysław Gomułka z PPR i Stanisław Mikołajczyk z PSL, jedyne uznawane przez zwycięskie mocarstwa rządu Polski.

W rozdziale IX umowy zawartej 2 sierpnia 1945 r. w Poczdamie wytyczano linię, która dziś odpowiada granicy polsko-niemieckiej, z tym że wtedy nie było jeszcze jasne, czy Szczecin będzie należał do Polski. Wprawdzie zaznaczono, że „z ostateczną delimitacją zachodniej granicy Polski należy zacząć do konferencji pokojowej”, ale fakt, że trzy mocarstwa postanowiły jednocześnie o wy-

siedleniu Niemców z terytoriów przekazanych Polsce, świadczył o tym, że nie przewidywano żadnej rewizji zmian terytorialnych.

Nowa wschodnia granica Polski została określona w umowie zawartej 26 lipca 1944 r. między PKWN a władzami radzieckiej Ukrainy, Litwy i Białorusi. W przybliżeniu odpowiadała ona linii granicznej między Niemcami a ZSRR po klęsce Polski we wrześniu 1939 r. Towarzyszyła temu decyzja o repatriacji ludności polskiej pozostającej poza nowym kordonem granicznym. W ten sposób kończyła się kilku-

cy nie zgodzili się jedynie na zainstalowanie w Polsce systemu radzieckiego, co zresztą nastąpiło nie od razu, ale na przełomie lat 40. i 50. XX w. Wtedy też doszło do drastycznego ograniczenia niepodległości Polski na rzecz Moskwy, co trwało do października 1956 r. Wcześniej Stalin nie dotrzymał zobowiązania w sprawie przeprowadzenia wolnych wyborów, które podjął w trakcie konferencji jałtańskiej.

Polityka radziecka z konferencji w Teheranie, Jałcie i Poczdamie wyrażnie nawiązuje do celów Rosji z okresu I wojny światowej. Mikołaj II mówił za-

go Rusi Halickiej ze Lwowem (w wyniku wojen toczonych od 1340 r. do 1366 r.), a następnie przyłączenie do Królestwa Polskiego w 1569 r. Podlaskia, Wołyń i Kijowszczyznę to definitywnie zamknięty rozdział. Ostatecznie Rosja, a nie Litwa bądź państwo polsko-litewskie, stała się hegemonem europejskiego Wschodu. Polska na ekspansji w kierunku południowo-wschodnim niczego nie zyskała, nie mogąc na trwałe zapewnić tam swego panowania. A można było te siły wykorzystać inaczej, umacniając obecność nad Bałtykiem czy prowadząc politykę rewindykacji terytorialnych nad Odrą i w efekcie uniemożliwiając zajęcie mocarstwowego stanowiska przez Brandenburgię/Prusy.

Postanowienia konferencji w Teheranie, Jałcie i Poczdamie wynikają z faktu, że tym razem Rosja wojny nie przegrała, co zakładał gen. Władysław Sikorski, odmawiając rozmowy z Stalinem na temat korekty granicy polsko-radzieckiej. W gruncie rzeczy to dobrze, bo w latach 90. zeszłego wieku Polska uniknęła losu byłej Jugosławii, gdzie w trakcie tworzenia państw narodowych wszyscy nawzajem się mordowali. My mieliśmy to już poza sobą, z ludobójstwem wołyńskim na czele.

W perspektywie długiego trwania, a za takie w jakimś stopniu można uznać 100 lat od odzyskania niepodległości, w tym prawie trzy ćwierci wieku w sytuacji istotnej korekty terytorialnej wraz z przesiedleniami lud-

Sikorski nie skorzystał z propozycji Stalina i nie podjął negocjacji na temat przebiegu granicy polsko-radzieckiej.

wiekowa obecność Polski na terenach zaniemeńskich i zabużańskich. Ale 16 sierpnia 1945 r. na Kremlu podpisano jeszcze jedną umowę w sprawie granic, która jednak nie zmieniła ustalonej już linii granicznej. Co bardzo charakterystyczne, strony odwołały się tu nie do traktatu z poprzedniego roku, ale do postanowień konferencji jałtańskiej, co miało podkreślić zaangażowanie mocarstw anglosaskich w ustanowienie wschodniej granicy powojennej Polski.

Państwo polskie w wyniku zwycięstwa nad Niemcami w II wojnie światowej zostało przesunięte na zachód, nabierając jednonarodowego charakteru, co ostatecznie sprawiło, że nowa Polska nie była kolejnym, ułomnym wcieleniem szlacheckiej Rzeczypospolitej. Mocarstwa anglosaskie i Związek Radziecki porozumiały się również co do tego, że będzie ona bytem w pełni suwerennym w sensie prawnym, ale pozostającym w sowieckiej strefie wpływów. Było to jasne już od konferencji moskiewskiej (przełom października i listopada 1943 r.), gdy Anglosasi uznali dominującą rolę Moskwy we wszystkich tych krajach, które miała zdobyć Armia Czerwona. W rewanżu ZSRR uznał tę samą zasadę co do zdobyczy armii anglosaskich w Europie Zachodniej. W przyszłości będzie to oznaczać przegraną partii komunistycznych we Francji, Włoszech i Grecji; w tym ostatnim przypadku walka o władzę miała charakter zbrojny.

Nowe państwo polskie od początku pozostawało w dyplomatyczno-militarnej strefie wpływów Związku Radzieckiego. Amerykanie i Brytyjczy-

raz po wybuchu wojny ambasadorowi Francji: „W Prusach Wschodnich Niemcy będą musiały zgodzić się na skorygowanie granicy. (...) Poznańskie i być może część Śląska będą nieodzowne do rekonstrukcji Polski”; o Pomorzu i Gdańsku nie było ani słowa. Jedynie nieco więcej proponowano w memorandum Majskiego z początku 1944 r. Stalin znacznie pogłębił ten program terytorialny, acz i tu były widoczne pewne przedrewolucyjne zaszłości. Tuż po wybuchu I wojny światowej minister spraw zagranicznych Sergiusz Sazonow proponował, aby dalekiemu przesunięciu Polski na zachód towarzyszyło jeszcze większe okrojenie jej terytorium na wschodzie, niż wynikało to z układu granic po III rozbiorze. Być

Churchill w rozmowie ze Stalinem oświadczył, że „nic nie jest ważniejsze od bezpieczeństwa zachodniej granicy rosyjskiej”.

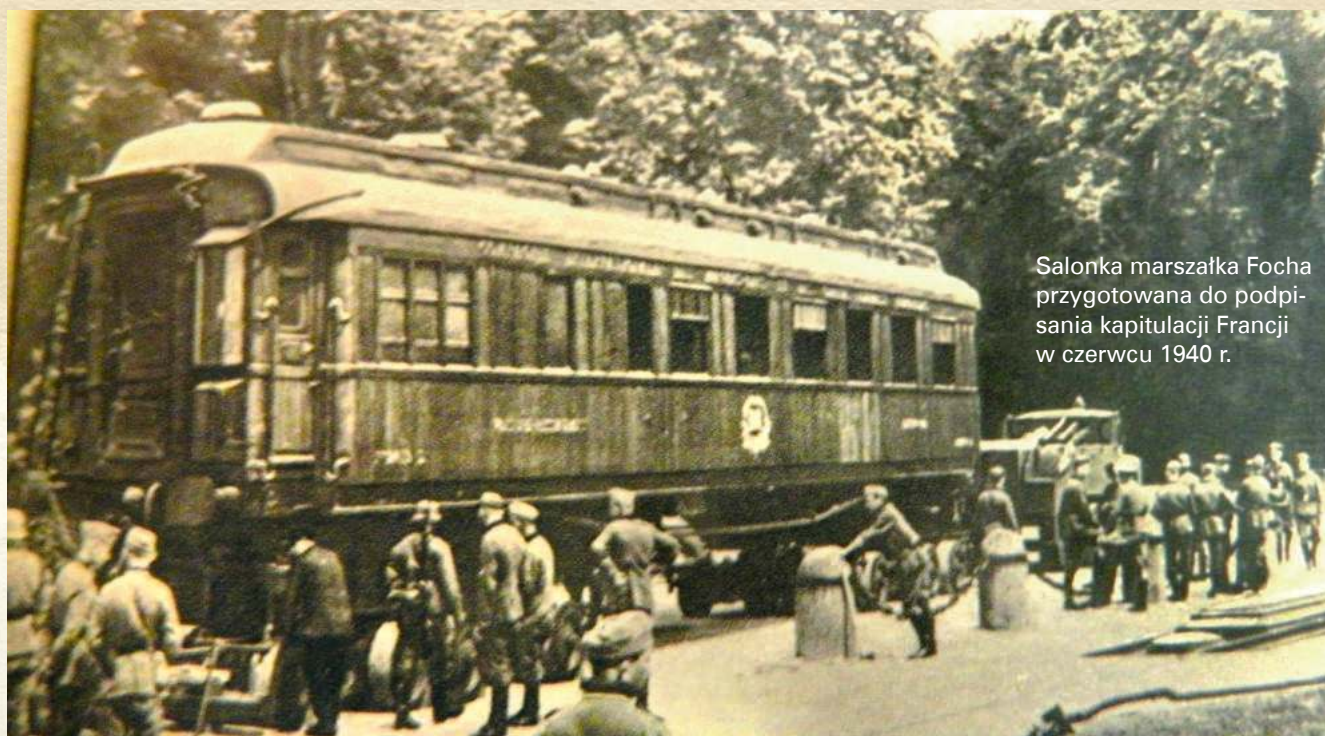
może doszłoby do realizacji tych zamierzeń, gdyby w 1918 r. Rosja okazała się państwem zwycięskim albo przynajmniej utrzymała się w zwycięskiej koalicji antyniemieckiej. W 1945 r. tak się jednak stało, choć następcą Cesarstwa Rosyjskiego był kierowany przez Stalina Związek Radziecki.

HEGEMON WSCHODU

Z perspektywy 100. rocznicy odzyskania niepodległości możemy stwierdzić, że Polska wykorzystwała szansę, jaką mimowolnie stworzył nam Stalin. Stała się nareszcie dużym państwem europejskim, dla którego epoka otwarcia zaborem przez Kazimierza Wielkie-

ności, należy powiedzieć, że decyzje z lat 1943-1945 – wbrew intencjom ich autorów – stworzyły fundamenty historycznego sukcesu Polski, którego obecnie doświadczamy. Wiem, że przynajmniej dla części z nas to *horribile dictu*, ale należy wyrażnie bronić takiego stanowiska. Nie miejmy bowiem złudzeń: geopolityczna pustka na europejskim Wschodzie, spowodowana najazdem Mongołów na Ruś na początku XIII w., nie wróci. Ta czaszka już nigdy się nie uśmiechnie.

Dr. hab. Lech Mażewski jest historykiem prawa polskiego i politologiem, profesorem Wyższej Szkoły Administracji i Biznesu im. E. Kwiatkowskiego w Gdyni



Salonka marszałka Focha przygotowana do podpisania kapitulacji Francji w czerwcu 1940 r.

SALONKA DWÓCH KAPITULACJI

11 listopada 1918 r. w lasku Compiègne podpisano rozejm kończący I wojnę światową, 22 lata później kapitulowali w nim Francuzi

Eugeniusz Guz

Wojennych kapitulacji historia odnotowała bez liku. Dwie jednak warto przypomnieć, bo odbyły się w wyjątkowych okolicznościach. Przedstawiciele dwóch wrogich państw spotkali się dwukrotnie, w 1918 i 1940 r., w tym samym kraju, w tej samej miejscowości i w tym samym pomieszczeniu, by ogłosić koniec wojennego starcia. Chodzi o laszek Compiègne, położony 80 km na południe od Paryża.

DELEGACJA UPCHNIĘTA JAK ŚLEDZIE W BECZCE

Zwycięska w I wojnie światowej Francja wyznaczyła pokonanym Niemcom jako miejsce podpisania rozejmu kończącego I wojnę światową właśnie laszek Compiègne. Miała tego dokonać rządowa delegacja, w której nawet wojskowi byli po cywilnemu – zamienili mundur na garnitur, by

zaakcentować, że to nie armia jest winna przegranej, bo ugodzono ją nożem w plecy. Niemców wezwano do przybycia na tyły frontu francuskiego, gdzie dopiero co zakończyły się walki. Na czele delegacji niemieckiej stał Matthias Erzberger, przewodniczący lewicowego skrzydła Partii Centrum, posłujący w Reichstagu od 1903 r. Już w 1917 r. domagał się on negocjacji mających zakończyć wojnę. Zapłacił za to najwyższą cenę – w sierpniu 1921 r. zastrzelili go członkowie organizacji nacjonalistycznej.

Pozostali członkowie delegacji to Alfred von Oberndorff, generał major Detlof von Winterfeld i kapitan marynarki Ernst Vanselow.

Delegacja wyruszyła z Berlina pociągami 6 listopada 1918 r., by zdążyć na wyznaczoną przez Francuzów datę 7 listopada. Po przybyciu do Spa, uzdrowiskowej miejscowości na pograniczu niemiecko-belgijskim, gdzie wówczas mieścił się główny sztab armii niemieckiej, zatrzymano się w hotelu Britannique, pompa-

tycznej budowli o 200 pokojach. Biegiem spraw kierował tam szef sztabu generalnego feldmarszałek Paul von Hindenburg. Sąsiedni pałac zajmował cesarz Wilhelm II, który zwierzył się kiedyś otoczeniu, że najbardziej odprężony czuje się przy rąbaniu drzewa. Abdykując po rewolucji listopadowej w Niemczech, schronił się w Holandii. Traktat wersalski przewidywał postawienie go przed sądem za sprzeniewierzenie się zwyczajom wojennym. Wyrok nie został jednak wykonany, ponieważ rząd holenderski nie zgodził się na ekstradycję.

W Spa delegacja jeszcze tego dnia wieczorem wsiadła do trzech samochodów wojskowych. Przy każdym umocowano białą flagę, wykonaną z obrusów hotelowych. Podróż przypominała odyseję. Aby dotrzeć do granicy belgijsko-francuskiej, należało pokonać setki kilometrów, i to w terenie, na którym dopiero co zakończyły się walki. Saperzy ledwo nadążali ze sprawdzaniem, czy szosa jest oczyszczona z min bądź innych przeszkód.

Już start kolumny samochodowej był pechowy, bo dwa pierwsze pojazdy uległy wypadkowi. Ułtymatywny termin rozpoczęcia rozmów kapitulacyjnych nie pozwalał czekać na samochody zastępcze. Trójka wysłanników z niemałymi bagażami musiała teraz się zmieścić w jednym aucie. Widok delegacji rządowej upchanej jak śleddie w jednym samochodzie musiał być karykaturalny.

W dodatku Matthias Erzberger stracił w karambolu binokle, co bardzo niekorzystnie wpłynęło na jego stan psychiczny. Był bowiem krótkowidzem, i to w stopniu bardzo zaawansowanym. Poruszano się w dodatku nie tylko nocą, lecz także w gęstej mgle i siąpiącym deszczu. Po drodze mijano kolumny niemieckich jeńców, mierzące w przeciwnym kierunku.

CÓŻ PANÓW TUTAJ SPROWADZA?

Gdy delegacja dotarła do belgijsko-francuskiej miejscowości granicznej, otoczyli ją francuscy żołnierze, wołając przyjaźnie i z nadzieją: „Koniec wojny?”. Podróżni przesiedli się do samochodów francuskich. Każdy członek delegacji w oddzielnym wozie, w asyście francuskiego oficera. Po kolejnych godzinach nocnej podróży dotarli do miejscowości, z której znów rozpoczęto podróż pociągiem. Jednak już w najwyższym komforcie – w trzywagonowym pociągu znajdowała się salonka, oznakowana z zewnątrz inicjałami Napoleona III, który chętnie podróżował nią po kraju. Na peronie delegacji oddała jeszcze honory francuska kompania piechoty. Po powitalnym koniaku oraz kolacji ruszono w dalszą podróż, już do Compiègne.

Marszałek Ferdinand Foch (stopień marszałka otrzymał także od Wielkiej Brytanii i Polski), przewodniczący francuskiej delegacji rozejmowej, przybył do Compiègne nad ranem, wcześniej niż Niemcy, 10-wagonowym pociągiem. Jeden wagon zajmowała obsługa telefoniczno-radiowa, drugi mieścił agregat prądotwórczy. Poza salonką marszałek dysponował jeszcze wagonem sypialnym i jadalnią. W kolejnej salonce miały się toczyć rozmowy z Niemcami. Wagon ten od dłuższego czasu służył kolejom francuskim i dopiero w październiku 1918 r. wyłączono

go z obiegu i na łeb na szyję przebudowano jego wnętrze na potrzeby kapitulacyjnego spotkania. Salonka otrzymała numer 2419.

Pociąg z Niemcami również dotarł nad ranem do Compiègne i zatrzymał się na przeciwległym torze peronu, przy którym stał pociąg Focha. Wkrótce u Niemców zjawił się oficer, oznajmiając, że delegacja francuska oczekuje ich punktualnie o godz. 9. Delegacja niemiecka kroczyła ku salonce Focha przez szpaler żołnierzy. Marszałek, w towarzystwie pierwszego lorda brytyjskiej admiralicji Rosslyn Erskine’a Wemyssa, przyjął aktorską pozę, jakby zaskoczonego: „Cóż

W październiku 1918 r. salonkę wyłączono z normalnego użytku i na łeb na szyję przebudowano na potrzeby kapitulacyjnego spotkania.

panów tutaj sprowadza?”. Gdy usłyszał, że delegacja przybyła, by usłyszeć propozycje zawarcia rozejmu, odparł, że o „propozycjach” nie ma mowy. Niemcy poprawili się i odparli, że przybyli prosić o warunki rozejmu. Maxime Weygand, francuski generał, odczytał wówczas 34 drakońskie warunki zakończenia walk (Edmund Jan Osmańczyk w fundamentalnej „Encyklopedii spraw międzynarodowych i ONZ” pisze o 26 warunkach). Układ o zawieszeniu broni, podpisany w kapitulacyjnej salonce, przewidywał wycofanie wojsk niemieckich poza wschodnie granice Francji. Natomiast terytorium polskie trzech pruskich zaborów pozostawiał w ręku niemieckim. Mimo to salonka stała się wówczas również symbolem odzyskania przez Polskę niepodległości.

Foch zakończył informacją, że termin przyjęcia aktu kapitulacyjnego upływa 11 listopada o godz. 5 rano. Inaczej znów przemówią armaty. Następnie bez pożegnania, podobnie jak bez powitania, opuścił salonkę.

Pokonani, przybici poniżającymi warunkami zakończenia wojny Niemcy wystali pośpiesznie do Spa członka delegacji, by uzyskać placet marszałka Hindenburga i zdążyć na podpisanie rozejmu. Placet otrzyma-

li, lecz z poleceniem, by po złożeniu podpisu Erzberger zareagował „płomiennym protestem”, co ten uczynił, oświadczając patetycznie: „70-milionowy naród cierpi, ale nie umrze”. Foch zareagował na to krótko: *Tres bien* (Bardzo dobrze). Następnie opuścił salonkę bez pożegnania.

Zarówno w dokumencie kapitulacyjnym pokonanej armii podpisanym w Compiègne, jak i później, na konferencji wersalskiej, uznano Rzeszę Niemiecką za wyłącznego sprawcę wojny, z wszystkimi tego materialnymi skutkami.

HITLER W FOTELU FOCHA

Uznana za zabytek salonka początkowo służyła jeszcze kolei francuskiej. Później jednak znaleziono dla niej centralne miejsce w Paryżu. Gdy okazało się, że pilnie wymaga renowacji, a echa tego dotarły do USA, w 1927 r. Amerykanin Arthur Henry Fleming przekazał na ten cel tak duże środki, że wystarczyło na powrót salonki do Compiègne, w dodatku w muzealnej, dostępnej dla turystów oprawie.

Po zwycięstwie nad Francją w II wojnie światowej Hitler zdecydował, że akt bezwarunkowej kapitulacji Francuzi podpiszą 22 czerwca 1940 r. właśnie w tej salonce. Według niektórych szperaczy w historii, pomysł był autorstwa ministra propagandy Josepha Goebbelsa, a Hitler skwapliwie go zaakceptował. Francuskiego autora pierwszego pomysłu kapitulacji w salonce nie znamy. Führer usiadł na fotelu marszałka Focha, a na miejscu Erzbergera usadowiono marszałka Philippe’a Pétaina.

Po kapitulacyjnej ceremonii w Compiègne Niemcy ściągnęli salonkę do Berlina, prezentując ją publiczności przy Bramie Brandenburskiej jako symbol zwycięskiego Wehrmachtu. Gdy do Berlina zaczęła się zbliżać Armia Czerwona, wagon, traktowany niemal jak relikwia, przetransportowano w głąb Niemiec. Kiedy jednak od zachodu mieli nadejść Amerykanie, jednostka SS wysadziła go w powietrze. Francuzi nie dali jednak za wygraną. Po wojnie znaleźli taki sam model wagonu wyprodukowany w 1913 r. Zrekonstruowali wiernie jego kapitulacyjne wnętrze z 1918 r. i w 1950 r. ponownie ustawili salonkę w Compiègne. ■

Rozmawia Mateusz Demski

„Nina” ma długą historię, pierwszy szkic scenariusza powstał wiele lat temu.

– Dokładnie dziesięć. Ale zdaje się, że nie jesteśmy w tej kwestii odosobnieni. W Polsce z zasady długo robi się filmy. Jednak w przypadku „Niny” powinniśmy podzielić ten czas na dwa etapy. Scenariusz powstał rzeczywiście dekadę temu w ramach Studia Prób w Szkole Wajdy. Przez kilka lat była cisza – nie otrzymaliśmy dotacji, a samo składanie wniosków i czekanie na ich rozstrzygnięcie trwało. Skupiłam się na pracy przy serialach oraz w teatrze. Sześć lat temu coś się ruszyło. W międzyczasie jako współscenarzystka dołączyła Marta Konarzewska, od początku współpracował także ze mną producent Darek Pietrykowski, który jako jedyny miał odwagę w „Ninę” się zaangażować.

Mimo upływu dekady udało ci się zachować aktualność tematu. To historia, która ma miejsce właśnie tu i teraz.

– To prawda. Historia Niny jest na tyle uniwersalna, że będzie działała w każdym czasie. Nie chciałam robić filmu, w którym konkretny podtekst polityczny zastąpi emocje. Po drodze oczywiście pojawiły się pomysły, żeby wrzucić do scenariusza subtelne wstawki – nakreślić pewien kontekst, wkładając w usta bohaterów rozmowy wokół konkretnych nazwisk ze sceny politycznej. Ostatecznie zrezygnowaliśmy z tego. Po pierwsze, co roku trzeba by zmieniać dialogi ze względu na pojawianie się kolejnych afer i wydarzeń, które warto byłoby poruszyć. Po drugie, nie były nam one potrzebne. Chciałyśmy pokazać świat nie faktyczny, ale możliwy. Gdybyśmy się zdecydowały na odwzorowanie polskich realiów, powstałaby historia o cierpieniu i piętnie ciążyącym na środowisku mniejszości seksualnych. A chciałyśmy uzyskać odwrotny efekt – opowiedzieć o dylematach jednostek bez względu na kraj, w którym rozgrywa się akcja.

Dlaczego nie chciałaś połączyć kina z konkretną deklaracją polityczną? Czy nie miałaś wrażenia, że jako przedstawicielka mniejszości seksualnych idziesz na pewien kompromis?

KINO BEZ COMING OUTU

Normy nie zostały ustalone po to, żeby je łamać – nie tędy droga

– Etap aktywizmu mam już za sobą – nie muszę się powoływać na postulaty środowiska LGBTQ w kinie. Z drugiej strony „Nina” mimo naszych intencji i tak będzie odbierana przez pryzmat tematu mniejszości, więc nie ma sensu dokręcać śruby. Siłą naszego filmu jest to, że nie próbuje on zmieniać niczyjego zdania, nie walczy o prawa, ponieważ ukazuje świat, w którym tej walki nie trzeba już toczyć. Nie muszę przedstawiać się na ekranie jako „Olga Chajdas – zdeklarowana lesbijka”. Wiele osób ze środowiska będzie się identyfikowało z tym filmem, ale

OLGA CHAJDAS

– reżyserka i scenarzystka filmu „Nina”, który otrzymał nagrodę Złotego Pazura w konkursie Inne Spojrzenie 43. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni



zrobiłam go z myślą o szerszej publiczności.

Zachód jest dawno po coming outcie, ale my ciągle przed.

– Faktycznie, to niewiarygodne. Trudno w kontekście polskiego kina mówić o tzw. nurcie lesbijskim. Poza pojedynczymi wątkami nieheteronormatywnych postaci, których ze świecą szukać, nie wykształciła się w Polsce taka reprezentacja. Brakuje scenariuszy, twórców, a przede wszystkim producentów, którzy chcieliby takie filmy robić.

„Nina” to opowieść nie tyle o mniejszościach, ile o próbie

oderwania się od norm społeczeństwa, którą podejmuje kobieta heteroseksualna.

– To właśnie jeden z elementów wychodzenia poza ramy tzw. kina lesbijskiego. Tytułowa bohaterka balansuje na skraju. Od lat żyje w wygodnym związku z mężczyzną, do czasu kiedy spotyka dziewczynę, w której niespodziewanie się zakochuje. Tyle że nie zależy jej na odkrywaniu swojej orientacji seksualnej. Nie o to chodzi. Mówimy raczej o ucieczce przed gotowymi schematami, w które każdy z nas jest wrzucany. Zwróć uwagę, że rozmawiamy nie o nastolatce, ale o kobiecie dojrzałej, która czuje potrzebę świadomej zmiany. Nawet nie ucieczki przed mężczyzną, po prostu wypracowania nowych pojęć – odnalezienia się w tym, co powszechnie uznawane jest za szczęście. I okazuje się, że można to zrobić. To kwestia wewnętrznej odwagi. A przede wszystkim samoświadomości.

lizacji w chaotycznej rzeczywistości, dlatego wszystko, co wychodzi poza znajomy krąg, wzbudza w nas niepokój. Podobne emocje towarzyszą bohaterom, którzy od lat bezskutecznie starają się o dziecko. W pewnym momencie ten proces wymyka się naszej bohaterce z rąk – sama nie pamięta, czy stara się o nie, bo naprawdę tego chce, czy dlatego, że musi sprostać oczekiwaniom najbliższych.

Rozumiem, że zatrudnienie surrogatki jest dla bohaterów ostatnią deską ratunku – dla ich pogruchotanego małżeństwa, a zarazem relacji z resztą rodziny.

– Dokładnie tak. Dziecko jest reprezentacją potrzeb i określenia sytuacji, w której znalazła się Nina ze swoim mężem. Kiedy pracowałyśmy nad scenariuszem, sięgnęłyśmy po badania, według których cięża pojawia się często jako odpowiedź na kryzys małżeński. Okazuje się kołem ratunkowym na etapie decyzji o rozstaniu. Tyle że nasz film nie jest manifestem,



NINA

Olga Chajdas – studiowała w PWSFTviT oraz w Mistrzowskiej Szkole Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy. Współpracowała z Kasią Adamik przy „Boisku bezdomnych” oraz z Agnieszką Holland przy „W ciemności” i „Janosiku. Prawdziwej historii”. Jej krótki metraż „3xLOVE” został nagrodzony na festiwalu w Los Angeles.

„Zakochałam się w osobie, a nie kobiecie”, mówi tytułowa bohaterka, co nadal wydaje się aktem wielkiej odwagi. Dziwi cię, jak silny jest wciąż ten strach w społeczeństwie?

– Nie da się ukryć, że jako społeczeństwo powołaliśmy do życia świat norm. Gatunek ludzki ma to do siebie, że musi budować ściśle określone kategorie. Dotyczy to wszystkiego. Zaczyna się od rozróżnienia chłopiec-dziewczynka. Potem zły student i dobry student. Na koniec lesbijka i osoba heteroseksualna. Normatywizowanie świata daje poczucie stabi-

który namawiałby kobiety do zaprzestania porodów. Nie chodzi o to, że normy zostały ustalone po to, żeby je łamać – nie tędy droga. Musimy po prostu zrozumieć, że samosatisfakcja każdego z nas leży w różnych miejscach. Często zapominamy o tym, żeby najzwyczajniej rozmawiać z drugim człowiekiem i zadawać sobie pytanie, czy jesteśmy ze sobą szczęśliwi. „Nina” miała być nośnikiem potrzeby właśnie takich zmian.

Zmian, które przychodzą z wielkim trudem. Przypomina mi się scena, w której Wojtek pyta Ninę, czy

► **opowie o swojej dziewczynie w pracy, a później zaprosi ją do rodziców.**

– To jedyny moment w filmie, w którym osadzamy naszą historię w konkretnych realiach – określonym społeczeństwie. Nina robi tak poważny krok, że musi stanąć przed dylematem, czy naprawdę chce ujawniać go światu. Zwróć uwagę: nie przyznaje się tylko do tego, że ma romans, ale do związku z kobietą, co może nadal uchodzić za pewne wynaturzenie. **Pamiętasz moment, kiedy sama stałaś przed takim dylematem?**

– Muszę cię zmartwić, ale jestem fatalnym, wręcz niemedialnym przykładem lesbijki. Nigdy nie spotkałam się z lękiem, który może towarzyszyć ujawnieniu się najbliższemu. W pewnym sensie moi rodzice sami mnie uświadomili, a kiedy powiedziałam na głos o mojej orientacji, byli na to przygotowani. Nie było problemu – nigdy nie napotkałam przejawów nietolerancji czy ostracyzmu, nie mam za sobą dramatycznej historii o tym, jak ciężko może być takiej rodzinie. „Nina” została zadedykowana mojej zmarłej cioci, głęboko wierzącej katoliczce – jak mogłoby się wydawać, ostatniej osobie, która byłaby w stanie mnie zaakceptować. A ona zawsze powtarzała, że nie stanowi to dla niej żadnej różnicy. Podobnie jest z moją siostrą, której córki mówią do mojej partnerki Kasi ciociu. To dlatego nie czułam potrzeby zrobienia filmu comingoutowego.

Związek z Kasią Adamik jest potwierdzeniem, że nie musiałaś przechodzić przez rodzinne piekło. Nigdy nie pomyślałaś, że mogłybyście podpisać się pod tym filmem razem?

– Oczywiście jesteśmy w tym zawsze razem, ale „Nina” była moim autonomicznym projektem. Natomiast Kasia, chcąc być jego częścią, zajęła się montażem – jest w tym po prostu świetna. Wcześniej montowała moje krótkie metraże, nasze odcinki serialu „Głęboka woda”, a także pracowała przy filmach Agnieszki Holland. Ma intuicję, a zarazem świetne wyczuwanie aktorów. Cieszysz mnie więc, że obie robimy to, co kochamy. Trudno oddzielić pracę od czasu wolnego, rzadko rozmawiamy o czymś innym niż o kinie, ale właśnie tym żyjemy. To olbrzymia wartość, kiedy masz obok siebie osobę, z którą możesz tym się dzielić i która zawsze cię rozumie.

Mateusz Demski

GLOGERY 2018



Laureaci i członkowie kapituły.

Nz. od lewej: Ludwik Malinowski, Katarzyna Kłoczko-Arent, Natalia Jankowska, Zofia Kaczor-Jędrzycka, Małgorzata Frąckiewicz, Zdzisław Jerzy Adamczyk, Ewa Lewandowska-Tarasiuk, Bożena i Wojciech Prus-Wiśniowscy, Lech Giemza.

Wręczono nagrody XXIX edycji Konkursu o Nagrodę i Medal Zygmunta Glogera. Kapituła w składzie prof. Andrzej Friszke (przewodniczący), prof. Dariusz Rott, prof. Adam Dobroński, prof. Ludwik Malinowski – prezes Stowarzyszenia Prasoznawczego „Stopka”, dr Włodzimierz Karol Pessel, Katarzyna Kłoczko-Arent, red. Jerzy Domański i sekretarz Natalia Jankowska uhonorowała następujące osoby i instytucje.

NAGRODA I STOPNIA:

Fundacja Polskich Uniwersytetów Ludowych w Warszawie – za propagowanie i realizowanie nowoczesnej edukacji upowszechniającej różnorodne formy kultury regionalnej.

NAGRODA II STOPNIA:

prof. Zdzisław Jerzy Adamczyk z Kielc – za badanie życia i twórczości oraz popularyzowanie wiedzy o Stefanie Żeromskim.

NAGRODA III STOPNIA:

prof. Hanna Markiewicz z Warszawy – za upowszechnianie wiedzy o Polskiej Macierzy Szkolnej na Kresach Wschodnich i troskę o obecny stan edukacji polskiej na Litwie.

WYRÓŻNIENIA:

dr Małgorzata Krystyna Frąckiewicz z Łomży – za działalność badawczo-

-organizacyjną w zakresie badań języka regionu tomżyńskiego;

Bożena i Wojciech Prus-Wiśniowscy z Góry Kalwarii – za założenie i prowadzenie Muzeum Regionalnego w Górze Kalwarii;

Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie – za starania o zachowanie polskiej tożsamości narodowej i aktywności naukowej w Wielkiej Brytanii.

WYRÓŻNIENIA HONOROWE:

Muzeum Niepodległości w Warszawie – za bogatą działalność muzealną i wydawniczą;

dr hab. Lech Giemza – za zainicjowanie i koordynowanie ogólnopolskiego projektu „Książka z plecaka”.

Nagroda im. Zygmunta Glogera przyznawana jest co roku za szczególne zasługi w badaniu, ochronie i rozwoju kultury polskiej. Honoruje się nią badaczy, animatorów kultury tradycyjnej, którzy wzorem Zygmunta Glogera gromadzą dla przyszłych pokoleń, chronią i przekazują wiedzę o kulturze regionu. Konkurs zainicjowało i od lat organizuje Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka” im. Stanisława Zagórskiego w Łomży.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

KRAJOBRAZ PO BITWIE

Luksusowa podróż pociągiem z powieścią Virginii Woolf i z dziennikami Jarosława Iwaszkiewicza. Czytam je po raz drugi. Kiedyś nie znośiłem tego wybitnego pisarza za jego konformizm, był urodzonym dworakiem, ale te szczere, przejmujące i głębokie zapiski przekonały mnie do niego. Znikły dawne emocje, teraz są nowe, rozpięte na innych przewodach wysokiego napięcia. Siedzę obok nieznanym ładnej dziewczyny. Zawsze fascynuje mnie zagadka czająca się w człowieku, który milczy obok. Czyta „Wysokie Obcasy”, więc pewnie pokrewna mi duchowo, żegnając się, spojrzała na mnie i w mgnieniu oka poznałem, że mnie poznała. Chciała coś powiedzieć, nic nie powiedziała.

To już więcej niż 30. raz jadę do Bielska-Białej, jako juror konkursu literackiego dla dzieci i młodzieży Lipa. Zawsze w październiku. I zawsze ten sam hotel. Zmieniał się jego wygląd na lepsze i zmienia się moja twarz w lustrze windy, nie na lepsze. Kolejne zmiany są jak warstwy cebuli, im bliżej środka, tym jest brzydziej – i jak tu nie mieć łez w oczach? Konkurs organizuje od początku Rena Edelman, która kieruje klubem Best. Lipa odbyła się już 36 razy, nagrodzono więc w sumie niemal 4 tys. dzieci, w wieku od 7 do 18 lat, zawsze cała setka dostaje nagrody za poezję i prozę. Ileż emocji, radości, jaka dawka wrażliwości, czasami na całe życie. Podoba mi się, że tyle dzieci dostaje równorzędne nagrody. To nie jest sport. To na pewno najdłużej żyjący konkurs w Polsce, a wszystko dzięki energii i zapałowi jednej osoby. Nagrodzone prace drukowane są co roku w książce, która powstaje z tych utworów. Rena nie ukrywa swoich poglądów, więc się boi, że jeśli PiS wygra wybory samorządowe w mieście, obetną jej dotację na ten konkurs. Powinien dotyczyć „żołnierzy wyklętych” lub miłości do Polski.

Prezes nigdy nie przegrywa, a nawet jak przegrywa, to wygrywa.

W naszym lokalu wyborczym było tłoczno. Ta kolejka budziła nadzieje na dobry wynik Trzaskowskiego. Pamiętam świetnie Rafała, jak w roku 1980 grał w serialu dla dzieci, do którego napisałem scenariusz, miał wtedy siedem lat. Kiedy spotkałem go niedawno, powiedziałem mu, że niewiele się zmienił, bez trudu mogę w nim odnaleźć dawnego chłopca. Ważny był dla niego ten epizod filmowy. Więc kto wie, może bez mojego scenariusza i filmu nie byłby teraz prezydentem Warszawy? Każdy z nas

ma jakiś wpływ na losy świata. Rola przypadku w życiu, milionów zbiegów okoliczności – od tego aż kręci się w głowie.

Jak ktoś napisał, „PiS odniósł sromotne zwycięstwo”. Ale prezes w swoim krótkim wystąpieniu głosił triumf. Ten człowiek nigdy nie przegrywa, a nawet jak przegrywa, to wygrywa. Tak ma. I zawsze mu przeszkadza perfidny wróg: „Jeśli coś poszło nie tak, to wina wiadomo czyja”. Mówił, że chciałby, aby kolejne wybory w Polsce „przebiegały w lepszej atmosferze (...)”. Aby tego, co się nazywa fake newsem, było dużo mniej”. Można tak odczytać te słowa: to media są winne wyniku PiS poniżej oczekiwań. Dobra atmosfera jest w TVP. Trzeba więc będzie przejąć media niezależne. Bez pełnej kontroli nad nimi PiS nie przejmie pełni władzy. Ale właśnie próba przejęcia mediów będzie dla pisowców gwoździem do trumny. Mają teraz dwie drogi – podkreślić jeszcze propagandę, więc kłamać i manipulować albo odpuścić i przebrać się za baranka. Moja intuicja mówi, że ta owcza taktyka byłaby dla

nich korzystniejsza, ale wybiorą pewnie pierwszą, bo ciągnie wilka do lasu. Są różne rodzaje kłamstwa: naiwne, odruchowe, przerażone, kłamstwo PiS jest przebiegłe i podłe. Przygniata-

jące zwycięstwo antypisowskich kandydatów w dużych miastach to potężny zastrzyk nadziei i mobilizacji dla tych, którzy uważają, że PiS to najazd barbarzyńców na Polskę. Inni mówią, że to złośliwy rak. Wraca wiara, że chociaż Polska jest chora, nie jest to śmiertelna choroba. Już nie czujemy się bezsilni. Widać też, że sfałszować wybory jednak trudno, to prawie niemożliwe, więc warto głosować. Kolejny wniosek: podział Polski na dwa plemiona jest trwały, na pokolenia, już wiem, że nawet jeśli będę długo żył, to umrę w kraju, w którym PiS będzie stałym elementem krajobrazu. Mało estetyczna wizja.

Na prowincji prawica wygrała głosami rolników. Nie mam wątpliwości, że to pogrobowa zemsta ludu na panach za wielowiekowe upokorzenia. Elity, klasa średnia to dla chłopca pany. I nie szkodzi, że chłop ma teraz często dostatek niż one, złość i poczucie krzywdy są zakodowane w ludowej podświadomości.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

WIDOK Z MOSTU ALBO OBCY W KURNIKU

Nietrudno się domyślić, dlaczego Agnieszka Glińska teraz sięgnęła po „Widok z mostu”. Tragedia dokerska Arthura Millera (jak trafnie tę sztukę nazywa Jan Gondowicz) trafia w niepokoje naszych czasów. Znowu narasta ksenofobia, a co najmniej niezdrawa podejrzliwość wobec obcych. Budzą oni lęk i prowokują (rzekomo). Tak to wygląda u Millera, chociaż mowa tu o emigrantach zarobkowych przedzierających się z Włoch do Ameryki w latach 50. Rzeczą jednak nie polega tylko na społecznym i ideologicznym zderzeniu z obcymi – główny bohater, doker Eddie, pod którego opieką pozostaje osierocona siostrzenica żony, żywi do dziewczyny coś więcej niż nadopiekuńcze uczucie.

„Widok z mostu” nie miał w Polsce wzięcia. W Warszawie był grany raz (nie licząc szkolnego przedstawienia). Interpretowano go jako melodramat, choć to czystej wody tragedia. Dowodzi tego spektakl Glińskiej, który ukazuje siłę fatum z zegarmistrzowską precyzją. Służy temu zastosowane rozwiązanie inscenizacyjne – akcja toczy się na specjalnie zaaranżowanej scenie *en ronde*. Widzowie otaczają dwoma rzędami talerz sceny i biegnącą wokół ścieżkę. Tragedia rozgrywa się tuż przed nami, aktorzy od początku do końca muszą zachować dyscyplinę, nie ma tu miejsca na odpoczynek. Wywiązują się z tego zadania znakomicie.

Tomasz Miłkowski



Arthur Miller,
„Widok z mostu”,
tłumaczenie Rubi
Birden, reżyseria
Agnieszka Glińska,
Teatr Dramatyczny
m.st. Warszawy,
Scena im. Haliny
Mikołajskiej, premiera
28 września 2018

ZASŁUCHAJ SIĘ

Leszek Świdziński, Zofia Antes
**Robert Schumann Liederkreis,
Op. 39, Dichterliebe, Op. 48**
DUX

Piękny głos tenorowy o aksamitnej barwie to atrybut Leszka Świdzińskiego. Utwory na płytę wybrane zostały ze smakiem – dwa cykle pieśni Roberta Schumanna, „Liederkreis” (Krąg pieśni) do słów Josepha von Eichendorffa oraz „Dichterliebe” (Miłość poety) do słów Heinricha Heinego. Warto dodać, że Eichendorff był poetą ze Śląska Opolskiego, urodził się w pruskim wówczas Raciborzu, a zmarł w Nysie. Wiersze Heinego to z kolei erupcja uczuć miłosnych. Szkoda, że artysta śpiewa te cykle dosyć obojętnie. W epickim „Liederkreis” to jeszcze uchodzi, ale w bardziej dramatycznym, i trudniejszym wokalnie, „Dichterliebe” intuicja zawodzi śpiewaka, Świdziński zaczyna trochę siłować się z głosem. Na szczęście akompaniament fortepianowy Zofii Antes pozwala utrzymać te arcydzieła liryki wokalne w stylistycznych ryzach.

Franciszek Jacik



EVA – HISTORIA EYV CASSIDY

Gwiazda teatru Joanna Szczepkowska zabierze gości Rampy w świat piosenek Eyv Cassidy. W reżyserowanym przez nią spektaklu „Eva” wystąpią wspaniała aktorka i wokalistka Dorota Osińska i sama Joanna Szczepkowska. Inspiracją były niezwykle głos i legenda bohaterki, amerykańskiej piosenkarki, ale i talent Doroty Osińskiej, często do Eyv Cassidy porównywanej. W spektaklu znajdują się nie tylko słynne piosenki Eyv, lecz także jej historia opowiedziana w różnych muzycznych rytmach i brzmieniach. Kierownikiem muzycznym przedstawienia jest Paweł Stankiewicz, który odpowiada również za aranżację piosenek.

WARSZAWA, TEATR RAMPA, PREMIERA 3 LISTOPADA

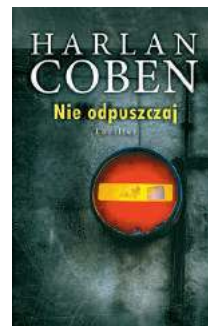
MIEDZY OKŁADKAMI

Harlan Coben
NIE ODPUSZCZAJ

tłum. Andrzej Szulc
Albatros, Warszawa 2018

Niektóre wydarzenia zdają się niwelować upływ czasu. 11 września, tajne więzienia CIA – naprawdę minęło tyle lat? A przecież ci, którzy wtedy byli nastolatkami, zdążyli już dorosnąć, wypetnić czymś życie. Ale bohater Cobena w jakimś sensie też zatrzymał się w czasie. Dla niego wszystko ogniskuje się wokół śmierci brata bliźniaka i jego dziewczyny. Zresztą on sam stracił dziewczynę, Maura zniknęła właśnie w momencie, gdy zginęli Leo i Diana. I nagle pojawia się trop, znów coś zaczyna się dziać. Czy ma to związek z pobliską bazą wojskową? Czy dzieciaki zobaczyły kiedyś za dużo? Książka odwołuje się do charakterystycznej dla Amerykanów podejrzliwości wobec państwowych służb. Władza lubi zapewniać, że to, co robi, robi dla dobra narodu, społeczeństwa, obywateli. Gdy jednak konkretny obywatel w jakiś sposób wejdzie jej w szkodę, zaskakująco łatwo przenosi się go do kategorii dopuszczalnych strat... Tylko że granie samymi teoriami spiskowymi byłoby wygodnictwem. Coben na szczęście nie idzie na łatwiznę.

Aleksandra Pańko



NA EKRANACH

SUSPIRIA

reż. Luca Guadagnino, prod. Włochy/USA, w kinach od 2 listopada

Choć za kamerą stanął mężczyzna, w tym horrorze zagrały wyłącznie kobiety. Czy powstała nowa jakość? Niekoniecznie, rewolucji nie ma. Jest co najwyżej dowód na to, że bez facetów na ekranie kino spokojnie mogłoby się obyć. Choć akurat tutaj męska postać się pojawia, ale gra ją Tilda Swinton. Jest to więc film feministyczny i z jajem, całkiem nieźle radzi sobie także z budowaniem nastroju grozy, który reżyser, twórca nominowanych do Oscara „Tamtych dni, tamtych nocy”, osiąga w nieoczywisty sposób. W remake’u kultowego obrazu Daria Argenta z lat 70. zastosował odmienne rozwiązania fabularne i stylistyczne. Świetne są sceny powolnego konania bohaterek w tańcu. To, co się dzieje z ciałem aktorów na ekranie, fascynuje i odpycha. Argento był jednak bardziej zdyscyplinowany i konkretniejszy – nowa wersja jest za długa, wiele w niej zbędnych wątków. Ale obsadę, z Dakotą Johnson na czele, ma świetną, muzykę (Thoma Yorka, lidera Radiohead) zresztą też.

Artur Zaborski



NA POWAŻNIE

ZAJRZYJ TU

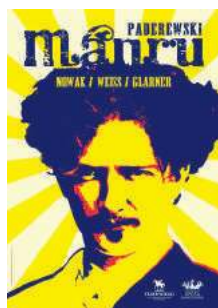


CYGANIE HARLEYOWCY

Fabuła jedynej opery naszego premiera Ignacego Paderewskiego oparta jest na „Chacie za wsią” Kraszewskiego. Inne wtedy były realia, obyczaje, przesady, inni Cyganie i inna wieś polska. Pomysł, by akcję przenieść w czasy współczesne, sprawdził się, zwłaszcza w akcie pierwszym, kiedy szefowa typowej sali weselnej obsztorcowuje córkę, że zadaje się z obcym, poganinem i włóczęgą. Gdy jednak okazuje się, że prawdziwych Cyganów już nie ma, społeczne, antyksenofobiczne i promujące tolerancję przesłanie traci ostrość. Manru ucieka od żony i dziecka na motocyklu z dziewczyną w skórzanym kurtce z ćwiekami. Banal, ale dobrze śpiewany. W roli Cygana występuje Słowak, tenor Peter Berger. Śpiewa bosko.

Bronisław Tumitowicz

Ignacy Jan Paderewski, „Manru”,
dyrygent Grzegorz Nowak,
reżyseria Marek Weiss,
Teatr Wielki Opera Narodowa,
premiera 12 października 2018

KRZYCZĄC: POLSKA!
NIEPODLEGŁA 1918

Dwa proroctwa Słowackiego się spełniły – o słowiańskim papieżu i o odrodzonej Polsce. Z wiersza naszego wieszczu warszawskie Muzeum Narodowe zaczerpnęło tytuł wystawy, która ukazuje, jak zmagania z dziedzictwem zaborów i Wielką Wojną, a wreszcie odbudowa niepodległości wpłynęły na tematykę dzieł m.in. Jacka Malczewskiego, Władysława Skoczylasa, Zofii Stryjeńskiej, Leona Wyczółkowskiego, Jerzego Hulewicz i innych artystów. Pojawił się tutaj oczywiście kult walki zbrojnej, Legionów Polskich i Józefa Piłsudskiego. Uważniejszy obserwator dostrzeże jednak, że cytaty ze Słowackiego jest wyrwany z kontekstu, bo w dalszej części wiersza pada pytanie do krzyżujących: Jaka? I ten aspekt II Rzeczypospolitej wystawa też obrazuje.

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, DO 17 MARCA 2019

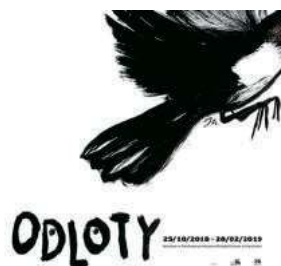
Krzyżując: Polska!
Niepodległa 1918

ODLOTY

Migracja ptaków wędrownych przypada na jesień każdego roku, wtedy też uaktywniają się ich miłośnicy – tzw. birdwatcherzy. Stąd tytuł wystawy i lornetki dla zwiedzających, które umożliwią nowe spojrzenie na ptaki. Wystawa bowiem, choć prezentuje rzeźby ptaków tworzone przez

artystów nieprofesjonalnych, opowiada tak naprawdę o ludziach, którzy na nie patrzą i opisują je wieloma językami: sztuki, kultury, nauki i folkloru.

**WARSZAWA, PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE,
DO 28 LUTEGO**



Będziemy mogli zwalczać raka

Odkrycie laureatów Nagrody Nobla daje szansę na leczenie nie tylko czerniaka, ale też nowotworów płuc i nerek oraz chłoniaka

Barbara Jagas

Nobel 2018 w medycynie i fizjologii został przyznany za terapię antynowotworową, której twórcami są James Allison i Tasuku Honjo. Chociaż oficjalnie mówi się o „odkryciu terapii przeciwnowotworowej poprzez hamowanie negatywnej regulacji immunologicznej”, tak naprawdę chodzi o odblokowanie układu odpornościowego w taki sposób, by sam zwalczał raka. Stało się to możliwe dzięki odkryciu przez uczonych znajdujących się na leukocytach (krwinkach białych) receptorów, które blokują możliwość walki układu immunologicznego z komórkami nowotworowymi. Takie bowiem białka receptory, oprócz białek agresorów, znajdują się na leukocytach, powołanych do walki z wrogiem, czyli bakteriami, wirusami, a także komórkami rakowymi. Prawdopodobnie dzięki istnieniu tych białek nie każdy choruje na chorobę autoimmunologiczną. Bo właśnie wtedy brakuje leukocytów z zablokowaną funkcją „żołnierza”, który walczy z nieprzyjacielem – a jest nim nasz własny organizm.

Krótko mówiąc, amerykański profesor z University of Texas w Austin oraz japoński z uniwersytetu w Kioto opracowali nową metodę zwalczania nowotworów. Była ona zresztą znana wcześniej dzięki medycynie niekonwencjonalnej. Próbowano nawet wprowadzać do organizmu chorego bakterie, paciorkowce, po to by wzmocniły siły obronne i zaatakowały raka. Tego typu próby nie przeszły jednak poważnych badań klinicznych. Ba, prekursorom tej terapii zarzucano szamaństwo i brak etyki lekarskiej – jeśli byli medykami. Teraz, odkąd wiemy, że istnieją białka receptory

o nazwie CTLA-4 oraz PD-1, odpowiedzialne za zablokowanie leukocytów, które przez to nie mogą zwalczać raka – i że wystarczy „zwolnić ten hamulec”, można już śmiało zastanawiać się nad produkcją leków wyzwalających ów potencjał odpornościowy. Idąc dalej, o czym już mówią polscy uczeni, m.in. prof. Krzysztof Jamrozik, kierownik Oddziału Chorób



Tasuku Honjo
z uniwersytetu
w Kioto.

James P. Allison
z University of Texas
w Austin.



Układu Chłonnego Kliniki Hematologii Instytutu Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie, można by taki lek stosować u pacjentów aż do skutku.

Technicznie wygląda to tak, że najpierw trzeba pobrać od chorego limfocyty, potem genetycznie je zmodyfikować, prawdopodobnie po to, by nie miały „hamulcowego” białka, następnie przeszczepić choremu i czekać. Zmodyfikowane leukocyty będą od tej pory rozpoznawały i niszczyły komórki rakowe. – Co ważne, jeden taki zmodyfikowany limfocyt może zniszczyć wiele komórek nowotworowych i może sobie żyć dalej, a nawet mnożyć się – powiedział PAP prof. Jamrozik. Dodając, że będzie to rodzaj leku, który może być obecny w organizmie tygodniami, miesiącami i latami.

Na razie tego typu terapia, pod nazwą CAR-T, jest dostępna w Stanach Zjednoczonych, gdzie stosuje się ją u dzieci z ostrą białaczką limfoblastyczną oraz u dorosłych z chłoniakiem. Wykorzystuje się ją tylko tam, gdzie zawiodły inne sposoby leczenia nowotworów. Chociaż bowiem jest niewątpliwym przełomem w medycynie, pozostaje zbyt wiele znaków zapytania w kwestii jej bezpieczeństwa. Nie wiemy, jak zareaguje każdy organizm na rozpadające się w wyniku walki komórki rakowe, które uwalniają szkodliwe substancje, a także na nadmiar cytokin – białek wydzielanych przez komórki odpornościowe, co dzieje się podczas owej „bitwy z wrogiem”.

W Polsce nad stworzeniem terapii CAR-T już pracuje zespół pod kierownictwem prof. Wiesława Jędrzejczaka, naszego czołowego hematologa i onkologa, a pomagają mu w tym specjaliści ze Stanów.

Tak czy inaczej, przed onkologią jest wiele nadziei związanych z nowym sposobem leczenia, który wymyślili świeżo upieczeni nobliści. A pracowali na to długo – Tasuku Honjo już

w 1992 r. odkrył znajdujące się na powierzchni leukocytów białko PD-1, niewiele później James Allison znalazł białko CTLA-4. Trzeba jednak było te badania potwierdzić, najpierw na myszach, potem na ludziach.

Początkowo uznano, że immunoterapia nowotworowa sprawdzi się tylko w przypadku czerniaka. Później jednak uzyskano pozytywne efekty w terapii raka płuc, nerek i chłoniaka. Najnowsze badania wskazują, że metoda nie zawodzi w żadnym raku i najlepsze rezultaty może dać działanie na obydwie białka równocześnie.

Medycyna przyszłości być może więc zniszczy nowotwory, tak jak szczepionki wyeliminowały groźne choroby zakaźne. ■

Posłanka wygasza na czczo

Edward Mikołajczyk

Źle spała Krystyna Pawłowicz z niedzieli na poniedziałek. Rano napisała na Twitterze: „A teraz jednak NA MEDIA!”. Co takiego śniło się posłance, że postanowiła zacząć dzień od ostrej komendy na pohybel wydanej sobie i pewnie komuś jeszcze? Możliwe, że nawiedził ją we śnie poseł przełożony Jarosław Kaczyński i powiedział: Kryśka, musisz wziąć tę naszą telewizję i zrobić porządek na Woronicza, bo Jacuś przegiął. Już miała ochotę zwrócić uwagę prezesa, że nie mówi się wziąć, tylko wziąć, ale natychmiast ją obudził ten nagły i zagrażający karierze przypływ śmiałości. Zrozumiała, że partia chce ją rzucić na nowy odpowiedzialny odcinek, media właśnie. Dlatego postanowiła rano na czczo podzielić się ze światem radosną nowiną.

Za taką wykładnią snu przemawia dalszy ciąg ćwierkania niewyspanej posłanki, która pewnie przehułała w zwycięskim sztabie kilka godzin nocy powyborczej. Otóż wyklada ona w kilku żołnierskich zdaniach, co natychmiast robi, bo nie jest pewna, czy Jarosław zapamiętał, co mu obiecywała we śnie. No więc, po pierwsze: „OPCJA ZERO na rynku RTV!”. Zachowuję pisownię oryginału, choć wiem, że oryginał nie szanuje zasad pisowni języka polskiego, na co pozwala autorce jej wysoka pozycja naukowa i polityczna oraz wiara w niezależność, a właściwie – nadrzędność naszej ortografii nad pisaniną unijną.

Rynek RTV w Polsce zwykle dzierżawi półki sklepowe od AGD. Tutaj więc potrzeba porządku narzuca się sama, czego PO i PSL w ciągu ostatnich ośmiu lat nie umiały dostrzec. Po wyzerowaniu zabałaganionego rynku nastąpi (tak jest w oryginale i proszę szanowną redakcję o zachowanie użytych form): „odbudowa przez WYGASZENIE WSZYSTKICH wydanych KONCESJI TV i budowa rynku na zasadach UE, takich jak obowiązują np. w Niemczech”. Tu też jest wszystko jasne z wyjątkiem „zasad UE”. Wydawało się, że wzmiankowana posłanka już dawno wytarła się unijną flagą tak energicznie, że po UE nie ma śladu. Najwidoczniej ktoś jeszcze musiał się zjawić w tym śnie po szampańskiej nocy powyborczej. Jacys inni szatani byli tam czynni. Nie ma innego, racjonalnego wytłumaczenia sceny, w której aktywistka PiS mówi rano w poniedziałek o zasadach UE, jakie będzie respektować przy budo-

wie czegokolwiek. Wiadomo, że wygaszać będzie wypróbowanym prawem kaduka Czyńskiego.

Przedostatnie zdanie z porannego apelu posłanki brzmi cokolwiek rapsodycznie: „Repolonizacja i ucywilizowanie!”. Nawiązuje do tradycji listopadowej już w październiku i wyraża rewolucji październikowej, która – jak wiadomo – wybuchła w listopadzie. W każdym razie zawiera obietnicę dobrej zmiany w języku i zachowaniu publicznym Krystyny Pawłowicz. Można na to się nabrać,

ale raczej należy zapisać na konto szampana spożywanego tej nocy, bo zdanie następne, kończące poranne uniesienie parlamentarzystki w poniedziałek po wyborach, nie pozostawia złudzeń.

„Dość zewn. partii TVN czy onet!”, pisze pani Pawłowicz, a ja ponawiam prośbę o zachowanie pisowni oryginału. Może nie ma żadnego sensu w tym zdaniu, ale wystarczająco dużo jest rewolucyjnego zapachu, który przepełnia autorkę od rana. Do tej pory, czy to na Twitterze, czy w kuluarach Sejmu, ta pani zwalniała pojedynczo pracowników telewizji. Zaczęła chyba od Justyny Dobrosz-Oracz i Jarosława Kuźniara, potem był Piotr Kraśko, także Karolina Lewicka i Tomasz Lis. Teraz, jak widać, przystępuje

do uruchomienia procedury zwolnień grupowych.

Zdaje się, że we śnie powyborczym dostała nominację na wszystkie stanowiska jednocześnie, zajmowane dzisiaj przez mało wydajnych mężów stanu, od prezesa TVPiS, aż po przewodniczących Rady Mediów Narodowych PiS, KRRiTVPiS, całego tłumu wiceministrów kultury plus Joanny Lichockiej. Wszyscy oni mówią, że od dawna mają w szufladach gotowe ustawy z całą gamą recept, nie tylko na de i na gie, które uleczą polskie media ze wszystkich chorób, nie naruszając zdrowej tkanki TVPiS. Czekają tylko, aż im się przyśni Kaczyński. On wybrał zdolniejszą egzekutorkę, Krystynę Pawłowicz, a ona jeszcze tylko chwilę poczeka na Trumpa. Jeżeli jemu uda się twitterowo zwolnić małego Jeffa, jak pieszczotliwie nazywa szefa CNN, ona wykona podobny manewr z TVN, ze wsparciem amerykańskiego sojusznika przeciwko amerykańskiej telewizji. *Good luck and good night!*



Nasz tygodnik dostarcza KOLPORTER

Ulubiony tytuł znajdziesz w:

- Salonikach Kolportera,
- kioskach,
- supermarketach,
- sklepikach,
- stacjach paliw.



Aleksandra Chrobak

Wieczór w betonowej metropolii bez nazwy. prostytutka zatrzymuje na ulicy samochód, negocjuje cenę i sadza synka na tylnym siedzeniu. Zabrała go dla kamuflażu. Pod ostłą nocą zabiera się do wykonywania usługi. Kierowca improwizowanej taksówki, wyraźnie zadowolony z serwisu, nagle widzi swoją córkę na randce z chłopakiem. Idą za rękę. Mężczyzna natychmiast głośno pomstuje na takie bezeceństwo. Rozkojarzony uderza w samochód z przodu i wybiega na ulicę z nadal rozpiętym rozparkiem. To otwierająca scena z animowanego filmu „Tehran Taboo”, nakręconego przez irańskiego reżysera mieszkającego w Niemczech. Jak widać, nie tylko „Persepolis” stoi irańska animacja. Choć ten akurat film jest animowany z konieczności, gdyż nie byłoby szans, aby nakręcić go z aktorami w Iranie. Bez owijania w bawełnę obnaża społeczną hipokryzję i wypunktowuje obiegowe seksualne tabu, tkwiące w irańskiej świadomości.

Możemy w nim zobaczyć seks na haju na undergroundowych imprezach, nielegalną aborcję i reperowanie błony dziewiczej. Nie może zabraknąć napalonego muły sędziego, obiecującego uznanie rozwodu w zamian za seksualne usługi petentki, do tego legalizującego swoją chuć i jej prostytuowanie się poprzez zawarcie czasowego małżeństwa. Film dotyka też sprzedawania dziewcząt w Dubaju, zdrady i samobójstwa – wszystkich grzechów głównych Islamskiej Republiki. Naturalnie to przerysowane obrazy – najlepiej pokazuje się prawdę przez patologię. Część z tych tabu – jak randki – straciła już swoją moc i dreszcz zakazanego owocu. O innych (chociażby bolączkach osób LGBT) natomiast nie wspomniano, być może okazały się zbyt kontrowersyjne nawet jak na tę produkcję.

Nie da się zaprzeczyć, że irańskie społeczeństwo się zmienia, a związki uczuciowe powoli stają się częścią przestrzeni publicznej. Już od lat na ulicach irańskich miast za rękę chodzą nie tylko kumple i psiapsiółki i nikt jakoś nie rwie włosów z głowy w przypływie zgorznienia. Nie mówię tu tylko o małżeństwach, ale i o zwykłych parach. Zniesiono prawo umożliwiające

GRZECH W WIELKIM MIEŚCIE

Irańskie społeczeństwo się zmienia,
a związki uczuciowe powoli stają się częścią
przestrzeni publicznej



Od lat na ulicach irańskich miast za rękę chodzą nie tylko kumple i psiapsiółki.

aresztowania za niemoralne zachowanie na ulicy. Nikt nie rozdziela też par siedzących blisko siebie w restauracji czy w kafejce. Duże miasta zapewniające anonimowość to oczywiście najlepsze środowisko dla związku, ale dziś nawet w konserwatywnym Jazdzie pary pokazują się publicznie ze splecionymi dłońmi. (...)

Tradycyjnie w Iranie małżeństwa były aranżowane przez rodzinę i często zawierane w jej ramach, np. między kuzynami.

Takie związki rzadko były ufundowane na więzi emocjonalnej. To kontrakt między rodzinami oparty na szacunku, z zestawem praw i obowiązków dla obu stron. Do dziś określenie „małżeństwo z miłości” ma w sobie coś pieprznego, posmak kontrowersji. Nierzadko jednak rodziny, które zapierają się, że nic tak nie gwarantuje szczęścia w małżeństwie, jak wybór rodziców, mają dzieci, które same wybrały sobie partnerów. Nowe pokolenie ani myśli zlecać po-

szukiwania drugiej połówki cioci ani wysyłać swatów. (...)

Chastegari – chodzenie na swaty – to już prawie zapomniany rytuał. Krewniaczki młodzieńca zasięgały języka o potencjalnych kandydatkach (w przypadku gdy on sam jeszcze sobie jakieś panienki nie upatrzył). Wówczas jego mama, zdobywszy uprzednio numer telefonu od znajomych lub powinowatych, dzwoniła do domu dziewczyny, by wybadać grunt. Jeśli kandydat miał szanse, wówczas ustalano spotkanie między rodzinami, wraz z młodymi. Jeśli nie, przełtykano czarną polewkę i szukano dalej. Pytałam wiele pań ze starszego pokolenia, jak spławia się rodzinę niechcianego zalotnika, mając na uwadze irańskie barokowe grzeczności. Samane powiedziała

umiłowanie natury, szycką gotowość do samopoświęcenia i oczywiście poezję. Każdy Irańczyk potrafi na zawołanie zadumać się nad klasycznym wierszem, oczy mu się szklą nad grobem Hafiza, a opowiadanie o Maulanie (Rumim) sprawia, że duma rozpiera mu pierś, obrośniętą perskim dywanem.

Właściwie trudno znaleźć Irańczyka, który nie potrafiłby z pamięci deklamować wierszy albo sam nie uważał się za poetę. Zarówno sprzedawca brązowej płynnej chałwy bez tumana przy duszy, jak i gość w czarnym sportowym wozie, w głowie albo z karteczki w tylnej kieszeni mają przygotowane choć kilka linijek. I warto ich uważnie wysłuchać – w Iranie obowiązuje bowiem zasada: powiedz mi, kogo czytasz,

Siqe, małżeństwo dla przyjemności, to religijnie usankcjonowany związek na czas określony, od godziny do 99 lat.

mi, że w tej kwestii *ta'arof* idzie na drugi plan. Jeśli to ktoś niespokrewniony, mówi się np., że dziewczyna musi najpierw skończyć studia i nie myśli o zamążpójściu. Innymi słowy: dziękujemy, nie jesteśmy zainteresowani. Jeśli to ktoś z rodziny, mówi się wprost, że nie ma woli.

Na spotkaniu między rodzinami obowiązuje kod, tajemny język, w którym rodzice i dzieci mogą się komunikować bez wiedzy drugiej strony. Wiele rodzin ma umówiony znak, np. sposób podania herbaty. Najbardziej popularny sygnał wykorzystuje słodczyce przyniesione przez konkurenta. Jeśli dziewczyna zje otrzymane łąkocie, oznacza to akceptację, jeśli poskubie wyłącznie własną bakławę – to kosz. Perska kultura ma wiele subtelności i sygnałów dymnych. (...)

Różnica między Irańczykami a mężczyznami z krajów arabskich jest uderzająca. Irańczyki kreują się na subtelnych wrażliwców, co jeszcze podbija ich dbałość o urodę. Wielu z nich to prawdziwi narcyzowie, którym nie jest obca prostytutka. W obojętności przypominają raczej Grechutę niż Pitbulla. Nie aspirują do wzorca *macho* i nie boją się mówić o uczuciach. Tutejsze wychowanie i kultura promują męską wrażliwość, choćby poprzez

a ja powiem ci, kim jesteś. Identyfikowanie się z konkretnym poetą mówi o danej osobie równie wiele, co zestaw poglądów politycznych. Jeśli ktoś delektuje się utworami Chajjama, ma w sobie coś z tkliwego scętyka. Kto pasjami tyka Rumiego, jest niepoprawnym romantykiem, Hafiz natomiast fascynuje dusze i umysły wiecznie poszukujące. (...)

Taktyka „na mistyczną poezję” należy do stałego repertuaru tutejszych podrywaczy. Niektórzy zawsze noszą minitomiki w kieszeni – na wszelki wypadek. W momencie kryzysowym sięgają po odpowiedni na daną okazję wers o upojonych kochankach lub uciekają się do zawołanego szantażu poprzez utwór o słodko-gorzkich torturach odrzuconego. (...)

Siqe, po arabsku *mutta*, małżeństwo dla przyjemności, to religijnie usankcjonowany związek na czas określony, od godziny do 99 lat. Takie relacje funkcjonowały już za czasów Proroka, jako środek zastępczy dla mężczyzn walczących pod porcem islamu w dalekich krajach. Później wedle sunnickich źródeł miały zostać odwołane. Szyizm nie uznał jednak tej abolicji, podobnie jak niektóre sunnickie kraje, np. Arabia Saudyjska czy Emiraty, gdzie ten typ związku nosi nazwę *nika misjar*, „małżeństwo na czas podróży”. Wie-

lu Europejkom jest też znany egipski kontrakt *orfi*, oznaczający to samo.

„Czasowe żony” nie zaliczają się do czterech dozwolonych prawowitych małżonek – to żony na boku, które w naszym świecie byłyby określane jako oficjalne kochanki. Przy czym poligamiczne związki dozwolone są wyłącznie dla mężczyzn, bo dla kobiety więcej niż jeden partner w jakimkolwiek związku to cudzołóstwo, za które prawo szarijatu przewiduje karę śmierci. Warunki takiego małżeństwa to wolny status kobiety i określenie gratyfikacji, którą otrzymuje – czy to finansowej, czy materialnej. Może to być gotówka, opłacenie czynszu, mieszkanie, biżuteria czy najczęstsza waluta irańskich męsko-damskich rozliczeń – złote monety. Ewentualne dzieci z takiego związku ojciec musi uznać i płacić na nie alimenty. Oczywiście należy też ustalić długość trwania związku. Nie jest to umowa ustna – trzeba sporządzić odpowiedni dokument w biurze mułły, inaczej nie ma on mocy prawnej i można zostać zatrzymanym przez policję za pozamałżeński seks.

Mułłowie zachęcają do takich kontraktów, widząc w tym remedium na prostytucję. Sami pośredniczą w nawiązywaniu takich znajomości, widząc w tym z jednej strony wentyl bezpieczeństwa dla męskiej potencji, a z drugiej okazję do recyklingu dla wdów i rozwódek. Za kontrakt i swatanie pobierają naturalnie opłaty manipulacyjne. Mułłowie prowadzą też różne organizacje charytatywne i właśnie tam przyciśnięte biedą i trudną sytuacją kobiety często się zgłaszają. Duchowny wówczas podsuwa sympatycznego i statecznego pana, który mógłby się taką panią „zaopiekować”. W krajach muzułmańskich czynnik ekonomiczny i związki – w tym te stuprocentowo małżeńskie – nigdy nie są od siebie odseparowane. To na mężczyznach prawnie i religijnie spoczywa obowiązek zapewnienia bytu kobietom, które dopiero niedawno zaczęły się uniezależniać finansowo.

Mułłowie lobbują za *siqe* i sami podobno biją rekordy w zawieraniu czasowych związków. Anegdota o hożych mułłach to standard damskich kawiarnianych pogaduszek. Pełnowymiarowa żona nie musi być powiadomiona o istnieniu tej czasowej, nie jest to też oficjalny powód do rozwodu. Inaczej ▶

▶ jest w przypadku, kiedy mąż chce pojąć drugą czy kolejną żonę w normalnym trybie – wówczas jeśli pierwsza małżonka nie wyraża na to zgody, ma prawo do rozwodu. Tylko szyicki islam przewiduje takie udogodnienie dla kobiet. W sunnickim nurcie pierwsza żona nie musi godzić się na kolejny związek ani nawet wiedzieć o pozostałych małżeństwach męża. W Iranie jednak poligamiczne związki to rzadkość, zarówno ze względów kulturowych, jak i finansowych. W czasach szacha poligamia i czasowe małżeństwa były zabronione. Wróciły wraz z rządami ajatollahów, którzy objęli je swoim patronatem. Poza tym więcej niż jedna żona to duży wydatek. Co innego Emiraty, Katar, Kuwejt czy Arabia Saudyjska – tam wielożenstwo jest na porządku dziennym.

Oprócz skorych do swatania mułłów funkcjonują specjalne portale internetowe, wykorzystujące *siqe*, aby łączyć panów bez zobowiązań z paniami potrzebującymi sponsora. W profilu kobiety umieszczone są kryteria finansowe, np. 5-10 złotych monet za rok (jedna złota moneta, *sekke*, to równowartość ok. 1,5 tys. zł). W ogłoszeniach często pojawia się też wysokość rocznego czynszu, który tymczasowy mąż będzie musiał uiścić. Podobne strony można znaleźć na Facebooku. Niby dostęp do tego serwisu jest w Iranie zabroniony, ale każdy obchodzi blokadę. Wystarczy zainstalować VPN (wirtualną sieć prywatną – przyp. red.) i hulaj dusza.

Dziś w Iranie mułłowie stoją murem za *siqe*, jednak ten, kto widzi tu szansę dla młodych ludzi na legalny wolny związek, cieszy się przedwcześnie. Duchowni nie rwą się, by błogosławić takie pary. Jeśli dziewczyna jest panienką, czyli teoretycznie dziewicą, zawarcie *siqe* wymaga zgody męskiego opiekuna – ojca lub brata. Legalizowanie przedmałżeńskiego seksu jest źle widziane przez szyicki kler. Jednak za opłatą przychylny mułła przymyka jedno oko, a nawet dwa. To oczywiście dla osób, które chcą takiego papieru.

Za czasów prężnie działającej moralnej policji – czyli, powiedziałabym, do końca rządów Ahmadineżada – młodzi musieli się kryć z byciem razem i podkładki w postaci *siqe* cieszyły się większą popularnością. Dla niektórych to był parasol ochronny, pozwalający im dobrze się poznać,



Musimy zachować dziewictwo, nawet gdy facet naciska – mówią irańskie dziewczyny.

również cieleśnie, w okresie narzeczeństwa, a czasem po prostu wyjść spokojnie na randkę. Na ultrakonserwatywnej prowincji papier pozwalał np. odprowadzać koleżankę z pracy do domu bez oglądania się za siebie. Dziś nikt już nie pyta par na ulicy, czy kobieta jest żoną lub siostrą mężczyzny, w którego towarzystwie się przeemieszcza, i w razie niezadowolającej odpowiedzi nie pakuje delikwentów do policyjnej suki. *Siqe* nie jest już parom tak potrzebne. (...)

Najbardziej mroczną stroną *siqe* są małżeństwa na godziny, czyli prostytutka. To smutna konieczność dla rozlicznych kobiet na granicy bezdomności i tych uzależnionych od przemycanego z Afganistanu opium, bez pracy i środków na życie i działkę. Jest to też jedyna możliwość zarobku dla grupy dryfującej na marginesie życia społecznego – transpłciowych kobiet.

Warto na ich temat napisać parę słów, gdyż w tej kwestii hipokryzja reżimu przeszła wszelkie granice. Iran to jeden z kilku krajów na świecie, gdzie homoseksualizm jest zabroniony przez prawo. Gejem być nie wolno. (...)

Dziewczyny, którym nie w smak klasztorne życie aż do momentu zaślubin, mają trzy możliwości: albo standard muzułmańskiego przedmałżeńskiego życia seksualnego, czyli stosunki nieklasyczne, gdzie wilk jest syty, a owca cała, albo symulowanie krwawienia, albo reperacja hymenu.

Młode dziewczyny nie mogą w towarzyskiej sytuacji powstrzymać się przed zapytaniem o „te sprawy”. Najczęściej ledwo mogą uwierzyć w swobodę obyczajową i wolność, które opisują. Wydaje się im niemożliwe, żeby nikt nikogo nie pytał, z kim sypia. Czy naprawdę pary mogą bez społecznego oburzenia mieszkać ze sobą przed ślubem?!

– A jak jest z tym u was, dziewczyny? – pytam za każdym razem.

– Marnie – odpowiadają i pomstują na Islamską Republikę oraz społeczeństwo, które wciąż nie akceptuje takich swobód.

Trzeba dobrze się namęczyć, aby znaleźć zaciszne miejsce do amarów. Jeśli nie ma szans na wynajęcie w tym celu osobnego mieszkania, faceci przemycają dziewczyny do swoich domów pod nieobecność rodziny. Nie jest to jednak pełna konsumpcja.

– Musimy zachować dziewictwo, nawet gdy facet naciska – tłumaczyła mi studentka z dobrego domu. – Nie ma wyjścia.

Wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z koleżanką, po czym obie zgodnie przyznały, że zostaje tylko opcja „tylnych drzwi”.

Bardziej niezależne i wyzwolone dziewczyny po prostu chwytają dzień. Albo wyjdą za swojego partnera, albo znajdą takiego rodzyńka, dla którego zachowanie dziewictwa do ślubu jest przeżytkiem.

Opcja ostatniej szansy to reperacja błony dziewiczej. Można ją wykonać nielegalnie w klinikach w Iranie lub bez problemu w Turcji, dołączając do koleżanek z pozostałych krajów Zatoki Perskiej. Tureckie ośrodki ogłaszają się jawnie w internecie. Proponują pakiety 2 w 1 – podróż biznesową lub wakacje na plaży plus zabieg. Hymenoplastyka kosztuje równowartość ok. 8 tys. zł. Mniej majątnym pannom młodym pozostaje zamawianie przez internet chińskich tabletek wywołujących krwawienie i liczenie na siłę perwersji efektu wizualnego.



Fragmenty książki Aleksandry Chrobak *Fashionistki zrzucają czadory. Moje odkrywanie Iranu*, Znak, Kraków 2018

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

DZIWNE LOSY SIÓSTR BRONTĚ

Historia literatury nie zna drugiego takiego przypadku: trzy siostry – wszystkie obdarzone talentem, produkujące pod dachem plebanii powieści nie tylko na miarę swoich czasów. „Wichrowe Wzgórza”, „Dziwne losy Jane Eyre” czy „Lokatorkę Wildfell Hall” do dziś można kupić w niemal każdej europejskiej księgarni. Te XIX-wieczne angielskie powieści wzbudzają emocje w każdym pokoleniu i wciąż znajdują swoich czytelników, a kolejne ekranizacje i adaptacje teatralne pokazują, że jest to materiał kanoniczny, który po prostu przestał się starzeć. Jest coś, co sprawia, że nie można ich zlekceważyć, opatrując degradującym (niestuszenie!) określeniem „powieści gotyckie”. Oczywiście pod wieloma względami powieści te są pierwowzorami książek gatunkowych. Jednak to plastyczność, styl i pewna uniwersalność świadczą o ich wielkości. Charakterystyczne dla konwencji duchy, ponure dwory, niespełnione miłości i dręczące namiętności to jedynie wisienka na torcie.

„Wichrowe wzgórze” stały się nie tylko lekturą szkolną w Wielkiej Brytanii – słynna ekranizacja z Juliette Binoche i Ralphem Fiennesem z 1992 r. to właściwie wydarzenie pokoleniowe i materiał badawczy dla psychologów, których zainteresowała popularność filmu. Pojawiły się interpretacje, które rozpoznają impulsywnego, pełnego namiętności Heathcliffa i dobrze wychowanego, łagodnego Edgara Lintona jako *id* i *superego* samej Katarzyny Earnshaw/Linton. Warto pamiętać, że akurat „Wichrowe Wzgórza” nie miały w epoce zbyt dobrej prasy – posądzone o wyolbrzymianie i epatowanie okrucieństwem, były jedną z najgorzej ocenianych powieści sióstr. W odróżnieniu od „Dziwnych losów Jane Eyre” – powieści, która uczyniła z Charlotte Brontë – ubogiej córki plebana – prawdziwą celebrytkę. Zapraszana na salony, entuzjastycznie recenzowana, niechętnie przyjmowała zaszczyty, a każdy wyjazd do Londynu musiała odchorować na plebani.

Wszystko to bardzo ciekawe, szczególnie jeśli zdamy sobie sprawę, jak bardzo ta dotkliwie potraktowana przez los rodzina była nietypowa. Matka umarła wcześnie, podobnie dwie starsze siostry (Maria i Elżbieta), które nie przeżyły surowych warunków pensji dla ubogich dziewcząt. Potem umarł brat Branwell, bardzo związany z Charlotte, z którą tworzył w dzieciństwie „Pismo dla młodych mężczyzn” i kolejne opowieści o Angrii – wymyślonej przez tę dwójkę krainie, rozsadzanej przez najdziwniejsze fantastyczne fabuły. Zresztą Eryk Ostrowski, biograf i badacz życia i twórczości sióstr, sugeruje, że Branwell był współautorem „Wichrowych Wzgórz” – książki surowej

i stylistycznie nieco odległej od pozostałych. Ukochany brat – alkoholik i opiumista, bohater licznych skandali, towarzyskich *faux pas*, odszedł pogrążony w nałogu. Potem przyszedł czas na dwie pozostałe, silnie związane z Charlotte siostry – Anne i Emily. W końcu zmarła sama Charlotte. Umarła prawdopodobnie na gruźlicę, była w ciąży, po krótkim, dość tajemniczym małżeństwie z ponurym wikarym. Ojciec pleban przeżył ich wszystkich.

Biografia rodziny Brontë zrosła się z literaturą. A może od początku to powieści „napisały” tę biografię? Bo przecież Charlotte Brontë sama ją reżyserowała, myląc tropy, zacierając ślady. I zrobiła to z wprawą godną Banksy’ego. Na tyle skutecznie, że badacze do dziś spierają się, kto właściwie był autorem tych książek. Tym bardziej że historia literatury uwielbia teorie spiskowe: Szekspir był przecież kobietą (lub – do wyboru – nigdy nie istniał ktoś taki jak Szekspir). W tym przypadku odważna teoria, która głosi, że wszystkie powieści – podpisane przecież „sprawiedliwie” imionami wszystkich sióstr: Emily, Anne, Charlotte – napisała ta najstarsza, jest akurat uzasadniona. Świadczy o tym np. korespondencja, w której Charlotte

jawi się jako wrażliwa erudytką, filozofka, sprawnie posługująca się literacką angielszczyzną, podczas gdy listy młodszych sióstr są lapidarne, „zajęte”

sprawami plebanii, a czasem zwyczajnie nieporadne. Radykalną interpretację wspiera także swobodny stosunek Charlotte do autorstwa. Siostry debiutowały przecież tomem wierszy, który wydały pod pseudonimami: „Poems by Currer, Ellis and Acton Bell”. A badacze mówią o głębokiej redakcji dokonywanej na tekstach sióstr przez Charlotte: o poprawianiu, dopisywaniu potężnych fragmentów wierszy. Zresztą właśnie ona korespondowała z panem Smithem, wydawcą. To wreszcie ona wciąż „wyjaśniała” i rewidowała własną legendę. Przede wszystkim zaś nikt nie widział rękopisów popełnionych rzekomo przez Emily „Wichrowych Wzgórz” czy podpisaną imieniem Anne „Lokatorkę Wildfell Hall”. Może więc to wszystko było dość nowoczesnym – jak to się mówi – działaniem performatywnym, a Charlotte na długo przed współczesnymi badaczami rozpoznała mechanizmy rynku? Zanim obsesja autorstwa sprawiła, że postać pisarza stała się ważniejsza niż jego tekst i powinna być rozpatrywana raczej jako zjawisko socjologiczne? Na szczęście nam – po upływie wszystkich tych lat, dla nas wrzuconych w sprzeczne dyskursy – pozostaje to, co najważniejsze: czasem śmieszne, a czasem straszne powieści. A przecież o to na pewno chodziło mądrej, upartej Charlotte.

Charlotte Brontë reżyserowała biografię rodziny z wprawą godną Banksy’ego.

WIRUS PRZYCHODZI Z SIECI

Miliardy dolarów stracili użytkownicy internetu w ciągu 30 lat od stworzenia pierwszego wirusa

Tomasz Borejza

30 lat temu, 2 listopada 1988 r., do komputerowej sieci Massachusetts Institute of Technology trafił wirus komputerowy stworzony przez studenta Cornell University Roberta Morrisa. W założeniu miał być nieszkodliwym robakiem, pozwalającym ocenić zasięg sieci internetu. Błąd autora przekształcił go jednak w groźny program, który zatrzymał pracę tysięcy komputerów i wyrządził bardzo duże szkody. Pomyłką było zapewnienie robakowi praktycznie nieograniczonej możliwości samodzielnego replikowania się. „Robak Morrisa” za każdym razem sprawdzał, czy jego kopia jest już na komputerze docelowym, i jeżeli była, miał się na niego nie przenosić. Jednak autor, by uniknąć łatwego oszukania programu, wprowadził do jego kodu regułę powodującą, że co siódmy sygnał z maszyny docelowej był ignorowany i wirus replikował się niezależnie od niego. Efektem było to, że robak na każdej maszynie instalował się wielokrotnie, a kolejne kopie zajmowały jej pamięć oraz moc obliczeniową, doprowadzając do tego, że komputery przestawały działać. Zainfekował niemal całą ówczesną sieć i wyłączył kilka centrów internetu.

Awarię usunięto dopiero po kilku dniach, a „robak Morrisa” stał się pierwszym wirusem komputerowym, który ściągnął uwagę mediów i doprowadził autora przed sąd. Szacunkowe szkody wahały się od 100 tys. do 10 mln dol. Co ciekawe, Morris, który chcąc zmylić trop, wpuszczał robaka do sieci z komputerów MIT, a nie swojej uczelni, po latach został profesorem słynnego instytutu. Pracował tam m.in. nad rozwojem sztucznej inteligencji. Wcześniej jednak sąd wymierzył mu wyrok w zawieszeniu i skazał go na 10,5 tys. dol. grzywny. Niewiele za przejście do historii informatyki, w której autor „robaka Morrisa” zyskał stałe i istotne miejsce. Otworzył bowiem epokę wirusów komputerowych, które przez kolejne lata dały się we znaki wielu użytkownikom sieci. Były wśród nich wirusy mniej i bardziej szkodliwe. Były też mniej i bardziej znane. Oto subiektywny wybór sześciu najsłynniejszych wirusów, który zaczyna się od ILOVEYOU.

LIST MIŁOSNY

Dziś ILOVEYOU nie miałby wielkich szans powodzenia. Jednak w 2000 r., kiedy trafił do sieci, ludzie nie byli jeszcze przyzwyczajeni do zagrożeń. Dlatego kiedy nieświadomi niebezpieczeństwa użytkownicy

poczty elektronicznej zaczęli otrzymywać wiadomości zawierające w tytule zwrot ILOVEYOU (KOCHAMCIĘ), klikali w nie z ciekawości i otwierali załącznik zatytułowany „List miłosny do Ciebie”. A ten, po pierwsze, wysłał taką samą wiadomość do wszystkich, których mieli zapisanych w książce adresowej. Po drugie zaś, nadpisywał i niszczył część plików znajdujących się na komputerze.

Ogromny sukces zawdzięczał tempu, w jakim się rozprzestrzeniał. Wystarczyła bardzo niewielka liczba osób, które zdecydowały się kliknąć w plik, by trafił do milionów odbiorców. W zaledwie 10 dni – do sieci został wprowadzony na Filipinach 4 maja 2000 r. – zaraportowano ponad 50 mln zainfekowanych komputerów. Szacowano, że ILOVEYOU wyrządził szkody w 10% wszystkich podłączonych do sieci urządzeń. Straty były gigantyczne i wirus do dziś jest uważany za jedną z największych katastrof w historii światowego internetu. Szkody oceniono na 5-9 mld dol., a koszty ich usuwania miały wynieść kolejne 15 mld dol.

W śledztwie ustalono winnych wprowadzenia wirusa do sieci – byli to filipińscy programiści Ronel Ramones i Onel de Guzman. Wyszli oni jednak ze sprawy bez wyroków, ponieważ na Filipinach

nie było wtedy jeszcze przepisów zabraniających tworzenia wirusów komputerowych. Sam wirus stał się elementem popkultury – piosenkę zatytułowaną „E-mail” nagrał o nim zespół Pet Shop Boys. Trafił też na listę rekordów Guinnessa jako najbardziej „zakaźny” wirus wszech czasów.

ANNA KURNIKOWA

Rok później młody Duńczyk Jan de Wit napisał inny program, który wyzyskał ludzkie słabości. Stworzony przez niego wirus nazywał się Anna Kurnikowa i był stosunkowo niegroźny. Opierał się na mechanizmie *clickbait* wykorzystywanym przez redaktorów dużych portali internetowych, czyli tytule lub frazie, które przykuwają uwagę czytelnika, choć sama treść wiadomości niekoniecznie ma cokolwiek wspólnego z tytułem. Wiadomość, którą rozesłano z Danii, była bardzo prosta. Nagłówek mówił: „Sprawdź to”, a w załączniku znajdował się plik wyglądający na zdjęcie pięknej rosyjskiej tenisistki. Naprawdę był to jednak wirus, który wysyłał dalej swoje kopie. Szybko obiegł świat – specjaliści od bezpieczeństwa sieciowego komentowali, że tak się dzieje, kiedy mężczyźni nie myślą głową – ale nie wyrządził wielkich szkód. Nie był bowiem oprogramowaniem bardzo złośliwym. Autor sam zgłosił się na policję, a burmistrz jego miasteczka był dumny, że rosną tam takie talenty. Obiecał, że jak tylko skończy się sprawa w sądzie, zatrudni de Wita jako informatyka w ratuszu.

Podobny mechanizm – choć odwołujący się do Tanatosa, a nie Erosa – wykorzystali kilka lat później twórcy programu Storm Worm. Tam *clickbaitem* była wiadomość o 230 ofiarach burzy w Europie. Szkody były znacznie większe, bo i wirus nie był pomyślany jako nieszkodliwa zabawka.

MYDOOM

Z czasem bowiem zaczęło się pojawiać coraz więcej robaków pisanych po to, by wyrządzić szkody. Na przykład w 2004 r. pojawił się Mydoom, jak mówią niektórzy, najbardziej szkodliwy robak w historii.

Suma wyrządzonych przez niego szkód sięgnęła 38 mld dol. Wirus wykorzystał pocztę elektroniczną oraz programy do wymiany plików, by się rozprzestrzenił i zajęte przez siebie komputery zmienić w narzędzia ataku na korporacje IT: przede wszystkim SCO, ale też Google i Microsoft. Dotąd nie ustalono, kto i dlaczego go napisał, ale podejrzewa się, że powstał na zlecenie i był narzędziem w sporze własnościowym, w który wdała się SCO Group. Wszystko dlatego, że wirus przekazywał wiadomość, która brzmiała: „andy; ja tylko wykonuję swoją pracę, to nic osobistego, przepraszam”. Kim był Andy? Nie wiadomo.

WIRUS PORYWACZ

Wiadomo za to – a przynajmniej tak utrzymują służby zajmujące się cyberprzestępczością – kto stał za wirusem CryptLocker, który kilka lat temu uprzykrzył życie setkom tysięcy użytkowników internetu. „Porywał” on zainfekowany komputer i kodował wszystkie pliki znajdujące się na twardym dysku. Można było je odzyskać po zapłaceniu okupu w wysokości od kilkuset dolarów do kilku tysięcy. Wiele osób zrezygnowało z odzyskiwania zawartości komputera, inni opłacili hakerów. Ci, jak się szacuje, w trzy miesiące zarobili od kilku do kilkudziesięciu milionów dolarów. Grupie działającej z terytorium Rosji, Ukrainy oraz Wielkiej Brytanii miał przewodzić Jewgienij Bogaczew – za informacje prowadzące do ujęcia hakera FBI wyznaczyło nagrodę w wysokości 3 mln dol.

CYBERWOJNA...

Prywatne zabawy hakerów są jednak niczym w porównaniu z tym, co robią państwa. Wiadomo, że Stany Zjednoczone i Rosja przywiązują dużą wagę do wojny cybernetycznej. Kilka lat temu świat przypadkiem dowiedział się o robaku Stuxnet, którego celem był irański program jądrowy. Wgrano go do systemu informatycznego zakładów Natanz, w których pracowano nad wzbogacaniem uranu. Wirus zmodyfikował funkcjonowanie wirówek i w praktyce zatrzymał rozwój perskich badań nad atomem. Działał bardzo powoli i przez wiele lat nikt nie zorientował

się, że coś jest nie w porządku, ponieważ jednocześnie fałszował wskazania aparatury i naukowcy myśleli, że wszystko jest w najlepszym porządku. Dlatego zareagowali, gdy było już za późno.

...IDZIE DO CYWILA

Jednocześnie coraz głośniejsze mówi się o tym, jak skutecznie narzędzia wojny cybernetycznej wykorzystuje Rosja. Pierwszy raz zrobiło się o tym głośno, kiedy w 2007 r. rosyjscy hakerzy przypuścili atak na Estonię. Teraz potencjał ataków tego rodzaju pokazują wydarzenia na Ukrainie, gdzie wirusy komputerowe pozbawiły ludzi dostępu do prądu, gazu oraz paliwa. A celem wiązanych z Kreml hakerów były też przeróżne organizacje rządowe, media i prywatne firmy.

Stracono terabajty danych, ale do niedawna skutki ataków były odczuwane jedynie na Ukrainie. Zmieniło się to wraz z zainfekowaniem w ubiegłym roku tamtejszego internetu wirusem NotPetya. Wprowadzono go do serwerowni wielkiej firmy w Kijowie. Stamtąd trafił m.in. do ukraińskich oddziałów międzynarodowych korporacji. Te lepiej zabezpieczone przetrwały atak. Te, w których bagatelizowano kwestie bezpieczeństwa, straty liczyły w milionach. Lub – jak duńska firma transportowa Maersk, odpowiadająca za jedną piątą morskich przewozów towarowych na świecie, oraz farmaceutyczny Merck – w setkach milionów dolarów. Wirus rozprzestrzeniał się bowiem bardzo szybko i był szalenie destrukcyjny. Wystarczyły sekundy, by zniszczył dane na komputerach podłączonych do wspólnej sieci. W efekcie np. Maersk przez wiele dni nie mógł zapanować nad tysiącami transportów i zlokalizować kontenerów wypełnionych towarami – w tym takim, który szybko się psuł. Kontrolę udało się odzyskać, dopiero kiedy w kenijjskim oddziale sieci odnaleziono serwer z nienaruszoną bazą danych. Jego dysk uratował brak prądu w chwili ataku. Zniszczenia dokonane przez NotPetyę oszacowano na 10 mld dol.

Kreml nie komentuje informacji o powiązaniach z hakerami.

✉ LIMIT TO WRÓG PACJENTA

Mam już 87 lat. Jestem inwalidą I grupy i od 25 lat choruję. Przed ostatnimi wyborami PiS mnie okłamało, obiecując bezpłatne leki. W rzeczywistości dzisiaj na 10 zaleconych leków nie płacę tylko za jeden. Tym razem pan premier mnie nie oszuka, obiecując za 15 lat raj na ziemi. Nie chcę raju, tylko większego szacunku i godności. Jak pan premier może dzisiaj mówić o jednej Polsce czy jednej białoczerwonej drużynie? Panie premierze, raju nie doczekam, byłbym jednak szczęśliwy, gdyby pan załatwił mi dwie sprawy. Oddał chociaż połowę zabranej mi emerytury, bo kiedy kończyłem pracę, dostałem ponad dwie średnie krajowe płace. Dziś moja emerytura wynosi dużo mniej niż średnia krajowa. Druga sprawa to zapowiedź należytej opieki lekarskiej. Słuchając przemówienia pana premiera na Forum Ekonomicznym w Krynicy, doszedłem do wniosku, że szef rządu nigdy nie był w szpitalu powiatowym. Bo gdyby raz odwiedził szpital w porze, kiedy pacjentom podaje się posiłek, spróbował zimnej zupy i porozmawiał ze średnim personelem o warunkach pracy, może zmieniłby zdanie o służbie zdrowia. Przecież to ubóstwo generuje koszty. Można pięknie wyciąć raka, ale udaną operację zepsuje złe odżywianie pacjenta. Rany nie będą się goić, wda się zakażenie. Ale co można przygotować za 8 zł na jednego pacjenta dziennie?

A oto mój przykład. Od 2006 r. byłem hospitalizowany aż 25 razy. Za jeden mój pobyt w szpitalu NFZ płać od



3 do 7 tys. zł. Na skutek złej jakości zakupionego papieru (był tani) lekarz nie mógł odczytać wyniku spirometrii i postawił diagnozę – astma. Po dziewięciu dniach lekarz mówi: „Wiem, że pan jeszcze źle się czuje, ale musimy wypisać, bo limit się kończy”. W wypisie czytamy: „Pacjenta wypisano w stanie dobrym”. A ja po dwóch miesiącach wracam do tego samego szpitala z kaszlem.

I diagnozę stawiają bez badania. I tak przez trzy lata wracałem 10 razy do tego samego szpitala. Wreszcie trafiłem na pulmonologię do Olsztyna. Pytam, czy tu obowiązuje limit, i słyszę, że u nich liczy się zdrowie pacjenta. Zrobili mi badanie spirometryczne i okazało się, że nie choruję na astmę. Postawiono prawidłową diagnozę, przepisano odpowiednie leki i kaszel minął. Wniosek z tego jest następujący: limit to wróg pacjenta, to generator pośrednich kosztów leczenia.

I jeszcze jeden przykład. Mam kłopoty ze wzrokiem. Po badaniu w szpitalu okulista mówi, że zaćma jest zaawansowana i nie można wykonać zabiegu. Decyduję się na prywatny zabieg. Za operację jednego oka będę musiał zapłacić 4,8 tys. Ale nie mam wyjścia, biorę pożyczkę. Zabieg trwa 15 minut. Lekarz dziwi się, dlaczego szpital odmówił tej usługi. Piszę prośbę do NFZ w Gdańsku o zwrot tej kwoty i otrzymuję odpowiedź odmowną. Wysyłam skargę do ministra zdrowia i czekam na odpowiedź.

Wreszcie trzeci problem. Płace w służbie zdrowia. Bo jaka to sprawiedliwość, jeśli lekarz za dwa dyżury dostaje tyle, ile pielęgniarka za miesiąc ciężkiej pracy? Oto cała prawda o naszej konającej służbie zdrowia.

Antoni Furchel, Malbork

X I I

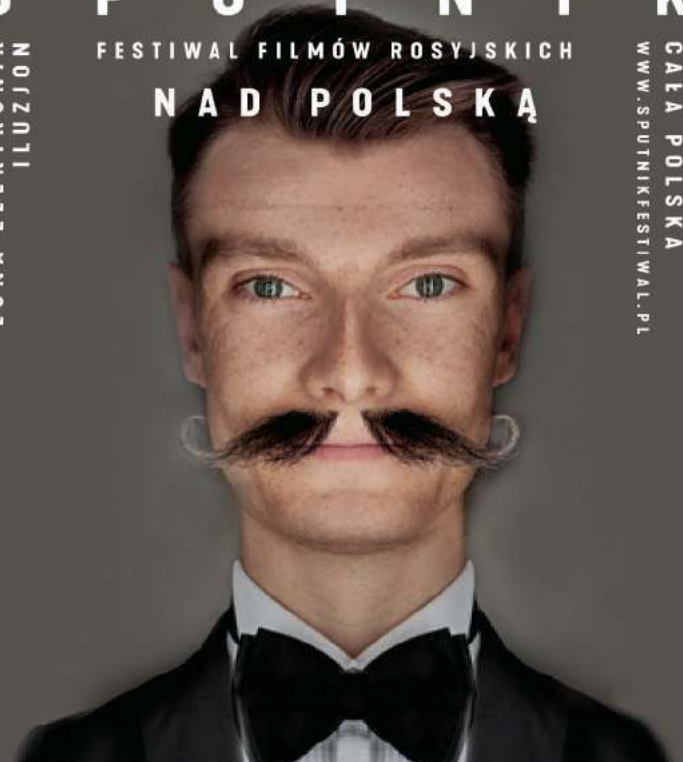
S P U T N I K

FESTIWAL FILMÓW ROSYJSKICH

NAD POLSKĄ

8-18 XI WARSZAWA
LUNA ELEKTRONIK
ILUZZJON

XI 2018-IV 2019
CAŁA POLSKA
WWW.SPUTNIKFESTIWAL.PL



Dofinansowana ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury:

Dofinansowana ze środków
Ministerstwa Kultury FR:

Współfinansowanie Projekt współfinansuje
m.st. Warszawa:

Współfinansowanie Rosja:

Organizatorzy:

Po co takie MSZ?

To nie może się udać. W MSZ pracuje coraz więcej urzędników, ale coraz więcej z nich nie zna języków obcych. Jednocześnie coraz mniej osób przebywa na placówkach. To po co takie MSZ?

To nie są opowieści znikąd, tylko oficjalne słowa ministra Czaputowicza, który podał, że w roku 2004, gdy Polska wstępowała do Unii, za granicą pracowało 2298 dyplomatów. Teraz pracuje 1918. Natomiast w centrali w Warszawie było 1029 urzędników. Teraz jest ich 1865. Czyli w centrali pracuje o 836 osób więcej, a na placówkach o 380 mniej.

No dobrze, a co to za ludzie zasilają centralę? Otóż są to pracownicy biur, czyli komórek o charakterze obsługowym. Takich jak Biuro Administracji, Biuro Informatyki, Biuro Infrastruktury itd. One kadrowo rosną. Natomiast departamenty merytoryczne coraz bardziej się kurczą.

Innymi słowy, zmniejsza się liczba pracowników zajmujących się polityką zagraniczną, a zwiększa – ich obsługujących.

Minister chce to przerwać i już zapowiedział kadrowe czyszczenie. Będzie to zadanie nowego dyrektora generalnego – Andrzeja Papierza. Ten znany naszym czytelnikom urzędnik był już za czasów Anny Fotygi szefem kadr, więc teraz będzie się zajmował tym, co lubi najbardziej.

Ale kadrowe zmiany dotkną nie tylko biura. Minister chce też zmienić liczebność placówek.

Zauważył bowiem (lepiej późno niż wcale), że niektóre są pełne dyplomatów, inne zaś – niemal puste. I nie wynika to z jakiegoś szczególnego pojmowania polskich interesów.

„W Gruzji mamy tylu dyplomatów, ilu w Indiach. Oceniamy, że Indie to rosnące w siłę państwo, w którym nasze interesy gospodarcze powinny być większe. W Azerbejdżanie jest dużo więcej etatów niż w Nigerii, ważnym państwie, w którym mamy ważne interesy i powinniśmy zwiększać swoją obecność.

Obsada ambasady w Portugalii znacznie (kilkakrotnie) przekracza obsadę ambasady w Brazylii. Rozkład obecności za granicą jest luźno skorelowany z interesami Polski” – to jego słowa. A dlaczego tak się dzieje?

Oto odpowiedź Jacka Czaputowicza: „Moim zdaniem rozkład etatów odpowiada chęci dyplomatów do wyjazdów. Tam, gdzie dyplomaci chcą jeździć z rodzinami, jest więcej etatów. Tam, gdzie nie chcą jeździć, choć Polska ma ważne interesy z danym krajem, jest mniej etatów. Ten rozkład odpowiada chęci wyjazdów dyplomatów – Morze Śródziemne, Wschód. Dobrze jest się uczyć z dziećmi angielskiego w Irlandii czy Wielkiej Brytanii. Tam jest bardzo dużo etatów”.

No i dorzucmy do tego jeszcze jeden element. Języki obce. Otóż „obecnie w MSZ potwierdzoną znajomość co najmniej dwóch języków obcych na poziomie C1 ma 1176 osób, czyli 47% stałych pracowników MSZ. 387 osób, tj. 15%, ma potwierdzoną znajomość tylko jednego języka. 936 stałych pracowników, tj. około jednej trzeciej, nie ma potwierdzonej znajomości żadnego języka obcego”.

A jaka przy tej okazji jest największa troska ministra? Że w MSZ pracuje jeszcze 40 dyplomatów, którzy przyznali się do współpracy ze służbami specjalnymi w czasach PRL. I minister nie wie, jak ich zwolnić.

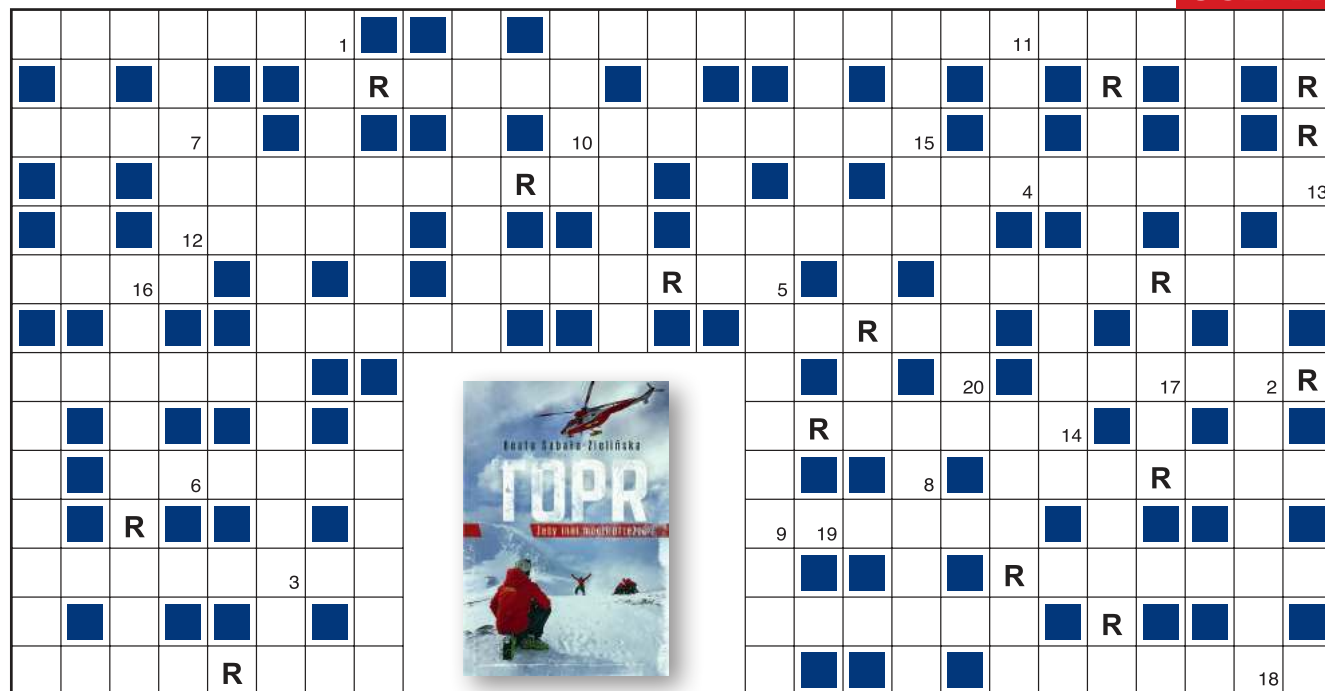
Oto MSZ A.D. 2018. Zanikają departamenty merytoryczne, coraz więcej jest ludzi, którzy nie znają żadnego języka obcego i którzy zajmują się nie wiadomo czym. Kierownictwo MSZ nie panuje też nad placówkami zagranicznymi, nad ich liczebnością. Ale ministra napawa troską fakt, że ma jeszcze 40 dyplomatów (na pewno znających języki obce), których nie może zwolnić.

Cudo.

Attaché

Brytyjski książę Harry odwiedził War Memorial w Suvie, stolicy Fidżi. Przypominające spódnice sulu jest tradycyjną częścią męskiego stroju na wyspach.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- bezbarwna, przezroczysta masa plastyczna
 - poetcko o ojczyźnie Byrona
 - pomieści tylko kilka zdjęć
 - Gall...
 - biały dog w czarne plamy
 - „Grzmią pod Stoczkim...”
 - przed powstaniem świata
 - metalowy kolec na skórzanej kurtce
 - artretyzm lub kod genetyczny
 - bliźnięta
 - i demon, i jałowcówka
 - rzadziej zwana corrigendą
 - szacunek, poważanie
 - żona i muza Dalego
 - tatrzański maszyn z krzyżem na głównym szczycie
 - stolica w delcie Rzeki Czerwonej
 - inteligencji albo różnicowy
 - Warszawski... Gieldowy
 - dokumentowe jest formą rozliczeń w obrocie międzynarodowym
 - ukryte szyderstwo
 - Forza... czyli Naprzód Włochy
 - imię aktorki Miko (zdrobniale)
 - eland lub paciorecznik
 - czynsz
 - zdobywca nagrody
 - boska albo pańska
 - adresatka „Listu do M.” Dżemu
 - jedno z 17 wiosen
 - maszyna do oddzielania ziaren od kłosów
 - i pigwówka, i dereniówka
 - ruch zafascynowanych Hitlerem
 - senior, patriarcha
 - Dobra... to Ewangelia
 - żywiona przez zależniowego
 - bywa nędzy i rozpacz
 - drewniane skrzydło zamykane na noc
 - pragmatyzm, racjonalizm
 - brzydactwo, paskuda
 - w dawnej rodzinie zwana żółwiwą
 - upoważniał do zakupu malucha
 - kuchenna siekierka
 - ile ma się w kasie
 - niepotrzebne są w motorówce
 - reminiscencje
 - „Tomek na tropach...” Alfreda Szklarskiego
 - za grzechy lub odskodowanie
 - paseczek ziemi uprawnej
 - trzecia planeta Układu Słonecznego
 - o bliskiej osobie srodka
 - korzyść, pożytek, dochód

KUPON JOLKI „Przeglądu”

haslo:

.....

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowoli podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-881”. Do rozlosowania książki „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć” ufundowane przez wydawnictwo Prószyński i S-ka. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX. HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 4 listopada 2018 r.

Rozwiązanie „JOLKI-878” z 14 października: *Złość nie dodaje nam sił.*
Nagrody otrzymują: Agnieszka Grudzień z Józefowa, Grzegorz Jan-
kowski z Bydgoszczy, Jolanta Krzemińska z Sosnowca.

PENETRACJE

FORUM
za „Kommersant”

SIERGIEJ ANDRIEJEW,
AMBASADOR FEDERACJI
ROSYJSKIEJ W POLSCE

W polskich rodzinach, potem w szkole, na uczelniach, pod wpływem zmasowanej informacyjnej obróbki ludzie od najmłodszych lat wychowywani są w przeświadczeniu, że ze strony Rosji Polska na przestrzeni swoich dziejów doznawała wyłącznie gróźb, nieszczęść i krzywd. W dzisiejszych politycznych dyskusjach między głównymi polskimi partiami temat poprawy stosunków z Rosją właściwie nie jest podnoszony. A gdy w zeszłym roku w Sejmie rozpatrywano poprawki do ustawy dekomunizacyjnej, które przewidywały likwidację pomników radzieckich żołnierzy wyzwolicieli – czyli tych, którym Polska zawdzięcza to, że w ogóle jest na mapie, a Polacy mieszkają na swojej ziemi – wszyscy posłowie ustawę poparli.

charaktery
magazyn psychologiczny

JERZY MAKSYMIAK,
PIANISTA, DYRYGENT

Od dawna wiedziałem, że muzyka stymuluje mózg i że warto jak najwcześniej rozwijać wrażliwość dziecka na muzykę. Moją wiedzę w tym względzie poszerzył prof. Henryk Skarżyński, światowej sławy otochirurg i wielbiciel muzyki. Pojechałem do Światowego Centrum Słuchu

koło Nadarzyna. Cudo! Obiekt pięknie zaplanowany architektonicznie. W Kajetanach stosuje się odpowiednio przygotowany program i indywidualnie, a także grupowo, słucha na zajęciach dobranych fragmentów: jest Mozart, muzyka ludowa, proste dźwięki. W ogóle przepisuje się muzykę wszystkim: tym dobrze i źle słyszącym.

ANGORA

BARTOSZ SOĆKO,
TRENER REPREZENTACJI
POLSKI SZACHISTÓW

Jan Krzysztof Duda poświęca się szachom przez całą dobę. Kocha tę grę! Pracuje nieustannie, by być coraz lepszym zawodnikiem. To najlepszy szachowy junior na świecie. Ma ogromny talent, niesamowite możliwości, a ponadto jest niezwykle pracowity. Jestem przekonany, że za pięć lat może już toczyć pojedynki o największe szachowe laury. Szachy to nie piłka nożna. Na stadionie w czasie meczu trener może podpowiadać, wydawać różne instrukcje piłkarzom. W szachach jest tylko obserwator. Tylko w jednym przypadku możliwy jest kontakt z trenerem reprezentacji. Jeśli zawodnik otrzyma od rywala propozycję remisu partii, może wstać od stolika i w obecności sędziego skonsultować to z selekjonerem.

Aby język giętki...

BP TADEUSZ PIERONEK O UCHODŹCACH

Nie życzę żadnemu z członków partii rządzącej, żeby stał się uchodźcą i był tak traktowany, jak oni traktują uchodźców.

KLEMENTYNA SUCHANOW O PRAWICY

Nie może się pogodzić z tym, że człowiek w swoich wyborach jest wolny, i nie musi działać według boskiego nakazu.

PROF. ANDRZEJ FRISZKE
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Jednoosobowy ośrodek decyzji politycznej, źródło prawa i prawdy.

JAN MARIA ROKITA
O MATEUSZU MORAWIECKIM

Nieznośne bywają jego irytujące maniery i ta cała obsesja potępiania ćwierćwiecza.

PROF. BOGDAN WOJCISZKE O POLAKACH

Nie chcę uwierzyć, że państwo jest emanacją społeczeństwa, tak jakby Polskę zbudowali nam jacyś Marsjanie.

JANUSZ GAJOS O TOWARZYSKOŚCI

Nie bywam królem towarzystwa, co nie znaczy, że unikam ludzi czy stronię od wesołości.

JOANNA KOS-KRAUZE O REŻYSERII

To zawód dla masochistów, którzy lubią się wystawiać na publiczną ocenę. Ja taka nie jestem.

AGATA BUZEK O IWANIE WYRPAJEWIE

To, co robi, jest absolutną awangardą. A jego teatr jest szalenie nowoczesny.

CEZARY KUCHARSKI
O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Jest na fali na niespokojnym morzu. Z własnego wyboru. Jak jej nie opanuje, to będzie trend spadkowy, którego już nie odwróci.

EDYTA HERBUŚ O MARIUSZU TRELIŃSKIM

Ten związek łączył w sobie dojrzałość z dziecięcą radością w doświadczaniu.

MAGDALENA RÓŻCZKA O CASTINGACH

Zdecydowanie wolalabym, żeby dzwonili z propozycjami, ale tak nie jest, więc muszę chodzić na castingi. Choć bardzo tego nie lubię.



Królowa Elżbieta II wita w Londynie holenderskiego króla Willema Alexandra.

Stop kolejkom

W Galerii Uffizi we Florencji wprowadzono algorytm, który pozwoli zwiedzającym uniknąć kolejek. Bierze on pod uwagę takie czynniki jak dzień tygodnia, inne wydarzenia w mieście, pogoda czy dokonane wcześniej rezerwacje grupowe. Uffizi to pierwsze muzeum, w którym zostanie zastosowany taki system. Został on opracowany we współpracy z uniwersyte-tem w mieście L'Aquila w Abruzji. System ma zlikwi-dować nie tylko długie kolejki, ale również kwitnący tam proceder sprzedawania biletów po zawyżonych cenach przez tzw. koników, którzy oferują możliwość natychmiastowego wejścia.

Pamiątki po gigancie

Na licytację w domu aukcyjnym Christie's zostaną wystawione pamiątki po zmarłym Stephenie Hawkingu, m.in. jego doktorat o początkach wszechświata czy wózek, którym poruszał się od późnych lat 80. do połowy lat 90. Sprzedaż pamiątek odbędzie się w ramach aukcji mającej hasło „Na ramionach gigantów: Newton, Darwin, Einstein, Hawking”.

Listopadowe przebieranki

Ponad 30 mln Amerykanów wyda w tym roku ok. 480 mln dol. na kostiumy, w które zostaną przebra-ne zwierzęta domowe w Halloween. Według sondażu swoje zwierzęta przebierze najwięcej osób w wieku 23-34 lata. Zrobią to, żeby pstryknąć przebranemu pu-pilowi zdjęcie, a później opublikować je w internecie.

Nie ma zgody na wyspę

Jak donosi „The Guardian”, mieszkańcy Hongkongu wyszli na ulice, aby sprzeciwić się planowi budowy sztucznej wyspy. Miałaby ona złagodzić problemy



Mercedes Vision EQ Silver Arrow pokazany na paryskim Moto Show 2018 i kareta, którą król i królowa Holandii przybywają na otwarcie roku parlamentarnego. Zdaniem ekspertów auto nigdy nie trafi do produkcji.

mieszkaniowe oraz pełnić funkcję dzielnicy finansowo-bizne-sowej. Krytycy projektu uważają, że wybudowanie sztucznej wyspy zniszczy branżę rybacką i naturalne siedliska morskiej fauny i flory.

Niebezpieczny most

Most Konstytucji nad Canal Grande w Wenecji, zaprojekto-wany przez hiszpańskiego architekta Santiaga Calatravę, ma wkrótce zostać przebudowany. Mają z niego zniknąć płyty ze szkła, które są przyczyną wielu upadków. Most znajduje się w pobliżu stacji kolejowej Santa Lucia i dziennie pokonuje go średnio 22 tys. osób. Przed rokiem turystka z Rzymu, która na moście złamała bark, otrzymała 80 tys. euro odszkodowania.

Modlitewnik Monroe

W galerii sztuki Cedarhurst w Nowym Jorku licytowany będzie modlitewnik Marilyn Monroe, który otrzymała, kie-dy przeszła na judaizm przed ślubem z Arthurem Millerem, dramaturgiem polsko-żydowskiego pochodzenia. Para roz-wiodła się po pięciu latach, ale gwiazda podobno do końca życia pozostała wierna religii. Modlitewnik nosi tytuł „The Form of Daily Prayers. According to the Customs of German and Polish Jews”, czyli „Codzienne modlitwy. Według zwy-czaju niemieckich i polskich Żydów”.

MEMY BEZ ŚCIEMY





ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew. 119**
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Kacper Leśniewicz, Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osinski (Berlin), Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bakowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od
dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega
sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnia-
nie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE
bez zgody wydawcy jest zabronione.** Przedruki
po uzyskaniu zgody wydawcy.

**Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie
niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi
odpowiedzialnością karną.**

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



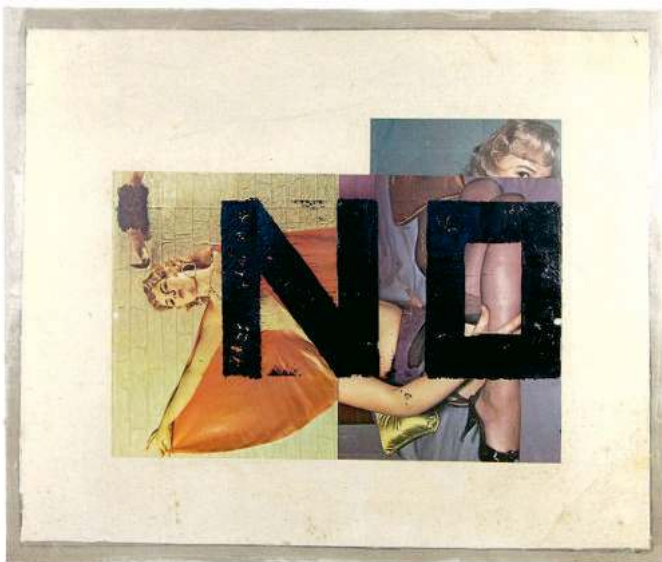
Księżycowe testy

Europejska Agencja Kosmiczna buduje w Niemczech obiekt, w którym astro-
nauci będą mogli poczuć się tak, jakby chodzili po powierzchni Księżyca. Lu-
na (bo taką nosi nazwę) znajduje się w ESA Astronaut Center (EAC) w Kolonii
i ma powierzchnię 1000 m kw. Panują tam warunki podobne do tych, które
panują na Księżycu. Inna jest tylko siła grawitacji – na naturalnym satelicie
Ziemi jest ona słabsza niż na naszej planecie.

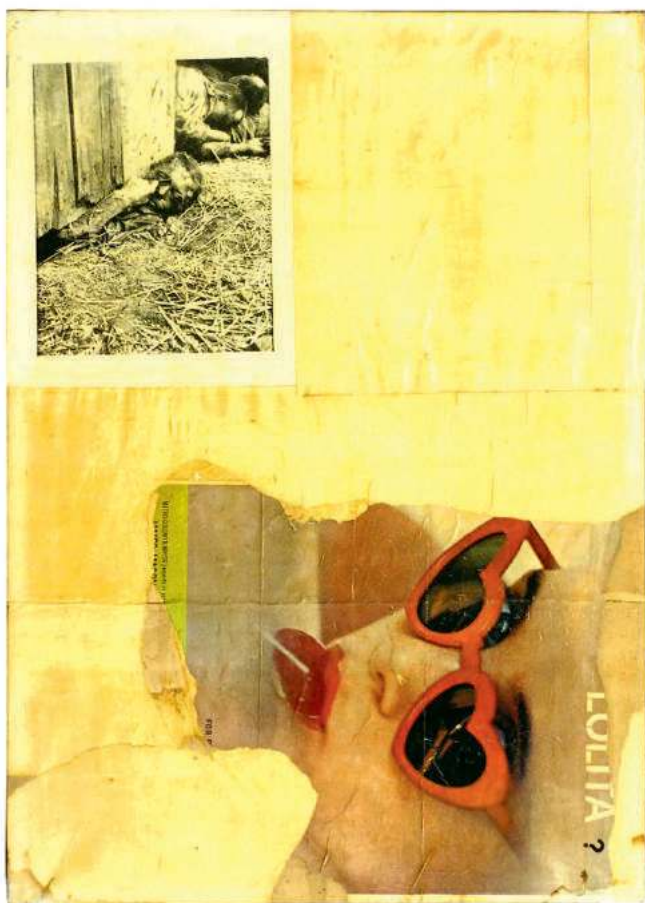
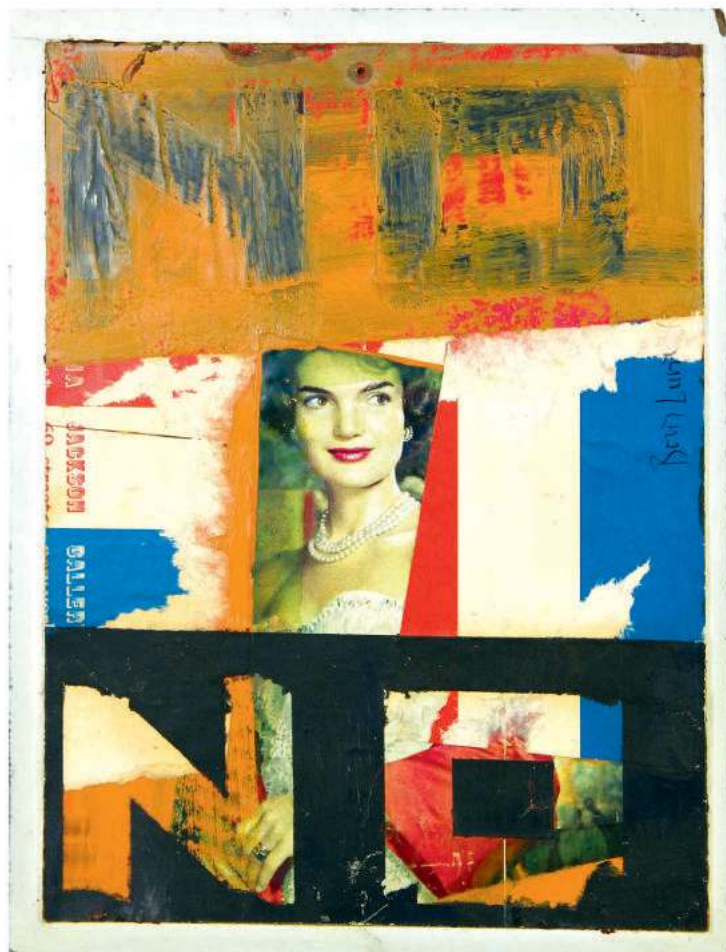
Oszustwo, a potem tragedia

W miejscowości Langtang w prowincji Hunan w środkowo-wschodnich Chi-
nach pewien mężczyzna postanowił upozorować swoją śmierć, by wyłudzić
odškodowanie na leczenie córki chorej na padaczkę. Niestety, nie powiedział
o swoim planie żonie, która na wieść o „śmierci” męża postanowiła popełnić
samobójstwo. Kobieta zabiła wcześniej dwoje swoich dzieci – czteroletniego
synka i trzyletnią córeczkę. Mężczyzna dowiedział się o ich śmierci i sam
zgłosił się na policję.





BORIS LURIE POP-ART PO HOLOKAUŚCIE



Boris Lurie był psychicznie ofiarą Zagłady – jego twórczość ściśle wiązała się z tym doświadczeniem, stanowiła nieustanną próbę przepracowania traumy wojennej. Artysta stworzył wyjątkowy język symboli, w którym autentyzm i napięcie emocjonalne przekraczają to, co stosowne i wymagające szacunku. W jego pracach pojawiają się zdjęcia z obozów koncentracyjnych, gwiazda Dawida, wycięte z magazynów fotografie *pin-up girls* oraz słowo NO – dominanta wielu dzieł. Swoje działania zawsze postrzegał jako sprzeciw wobec dominujących w tamtym czasie w Stanach pop-artu i abstrakcyjnego ekspresjonizmu. Wraz ze Stanleyem Fisherem oraz Samem Goodmanem założył ruch NO!Art, NIE!Sztuka.

Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK
ul. Lipowa 4, do 3 lutego



PATRONAT PRZEGLĄDU

 Srebrny Niedźwiedź
68^{ty} Międzynarodowy
Festival Filmowy
w Berlinie
Najlepsza Aktorka

 Srebrny Niedźwiedź
68^{ty} Międzynarodowy
Festival Filmowy
w Berlinie
Nagroda Alfreda Bauera

 Nagroda FIPRESCI
68^{ty} Międzynarodowy
Festival Filmowy
w Berlinie

 MFF w Seattle
Najlepszy Film

 MFF w Sydney
Najlepszy Film

 MFF Transilvania
Najlepszy Film

PARAGWAJSKI KANDYDAT DO OSCARA



Dziedziczki

REŻYSERIA MARCELO MARTINESI

ABY UWOLNIĆ SIĘ Z KLATKI,
MUSISZ MIEĆ ŚWIADOMOŚĆ, ŻE W NIEJ TKWISZ

W KINACH OD 2 LISTOPADA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kultura Europejska”





TO JEST POLSKA.
PO CO TU JESTEŚ?



PUNKTY WIDZENIA ŚCIERAJĄ SIĘ W POLSCE.
WIRTUALNEJ POLSCE.